

AGATHA CHRISTIE

WCZESNE SPRAWY POIROTA

(PRZEŁOŻYLI: ANNA ROJKOWSKA, ANDRZEJ MILCARZ)

AGATHA CHRISTIE

WCZESNE SPRAWY POIROTA

(PRZEŁOŻYLI: ANNA ROJKOWSKA, ANDRZEJ MILCARZ)

Wypadki na Balu Victory

Czysty przypadek sprawił, że mój przyjaciel Herkules Poirot, były szef belgijskich służb śledczych, został zamieszany w wydarzenia w Styles. Sukces przyniósł mu sławę i dlatego postanowił zająć się wyłącznie rozwiązywaniem zagadek kryminalnych. Ja z kolei, ranny nad Sommą i zwolniony z armii, zamieszkałem razem z nim w Londynie. Stąd znam z pierwszej ręki większość spraw, które rozwiązywał i dlatego zaproponowano mi, by spisać najciekawsze. Zgodziłem się i uznałem, że nie mogę zacząć lepiej niż sięgając po tę osobliwie pogmatwaną historię, która swego czasu wzbudziła tak szerokie zainteresowanie. Mam na myśli wydarzenia na Balu Victory.

Chociaż nie jest to, być może, kazuś tak reprezentatywny dla specyficznych metod Poirota, jak niektóre mniej głośne sprawy, walor sensacyjności, znane osoby weń zamieszane i ogromne zainteresowanie prasy sprawiły, że mamy tu do czynienia z *cause celebre*[1]. Od dawna żywię przekonanie, że świat powinien zostać powiadomiony o związku Poirota z rozwiązaniem tej zagadki.

Pewnego pięknego wiosennego ranka siedzieliśmy w apartamencie Poirota. Mój przyjaciel, jak zawsze schludny i szykowny, pochylając na bok jajowatą głowę uważnie nakładał świeżą pomadę na wąsy. Odrobina nieszkodliwej próżności cechowała Poirota, skądinąd znanego z systematyczności i zamiłowania do porządku. Gazeta "Daily Newsmonger", którą czytałem, zsunęła się na podłogę, a ja pogrążyłem się w zadumie. Wyrwał mnie z niej głos Poirota.

- O czym tak głęboko rozmyślasz, *mon ami*?
- Prawdę mówiąc zastanawiałem się nad tą niewyjaśnioną sprawą na Balu Victory. Gazety są tego pełne - klepnąłem dłonią "Daily Newsmonger".
- Tak?
- Im więcej się o tym czyta, tym bardziej tajemnicza wydaje się cała rzecz! - z zapalem podjąłem temat. - Kto zabił lorda Cronshaw? Czy śmierć Coco Courtenay tej samej nocy, ta zbieżność w czasie, to zwykła koincydencja? Czy to był wypadek? Czy też z rozmysłem przedawkowała kokainę?
- zamilkłem, a po chwili rzekłem dramatycznie: - To pytania, które sobie zadaję.

Poirot, ku mojej lekkiej irytacji, nie podjął tematu.

- Bez wątpienia, nowa pomada to istny cud dla wąsów - zamruczał i wciąż patrzył w lustro. Zerknąwszy ku mnie dodał jednak pośpiesznie: - No, istotnie, i jak odpowiadasz na te pytania?

Zanim wszakże zdołałem coś odrzec, otwarły się drzwi i nasza gospodyni zapowiedziała inspektora Jappa.

Funkcjonariusz Scotland Yardu był naszym przyjacielem i przywitaliśmy go ciepło.

- A, mój stary przyjaciel Japp - zawołał Poirot.
- Co pana do nas sprowadza?
- Otóż, panie Poirot - Japp uklonił się siadając. - Mam sprawę, która wygląda mi na bardzo w pańskim typie i przyszedłem zapytać, czy nie chciałby pan osobiście się nią zająć.

Poirot ubolewał wprawdzie nad fatalnym brakiem systematyczności Jappa, ale miał dobrą opinię o jego zdolnościach. Natomiast ja uważałem, że największy talent inspektora polegał na subtelnej sztuce przypisywania sobie zasług wyświadczanych przez zupełnie kogoś innego!

- To sprawa z Balu Victory - namawiał Japp. - Do dzieła Poirot, przecież chciałby się pan w to włączyć.

Poirot uśmiechnął się do mnie.

- W każdym razie chciałby tego mój przyjaciel Hastings. Właśnie rozprawiał na ten temat, *n'est-ce pas, mon ami?*

- Pan też może się tym zająć - ton Jappa brzmiał nieco protekcjonalnie. Uważam, że to jest tytuł do chwały, zostać wtajemniczonym w taką sprawę. No, ale do rzeczy. Zna pan, przypuszczam, najważniejsze fakty, panie Poirot?

- Tylko z gazet, a wyobraźnia dziennikarska bywa wybijająca. Proszę opowiedzieć mi tę całą historię.

Japp usadowił się wygodniej zakładając nogę na nogę.

- Jak wszystkim wiadomo, w ostatni wtorek odbył się wielki Bal Victory. Byle potańcówkę mieni się teraz wielkim balem, ale ten w Colossus Hall był prawdziwym wydarzeniem. Cały Londyn się tam pokazał, włączając w to lorda Cronshawa i jego gości.

- *Dossier* Cronshawa? - przerwał Poirot. - To znaczy, pewnie powinienem powiedzieć życiorys, ach nie, biogram, jak wy to nazywacie.

- Wicehrabia Cronshaw, piąty w linii, dwadzieścia pięć lat, bogaty, kawaler, wielki teatroman. Pojawiły się plotki o jego zaręczynach z panną Courtenay z teatru Albany, znaną jako Coco, która była, z tego co się mówi, bardzo fascynującą młodą damą.

- Dobrze. *Continuez!*

- Towarzystwo lorda Cronshawa składało się z pięciu osób: jego wuja czcigodnego Eustace'a Beltane'a, ślicznej wdowy Amerykanki Mallaby, młodego aktora Chrisa Davidsona, jego żony i na koniec, co nie znaczy, że to osoba mniej ważna, panny Coco Courtenay. Był to bal kostiumowy i cała ta grupa przebrała się za postacie ze starej włoskiej komedii - czy jak to się tam nazywa.

- *Commedia dell'arte* - mruknął Poirot. - Wiem.

- W każdym razie kostiumy były skopiowane z kolekcji porcelanowych figurek, stanowiących część zbiorów Beltane'a. Lord Cronshaw był Arlekinem, Beltane Poliszynem, a jego Pulcinellą pani Mailaby. Davidsonowie mieli kostiumy Pierrota i Pierretty, a panna Courtenay, oczywiście, Kolombiny. Ale, już na początku balu, wcześniej wieczorem czuło się, że coś jest nie w porządku. Cronshaw był ponury i zachowywał się dziwacznie. Kiedy całe to towarzystwo siadło do kolacji w małej zarezerwowanej sali, wszyscy zauważyli, że młody lord nie rozmawia z panną Courtenay. Niewątpliwie musiała płakać przed chwilą i wydawało się, że jest bliska hysterii. Wszyscy męczyli się przy tej kolacji, a kiedy wreszcie wstali od stołu, panna Courtenay głośno poprosiła Chrisa Davidsona o odwiezienie do domu, bo "ten bal przyprawia ją o mdłości". Młody aktor zawahał się, spojrzął na Cronshawa i w końcu zawrócił oboje do jadalni.

Jednak wszelkie próby pogodzenia tych dwojga okazały się daremne, toteż Davidson sprowadził taksówkę i odwiózł pannę Courtenay do mieszkania. Chociaż wyraźnie bardzo nieszczęśliwa, nie zwierzyła mu się ze swego zmartwienia, powtarzając tylko w kółko, że postara się by "ten Cronch jeszcze tego pożałował!". To jedyny szczegół sugerujący, że jej śmierć mogła nie być nieszczęśliwym wypadkiem, ale za mało do zbudowania jakiegokolwiek hipotezy. Zanim Davidson zdołał ją jakoś uspokoić, zrobiło się zbyt późno, by wracać do Colossus Hall, pojechał więc prosto do swojego mieszkania w Chelsea, gdzie niebawem pojawiła się również jego żona z wiadomością o straszliwej tragedii, jaka zdarzyła się na balu po wyjściu Chrisa.

Otóż lord Cronshaw wydawał się coraz bardziej zdenerwowany podczas imprezy. Porzucił grono przyjaciół, prawie nikt z nich już go nie widział przez resztę wieczoru. Koło pół do drugiej w nocy, tuż przed wielkim kotylionem, podczas którego wszyscy zdejmują maski, kapitan Digby, znający przebranie lorda, spostrzegł go w łoży ponad salą.

- Hej, Cronch! - zawołał - Zejdź na dół i przyłącz się do zabawy! Gdzie się tam snujesz u góry z miną sowy? Schodź szybko, właśnie idzie taki stary, dobry ragtime.

- Dobrze! - odpowiedział Cronshaw. - Stój tam i czekaj na mnie, bo inaczej nigdy nie odnajdę cię w tłumie - odwrócił się i zniknął z łoży. Kapitan Digby, któremu towarzyszyła pani Davidson, czekał. Minuty mijały, a lord Cronshaw się nie pojawiał. W końcu Digby zniecierpliwił się:

- Czy ten bufon myśli, że będziemy na niego czekać całą noc?

Pani Mailaby, która podeszła do nich wyjaśnili, co się dzieje.

- Ach, bo on - wykrzyknęła żywo piękna wdowa - jest tej nocy jak niedźwiedź, którego rozboleł łeb. Chodźmy go szukać.

Zaczęli, ale bez rezultatu, aż do chwili, gdy pani Mailaby przyszło na myśl, że może lord znajdzie się w sali, w której przed godziną jedli kolację. Ruszyli tam, ale wszedłszy stanęli jak wryci. Arlekin leżał rozciągnięty na podłodze, z nożem stołowym wbitym w serce!

Japp przerwał, a Poirot skinął głową i tonem znawcy powiedział:

- *Une belle affaire!*[2] I nie ma śladu, który wskazywałby na sprawcę czynu? No, jakże mógłby być!

- Więc - podjął inspektor - już pan zna sprawę. To była podwójna tragedia. Następnego dnia we wszystkich gazetach pojawiły się odpowiednie tytuły i krótkie doniesienia, że popularną aktorkę pannę Courtenay znaleziono martwą w jej własnym łóżku. Śmierć nastąpiła na skutek przedawkowania kokainy. Ale czy był to wypadek, czy samobójstwo? Pokojówka wezwana na przesłuchanie stwierdziła, że panna Courtenay z pewnością brała narkotyki, toteż domniemanie o przypadkowej śmierci wydaje się uzasadnione. Niemniej nie można nie brać pod uwagę wersji samobójstwa. Dodatkowo komplikuje przyczynę tej śmierci niemożność poznania przyczyn kłótni tej pary poprzedniego wieczoru. Przy okazji, przy nieboszczyku znaleziono małe, emaliowane pudełeczko. Napis z diamentów układał się na nim w imię Coco. Do połowy wypełnione było kokainą. Pokojówka rozpoznała pudełeczko jako własność panny Courtenay, która prawie zawsze nosiła je przy sobie; szybko stała się niewolnicą nałogu.

- A czy sam lord Cronshaw był narkomanem?

- Na pewno nie. Miał niezwykle surowe poglądy w tej kwestii.

Poirot kiwał głową w zadumie:

- Skoro jednak pudełeczko znaleziono przy nim, musiał wiedzieć, że panna Courtenay bierze narkotyki. Taki wniosek sam się narzuca, prawda, mój poczciwy Japp?

- Ach! - powiedział niezbyt zdecydowanie inspektor. A co pan o tym myśli?

- Nie znalazł pan żadnego śladu, jakiegokolwiek tropu, o którym nie było jeszcze mowy?

- Owszem, jest coś - Japp wyjął z kieszeni mały pompon ze szmaragdowozielonego jedwabiu i wręczył Poirotowi. Kilka poszarpanych nitek zwisało, jakby został gwałtownie urwany.

- Znaleźliśmy to w mocno zaciśniętej dłoni nieboszczyka - wyjaśnił inspektor.

Poirot oddał pompon Jappowi bez słowa i spytał:

- Czy lord Cronshaw miał jakichś wrogów?

- Nic nam nie wiadomo o żadnych wrogach. Wydawał się popularny w swoim środowisku.

- Kto odnosi korzyści z jego śmierci?

- Czcigodny Eustace Beltane, wuj denata dziedziczy tytuł i majątek. Są dwa fakty, które mogą kierować pewne podejrzenia na niego. Kilka osób słyszało gwałtowną sprzeczkę w tej małej sali jadalnej, a Eustace był jednym z kłócących się. Widzi pan, nóż porwany ze stołu wydaje się wiarygodnym narzędziem morderstwa popełnionego w odruchu gniewu czy nienawiści.

- A co pan Beltane mówi o tym?

- Twierdzi, że beształ jednego z kelnerów, który był pijany. Poza tym miało się to dzieć bliżej pierwszej niż pół do drugiej, a zeznanie kapitana Digby dokładnie określa czas. Minęło tylko kilkanaście minut od jego rozmowy z Cronshawem do odnalezienia ciała.

- W każdym razie pan Beltane w przebraniu Poliszynela miał garb i żabot?

- Tak szczegółowo nie znam kostiumów - Japp popatrzył z zaciekawieniem na Poirota. - Nie bardzo zresztą rozumiem, co to ma do rzeczy?

- Nie rozumie pan? - w uśmiechu Poirota była szczypta kpiny, jego oczy jaśniały zielonym blaskiem, który tak dobrze nauczyłem się rozpoznawać: - W tej małej sali były zasłony, prawda?

- Tak, ale...

- A za nimi tyle miejsca, że ktoś mógłby się ukryć?

- Tak, rzeczywiście, jest tam niewielka wnęka, ale skąd pan o tym wie, Poirot, przecież nie było tam pana?

- Nie, mój drogi Japp. Te zasłony wzięłem z głowy. Bez nich ten dramat jest nieracjonalny. A dramat zawsze musi mieć jakąś logikę. Ale proszę mi powiedzieć, czy nie wezwano lekarza?

- Oczywiście, natychmiast. Tylko że on nie miał już nic do roboty. Śmierć musiała być natychmiastowa.

Poirot pokiwał głową trochę niecierpliwie.

- Tak, tak, rozumiem. I lekarz stwierdził zgon, prawda?

- Tak.

- Czy nie powiedział czegoś o dziwnych symptomach - czy w wyglądzie ciała było coś, co go uderzyło jako nienormalne?

Japp popatrzył zdziwiony na detektywa.

- Tak, panie Poirot. Nie wiem, do czego pan zmierza, ale lekarz wspomniał o napięciu i zeszywnieniu kończyn, czego przyczyny nie umiał odgadnąć.

- Aha! - wykrzyknął Poirot - Aha! *Mon Dieu!* Japp, to daje do myślenia, prawda?

Widziałem, że inspektorowi z całą pewnością nie dało to do myślenia:

- Jeżeli myśli pan o truciznie, to któż na tym świecie najpierw by człowieka truł, a potem wbijał w niego nóż?

- Rzeczywiście, byłoby to absurdalne - zgodził się Poirot.

- A teraz, czy jest coś, co chciałby pan zobaczyć? Gdyby pragnął pan oglądnąć salę, w której znaleziono ciało...

Poirot machnął ręką.

- Nie, absolutnie nie chcę. Powiedział mi pan o jedynej rzeczy, która mnie tu interesuje: o poglądach lorda Cronshawa na sprawę używania narkotyków.

- A więc niczego nie chce pan zobaczyć?

- Tylko jedno.

- Co takiego?

- Komplet porcelanowych figurek, z których skopiowane zostały kostiumy.

Japp patrzył zdumiony.

- No, jest pan dziwny!

- Może mi pan to zorganizować?

- Jeśli pan chce, proszę zaglądnąć na Berkeley Square. Pan Beltane, czy jego lordowska mość, jak powinienem teraz mówić, z pewnością nie będzie miał nic przeciw temu.

Natychmiast wzięliśmy taksówkę. Nowego lorda Cronshaw nie było w domu, ale Japp wyraził życzenie, aby zaprowadzono nas do "gabinetu chińskiego", w którym przechowywano porcelanową kolekcję. Inspektor rozglądał się dookoła dość bezradnie.

- Nie mam pojęcia, jak znajdzie pan te, których potrzebuje.

Ale Poirot już przystawiał krzesło do kominka i wskoczył na nie lekko jak kot. Nad lustrem, na niewielkiej półce stało sześć figurek z chińskiej porcelany. Poirot obejrzał je bardzo uważnie, wygłaszając przy tym parę uwag.

- Les voilà![3] Stara komedia włoska. Trzy pary! Arlekin i Kolombina, Pierrot i Pierrette - bardzo delikatni w bieli i zieleni oraz Poliszynel i Pulcinella we fioletach i żółci. Bardzo staranna robota, w kostiumie Poliszynela falkbanki, kryzy, garb, cylinder. Tak jak myślałem, bardzo staranna.

Odstawił figurki na miejsce i zeskoczył z krzesła.

Wzrok Jappa zdradzał, że niewiele rozumie, ponieważ jednak Poirot najwyraźniej nie miał zamiaru niczego wyjaśniać, inspektor starał się robić dobrą minę. Zbieraliśmy się właśnie do wyjścia, gdy wszedł pan domu i Japp dokonał koniecznej prezentacji.

Szósty wicehrabia Cronshaw był eleganckim mężczyzną koło pięćdziesiątki, o twarzy noszącej ślady zepsucia. Najwyraźniej podstarzały rozpustnik, nieco zblazowany pozer. Poczuliśmy do niego natychmiastową niechęć. Przywitał nas dosyć łaskawie, informując, że wiele słyszał o talentach Poirota i oddaje się do naszej dyspozycji.

- Wiem, że policja robi wszystko, co może - powiedział Poirot.

- Obawiam się jednak poważnie, że zagadka śmierci mojego siostrzeńca nigdy nie zostanie wyjaśniona. Ta cała sprawa wygląda bardzo tajemniczo.

- Pański siostrzeniec nie miał wrogów? Nie wie pan o jakimś? - Poirot obserwował go uważnie.

- Nie miał żadnych. Tego jestem pewien - przerwał, a po chwili dodał: - Jeżeli są jeszcze jakieś pytania, które chciałby pan zadać...

- Tylko jedno - głos Poirota był poważny. - Kostiumy zostały wykonane dokładnie na wzór pańskich figurek?

- W najdrobniejszych szczegółach.

- Dziękuję panu, milordzie. To wszystko, co do czego chciałem być pewien. Życzę panu dobrego dnia.

- I co dalej? - spytał Japp, gdy szliśmy spiesznie ulicą. - Muszę złożyć raport w Scotland Yardzie, wie pan przecież.

- Bien! Nie będę pana zatrzymywać. Mam jedną drobną sprawę, którą muszę się zająć, a potem...

- Tak?

- Historia będzie zakończona.

- Czyżby? Niemożliwe! Pan wie, kto zabił lorda Cronshaw?

- *Parfaitement*[4].

- Kto? Eustace Beltane?

- Ach, *mon ami*, pan zna moją drobną słabość! Zawsze chcę trzymać nici w rękach do ostatniej chwili. Ale nie ma obaw. Ujawnię wszystko, kiedy nadejdzie czas. Nie chcę jednak przypisywać sobie zasług - sprawa będzie pańska, pod warunkiem, że pozwoli mi pan rozegrać *denouement*[5] w mój własny sposób.

- Taki układ jest *fair* - zgodził się Japp. - To znaczy, jeśli *denouement* kiedykolwiek nastąpi! Ale widzę, że nabrał pan wody w usta, prawda? Więc do zobaczenia. Idę do Scotland Yardu.

Ruszył pieszo ulicą, a Poirot uśmiechnął się i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

- Dokąd teraz jedziemy? - spytałem żywo zaciekawiony.

- Do Chelsea, zobaczyć się z Davidsonami.

Podał adres kierowcy.

- Co myślisz o nowym lordzie Cronshaw? - spytałem.

- A co sądzi o nim mój dobry przyjaciel Hastings?

- Instynktownie mu nie ufam.

- Myślisz, że ten wuj jest tu szwarccharakterem z bajki?

- A ty nie?

- Według mnie, był dla nas niezwykle uprzejmy - odpowiedział wymijająco Poirot.

- Bo miał powody!

Poirot spojrział na mnie, ze smutkiem pokiwał głową i pomruczał coś, co zabrzmiało jak: - "Żadnej logiki".

Apartament Davidsonów znajdował się na trzecim piętrze budynku. Powiedziano nam, że pan Davidson wyszedł, ale pani jest w domu. Zostaliśmy wprowadzeni do długiego, niskiego pokoju z jaskrawymi, orientalnymi draperiami. W dusznym powietrzu dominował zapach kadzidełka. Pani Davidson wyszła do nas niemal natychmiast - małe, blade stworzenie, którego kruchość wzbudzałyby współczucie i odruch litości, gdyby nie błysk przebiegłości w jasnych, niebieskich oczach.

Pokiwała smutno głową, gdy Poirot wyjaśnił powód naszej wizyty.

- Biedny Cronch i równie biedna Coco! Oboje tak za nią przepadaliliśmy i jej śmierć to dla nas straszny szok. O co chcę mnie panowie prosić? Czy naprawdę jeszcze raz muszę przeżywać ten straszny wieczór?

- Och, *madame*, proszę mi wierzyć, nie chciałbym narażać pani na jakąkolwiek przykrość bez potrzeby. W gruncie rzeczy inspektor Japp powiedział mi wszystko, co istotne. Pragnąłbym tylko zobaczyć kostium, który miała pani na balu tej nocy.

Dama wyglądała na trochę zaskoczoną, a Poirot ciągnął potoczyście:

- Pracuję według systemu obowiązującego w moim kraju. Tam zawsze "rekonstruujemy" zbrodnię. Możliwe, że będę musiał prosić wszystkich o dokładną *representation*[6], a wtedy, proszę zrozumieć, kostiumy będą niezbędne.

Pani Davidson wciąż zdawała się mieć wątpliwości:

- Słyszałam o rekonstruowaniu wydarzeń, oczywiście, nie wiedziałam jednak, że odtwarzacie aż tak drobne szczegóły. Ale zaraz przyniosę suknię.

Opuściła pokój, ale wróciła prawie natychmiast, niosąc na rękach wytworną białą-zieloną,

satynową suknię. Poirot wziął ją od pani Davidson, obejrzał i oddał z ukłonem.

- Merci, *madame*! Widzę, że miała pani pecha i straciła jeden z zielonych pomponów, ten z ramienia.

- Tak, urwał się na balu. Podniosłam go i dałam biednemu lordowi Cronshaw, żeby przechował.

- To było po kolacji?

- Tak.

- Zapewne, niedługo przed tragedią?

Lekki błysk niepokoju przemknął przez wyblakłe oczy pani Davidson, która odpowiedziała pośpiesznie:

- Och, nie, długo przed. Bardzo krótko po kolacji w gruncie rzeczy.

- Rozumiem. I to już wszystko. Nie będę pani dłużej męczyć, *bonjour, madame*.

- Zatem - powiedziałem, gdy wyszliśmy z budynku - zagadka zielonego pompona się wyjaśniła.

- Wątpię.

- Dlaczego? Co masz na myśli?

- Widziałeś, że oglądałem tę suknię, Hastings?

- Oczywiście...

- Eh bien, pompon, którego brakowało, nie został urwany, jak mówiła ta pani. Przeciwnie, został odcięty, mój przyjacielu, odcięty nożyczkami. Wszystkie nitki są równiutkie.

- O rany! - jęknąłem. - To się robi coraz bardziej skomplikowane.

- Przeciwnie - odpowiedział beznamiętnym tonem detektyw - to robi się coraz prostsze.

- Poirot - krzyknąłem - zamorduję cię któregoś dnia! Twój zwyczaj traktowania wszystkiego jako rzeczy bardzo prostych jest w najwyższym stopniu irytujący.

- Ale kiedy wyjaśniam, *mon ami*, czyż nie jest to zawsze absolutnie proste?

- Jest. I to właśnie irytuje najbardziej. Wtedy widzę, że mogłem przecież sam na to wpaść.

- Pewnie, że mógłbyś, Hastings, mógłbyś. Gdybyś tylko zadał sobie trud uporządkowania myśli!

Bez metody...

- Tak, tak - przytaknąłem pośpiesznie, bo aż za dobrze wiedziałem, jak wymowny staje się Poirot, gdy zacznie rozprawiać na swój ulubiony temat. - Powiedz mi, jaki będzie nasz następny krok? Naprawdę zamierzasz przeprowadzić rekonstrukcję zbrodni?

- Koniecznie. Powiedzmy, że dramat jest już zakończony, ale chcę zaproponować dodanie arlekinady.

Poirot zaplanował tajemnicze przedstawienie na najbliższy wtorek. Przygotowania ogromnie mnie zaintrygowały. Po jednej stronie pokoju rozpostarto biały ekran, flankowany z obu stron przez ciężkie kotary. Przyszedł mężczyzna z jakimś sprzętem oświetleniowym, a za nim aktorzy, którzy znikli w sypialni Poirota, przystosowanej do roli garderoby.

Krótko przed ósmą pojawił się Japp w niezbyt radosnym nastroju. Utwierdziłem się w przekonaniu, że z trudem akceptuje plan Poirota, nieco melodramatyczny, jak wszystkie jego pomysły. Ale, jak twierdzi mój przyjaciel, nie może zaszkodzić śledztwu i zaoszczędzi nam prawdopodobnie sporo problemów. Bardzo sprytnie postępuje w tej sprawie - pomyślałem. Szedłem tym samym tropem, oczywiście. Czuję instynktownie, że Japp nagina tu prawdę, jednak obiecałem, że pozwolę mu odegrać wszystko po swojemu. Rozmyślenia przerwało mi wejście zaproszonych gości.

Pierwszy przybył jego lordowska mość w towarzystwie pani Mailaby, którą zobaczyłem po raz

pierwszy. Ta piękna, ciemnowłosa kobieta wyglądała na wyraźnie zdenerwowaną. Po nich pojawili się Davidsonowie. Chrisa Davidsona również widziałem po raz pierwszy. Był to przystojny, wysoki brunet, niewymuszenie elegancki, poruszający się z aktorskim zawodowym wdziękiem.

Siedzenia dla widzów, zgodnie z życzeniem Poirota, zwrócone były ku jasno oświetlonej ekranowi. Pogaszono lampy, ekran był więc jedynym iluminowanym elementem w pomieszczeniu. Głos Poirota dobiegał z mroku.

- Panowie, panie, słowo wyjaśnienia. Przed ekranem przesunie się po kolei sześć postaci. Są wam znane. Pierrot i jego Pierrette, błazen Poliszynel i elegancka Pulcinella, piękna, tańcząca lekko Kolombina i chochlik Arlekin niewidzialny dla człowieka!

Po tym wprowadzeniu rozpoczęło się przedstawienie. Kolejno wszystkie postacie wspomniane przez Poirota przepływały przed ekranem, zatrzymywały się na moment, a następnie zniknęły. Zapalono lampy i z różnych stron dały się słyszeć westchnienia ulgi. Wszyscy byli zdenerwowani, bali się czegoś niewiadomego. Wydawało mi się, że przedsięwzięcie zupełnie spaliło na panewce. Jeżeli zbrodniarz był wśród nas i Poirot oczekiwał, że załamie się na sam widok znajomej postaci, to cały plan zakończył się druzgocącą klęską - co było zresztą, moim zdaniem, do przewidzenia. Mimo to Poirot nie wydawał się ani odrobinę zaniepokojony. Wyszedł, promieniejący, na środek.

- A teraz, panowie i panie, czy bylibyście tacy dobrzy i powiedzieli mi po kolei, czym jest to, co właśnie zobaczyliśmy? Zechce pan zacząć, milordzie?

Cronshaw wyglądał na zakłopotanego: - Obawiam się, że nie w pełni rozumiem.

- Proszę mi po prostu powiedzieć, co pan widział.

- Ja... no... więc, powiedziałbym, że widziałem sześć osób przechodzących przed ekranem przebranych za postaci ze starej komedii włoskiej lub, no... za nas, tamtej nocy.

- Mniejsza o tamtą noc, milordzie - wszedł mu w słowo Poirot. - Pierwsza część pańskiej wypowiedzi to jest to, co chciałem usłyszeć. *Madame*, pani zgadza się z lordem Cronshaw? - obrócił się ku pani Mailaby.

- Ja... no... tak, z pewnością.

- Potwierdza pani, że widziała sześć postaci reprezentujących starą komedię włoską?

- No oczywiście.

- Panie Davidson? Pan również?

- Tak

- Pani?

- Tak.

- Hastings? Japp też? Wszyscy się z tym zgadzają?

Popatrzył na nas, przybladły trochę, a oczy zrobiły mu się zielone jak u kota.

- A jednak - wszyscy się mylicie! Własne oczy was okłamują, tak jak okłamywały w tę noc na Balu Victory. Widzieć coś na własne oczy, jak to się mówi, nie zawsze oznacza - widzieć prawdę. Trzeba patrzeć oczami rozumu, trzeba używać tych małych, szarych komórek! Dowiedźcie się zatem, że tego wieczoru i tamtej nocy na Balu Victory widzieliśmy nie sześć, ale pięć postaci! Spójrzcie!

Lampy zgasły ponownie. Jakaś sylwetka pojawiła się przed ekranem - Pierrot!

- Kto to jest? - spytał Poirot. - Czy to Pierrot?

- Tak - krzyknęliśmy wszyscy.

- Popatrzcie jeszcze raz!

Szybkim ruchem mężczyzna zrzucił z siebie luźny kostium Pierrota. I oto w centralnym punkcie, pobłyskując cekinami, stanął Arlekin! W tym samym momencie rozległ się krzyk i łoskot przewracanego krzesła.

- Przeklęty! - warknął Davidson. - Przeklęty! Jak to zgadłeś?

Po chwili dał się słyszeć szczeł zatrzaskiwanych kajdanek i spokojny, urzędowy głos Jappa. - Aresztuję pana, Christopherze Davidson, pod zarzutem zamordowania wicehrabiego Cronshawa. Wszystko, co pan powie, może być użyte przeciw panu.

Kwadrans później podawano lekką, wyszukaną kolację i Poirot z twarzą promieniejącą gościnnością odpowiadał na nasze niecierpliwe pytania.

- To było bardzo proste. Okoliczności, w jakich został znaleziony zielony pompon, od razu sugerowały, że musiał on być urwany od kostiumu mordercy. Wykluczyłem Pierrette (ponieważ wbicie noża stołowego wymaga znacznej siły) i skupiłem się na Pierrocie jako podejrzanym. Ale Pierrot opuścił bal prawie dwie godziny przed popełnieniem morderstwa. Musiał więc albo powrócić później, aby zabić lorda Cronshaw, albo - *eh bien*[7], zabić go przed wyjściem! Czy to niemożliwe? Kto widział lorda po kolacji tego wieczoru? Tylko pani Davidson, której zeznanie, podejrzewam, było świadomie zmyślane w celu wytłumaczenia braku pompona. A pompon oczywiście odcięła od własnej sukni, żeby dosztukować go do kostiumu męża. Wobec tego Arlekin widziany w łożu o pierwszej trzydzięci musiał być już "podmieniony". Przez chwilę, wcześniej, rozważałem możliwość, że to pan Beltane jest sprawcą. Ale przy specyfice jego kostiumu zdublowanie ról Poliszynela i Arlekina było naprawdę niemożliwe. Z drugiej strony, dla Davidsona, młodego mężczyzny o mniej więcej tym samym wzroście co ofiara, w dodatku zawodowego aktora, sprawa była prosta.

Jedna rzecz mnie dręczyła. Z pewnością lekarz musiał zauważyć różnicę między nieboszczykiem, który jest martwy od dwóch godzin i denatem od dziesięciu minut! *Eh bien*, lekarz to spostrzegł! Ale przy zwłokach nie zadano mu pytania: "Od kiedy ten człowiek nie żyje?". Przeciwnie, lekarz został poinformowany, że zmarłego widziano żywym zaledwie dziesięć minut wcześniej. Toteż stwierdzając zgon, doktor ograniczył się do konstatacji o nienormalnym zeszywnieniu kończyn, którego nie umiał wyjaśnić!

Teraz wszystko zdarza się idealnie z moją teorią. Davidson zabił Cronshawa zaraz po kolacji, kiedy, jak pamiętacie, widziano go wprowadzającego lorda z powrotem do salki. Potem odjechał z panną Courtenay, zostawił ją w drzwiach mieszkania, zamiast spróbować uspokoić, jak obiecywał i w wielkim pośpiechu wrócił do Colossusa - już jednak jako Arlekin, a nie Poliszynel. Przeistoczył się w prosty sposób: zdjął kostium, który miał na wierzchu.

Wuj zmarłego pochylił się do przodu, widać było, że miał wątpliwości.

- Ale, jeżeli tak, musiał przyjść na bal przygotowany do zabicia ofiary. Jaki, do licha, mógłby mieć motyw? Motyw, to jest to, czego mi brakuje.

- Ach! Tu dochodzimy do drugiej tragedii: panny Courtenay. Jeden fakt wszyscy przeoczyli. Panna Courtenay zmarła na skutek zatrucia kokainą, ale jej porcja narkotyku pozostała w emaliowanej szkatułce znalezionej przy zwłokach lorda Cronshaw. Skąd więc wzięła dawkę, która ją zabiła? Tylko jedna osoba mogła jej podać kokainę - Davidson. I to wyjaśnia wszystko. Pasuje do tego jej przyjaźń z tą parą i życzenie, żeby właśnie Davidson odwiózł ją do domu. Lord Cronshaw,

niemal fanatyczny wróg narkotyków, wiedział, że panna Courtenay jest uzależniona i podejrzewał Davidsona o dostarczanie jej kokainy. Aktor oczywiście zaprzeczał, ale lord Cronshaw z determinacją dążył do poznania prawdy w trakcie balu. Mógłby wybaczyć nieszczęsnej dziewczynie, ale z pewnością nie miałby litości dla kogoś żyjącego z handlu narkotykami. Davidson stanął w obliczu zdemaskowania i ruiny. Przyszedł na bal zdecydowany zamknąć usta Cronshawowi za wszelką cenę.

- Czy zatem śmierć Coco była wypadkiem?

- Podejrzewam, że był to wypadek przemyślnie zaaranżowany przez Davidsona. Coco była wściekła na Cronshawa. Po pierwsze, robił jej wymówki, a po drugie, odebrał kokainę. Davidson dał jej nową porcję i prawdopodobnie namawiał do wzięcia większej dawki, na złość "temu Cronshawowi"!

- Jeszcze jedna rzecz - spytałem. - Nisza i kotara? Skąd wiedziałeś, że tam są?

- Och, to, *mon ami*, było w tym wszystkim najprostsze. Kelnerzy wchodzili do tej małej sali i wychodzili, więc ciało nie mogło leżeć na podłodze, tam, gdzie je znaleziono. Musiało być jakieś miejsce na jego ukrycie. Wydedukowałem, że była to nisza zasłonięta kotarą. Davidson przeciągnął tam zwłoki, a później, po zwróceniu uwagi na siebie w łoży, wywlókł na środek i na dobre opuścił Colossus Hall. To było jedno z jego najlepszych pociągnięć. Sprytny morderca!

W zielonych oczach Poirota odczytałem jednak bezbłędnie niewypowiedzianą uwagę: - Sprytny, ale nie aż tak sprytny jak Herkules Poirot!

Przygoda kucharki z Clapham

Kiedy dzieliłem mieszkanie z moim przyjacielem Herkulesem Poirotem, miałem zwyczaj czytać mu na głos tytuły z porannej gazety "Daily Blare".

"Daily Blare" był dziennikiem polującym na sensacje. Wiadomości o rabunkach i morderstwa nie kryły się tu gdzieś na ostatnich kolumnach. Przeciwnie, były w oczy wielkimi tytułami na pierwszej stronie.

URZĘDNIK BANKOWY ZNIKNAŁ WRAZ Z PAPIERAMI WARTOŚCIOWYMI OPIEWAJĄCYMI NA PIĘĆDZIESIĄT TYSIĘCY FUNTÓW - czytam.

MAŻ WŁOŻYŁ GŁOWĘ DO KUCHENKI GAZOWEJ. NIESZCZĘŚLIWE ŻYCIE RODZINNE. ZAGINIONA MASZYNISTKA. ŁADNA DWUDZIESTOJEDNOLETNIA DZIEWCZYNA. GDZIE JEST EDNA FIELD?

- Tyle masz tu do wyboru, Poirot. Urzędnik bankowy, który się ulotnił, tajemnicze samobójstwo, zaginiona maszynistka - na co się zdecydujesz?

Przyjaciel był w pogodnym nastroju. Lekko potrząsnął głową.

- Żadna z tych rzeczy mnie nie pociąga, *mon ami*. Dzisiaj mam chęć na słodkie nieróbstwo. Tylko bardzo interesujący problem mógłby mnie skusić i podnieść z fotela. Widzisz, mam kilka osobistych spraw do załatwienia.

- Na przykład jakich?

- Moja garderoba, Hastings. Jeżeli się nie mylę, na moim nowym szarym garniturze jest tłusta plama, wprawdzie tylko jedna, ale dla mnie to wystarczająco duże zmartwienie. Następnie płaszcz zimowy - trzeba go przesypać naftaliną. I uważam, tak, uważam, że już najwyższy czas przystrzyć wąsy, a potem nałożyć na nie pomadę.

- No tak - powiedziałem podchodząc do okna - ale wątpię, żebyś zdołał wykonać ten szaleńczy program. Ktoś dzwoni do drzwi. Masz klienta.

- Jeśli nie jest to sprawa wagi państwowej, nawet jej nie tknę - oświadczył solennie Poirot.

Chwilę później nasze zacisze domowe stało się terenem inwazji tęgiej rumianej damy, ziejącej ciężko w wyniku pośpiesznej wspinaczki po schodach.

- To pan jest Poirot? - spytała opadając na fotel.

- Tak, *madame*, jestem Herkules Poirot.

- Ani trochę nie wygląda pan tak, jak sobie wyobrażałam - dama przypatrywała mu się raczej z dezaprobatą. - Czy pan płaci gazetom, żeby pisały, jakim sprytnym jest detektywem, czy one tak same z siebie?

- *Madame!* - poderwał się Poirot.

- Przepraszam, jestem pewna, że pan nie płaci, ale wiadomo, jakie są gazety w obecnych czasach. Zaczyna się czytać ciekawy artykuł pt. *Co panna młoda powiedziała swojej niezamężnej przyjaciółce*, a tu w koło o tym, jaki szampon należy kupować w perfumerii. Wszędzie ta reklama. No, ale nie obraził się pan, mam nadzieję? Już mówię, czego od pana oczekuję. Chcę, żeby pan znalazł moją kucharkę.

Poirot gapił się na nią, widziałem, że chociaż raz zapomniał języka w gębie. Odwróciłem się, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

- Wszystko dlatego, że za dużo im się daje - ciągnęła dama. - W głowach tych służących zaszczepia się takie pomysły, że będą maszynistkami i nie wiadomo kim jeszcze. Trzeba z tym skończyć, mówię. Chciałabym wiedzieć, na co może się skarżyć moja służba; raz w tygodniu wolne popołudnie i wieczór, co druga niedziela wolna, pranie nosi się do praczki, jedzą to samo co my, a w naszym domu nigdy nie ma margaryny, tylko i wyłącznie najlepsze masło.

Zrobiła pauzę dla zaczerpnięcia oddechu i Poirot wykorzystał tę okazję. Poderwał się na równe nogi i odezwał wyniosłym tonem: - Obawiam się, że pani pomyliła adres, *madame*. Nie zajmuję się badaniami warunków pracy służby domowej. Jestem prywatnym detektywem.

- Wiem o tym. - Czyż nie powiedziałam, że chcę, aby pan odnalazł moją kucharkę? Wyszła z domu w środę nie mówiąc mi ani słowa i nie ma jej do tej pory.

- Przykro mi *madame*, ale tego typu spraw nie tykam. Życzę pani miłego dnia.

Kobieta prychnęła z oburzeniem.

- Ach tak, mój miły panie? Nie będzie się pan zniżał, czy tak? Dla pana tylko rządowe tajemnice i klejnoty hrabianek? Pozwoli pan powiedzieć sobie, że dla kobiety mojego stanu służąca jest równie ważna jak diadem księżniczki. Wszystkie nie możemy być pięknymi paniami, które przystrojone w diamenty i perły rozjeżdżają się swoimi autami. Dobra kucharka to dobra kucharka i kiedy się ją traci, to tyle samo znaczy, co postradanie pereł przez jakąś piękną lady.

Przez chwilę wydawało się, że Poirot nie wie, co w nim silniejsze: poczucie godności czy poczucie humoru. W końcu roześmiał się i usiadł.

- *Madame*, pani ma rację, a ja się mylę. Pani uwagi są słuszne i świadczą o inteligencji. Ta sprawa będzie precedensem. Nigdy jeszcze nie polowałem na zaginionego domownika. Naprawdę jest to problem o znaczeniu państwowym, czego żądałem od losu, zanim pani przyszła. *En avant!*[8] Mówi pani, że ten klejnot wśród kucharek wyszedł w środę czyli przedwczoraj i nie wrócił.

- Tak, wtedy miała wychodne.

- Ale, być może, zdarzył się jej jakiś wypadek, *madame*. Pytała pani w szpitalach?

- Tak właśnie pomyślałam sobie wczoraj, ale dziś rano, wyobraża pan sobie, przysłała po swój kufer. A do mnie ani słowa! Gdybym była w domu, nie wydałabym tego kufra. Ale akurat wyskoczyłam do rzeźnika.

- Może mi ją pani opisać?

- W średnim wieku, tęga, czarne, siwiejące włosy, bardzo przyzwoity wygląd. Dziesięć lat w ostatnim miejscu pracy. Nazywa się Eliza Dunn.

- I nie miała pani z nią sprzeczki w środę?

- Najmniejszej. I właśnie dlatego jest to takie dziwne.

- Ile służących ma pani?

- Dwie. Pokojówka Annie jest bardzo miłą dziewczyną. Trochę zapominalska i głowę ma pełną fantazji na temat młodych mężczyzn, ale to dobra służąca, jeśli zajmie się ją pracą.

- A jak jej się układało z kucharką?

- Raz lepiej, raz gorzej oczywiście, ale ogólnie bardzo dobrze.

- Pokojówka może rzucić trochę światła na tę tajemnicę?

- Mówi, że nie, ale wiadomo, jakie są służące. Trzymają ze sobą.

- Dobrze, musimy to zbadać. Jak pani mówiła? Gdzie jest pani rezydencja, *madame*?

- W Clapham, Prince Albert Road 88.

- *Bien, madame*. Życzę pani miłego poranka i może pani liczyć na moją wizytę w ciągu dnia.

Pani Todd, bo tak nazywała się nasza nowa znajoma, wyszła. Poirot popatrzył na mnie z pewną obawą.

- No, Hastings, mamy tu sprawę całkiem nowego typu. Zniknięcie kucharki z Clapham! Nigdy, ale to nigdy nasz przyjaciel inspektor Japp nie może się o tym dowiedzieć!

Następnie Poirot przystąpił do nagrzewania żelazka i starannie usunął tłustą plamę ze swojego szarego garnituru posługując się kawałkiem bibuły. Zabiegi wokół wąsów z ubolewaniem odłożył na inny dzień i wyruszyliśmy do Clapham.

Prince Albert Road okazała się uliczką identycznych małych, wymuskanych domków. Miłe, koronkowe firanki przesłaniały okna, mosiężne klamki u drzwi błyszcząły wypolerowane.

Zadzwoniliśmy pod numer 88 i zaraz otworzyła nam schludna pokojówka o ładnej buzi. Pani Todd wyszła do holu, aby nas powitać.

- Zaczekaj, Annie - zawołała. - Ten pan jest detektywem i chce zadać ci parę pytań.

Twarz Annie wyrażała walkę pomiędzy zaniepokojeniem, ciekawością i ekscytacją.

- Dziękuję, *madame* - skłonił się Poirot. - Chciałbym właśnie teraz zapytać pani pokojówkę o parę rzeczy, ale jeśli mógłbym, na osobności.

Zostaliśmy poprowadzeni do małej ubieralni i gdy pani Todd z wyraźnym ociąganiem wyszła, Poirot rozpoczął przesłuchanie.

- *Voyons, mademoiselle* Annie, wszystko, co panienka nam powie, będzie miało ogromne znaczenie. Ty jedna możesz rzucić trochę światła na tę sprawę. Bez tej pomocy nie będę w stanie nic zrobić.

Niepokój zniknął z twarzy dziewczyny, zostało przyjemne podniecenie.

- Naturalnie, sir. Powiem panu wszystko, co będę mogła.

- To dobrze - Poirot spoglądał ku niej z aprobatą. - Więc, przede wszystkim, jakie jest twoje własne zdanie? Dziewczyny tak inteligentnej, to widać natychmiast! Jakie jest twoje własne wyjaśnienie zniknięcia Elizy?

Tak zachęcona Annie wylała z siebie potok wzburzonych słów.

- Handlarze żywym towarem, sir, od początku to mówiłam! Kucharka zawsze ostrzegła mnie przed nimi. "Niczego nie wachaj, nie jedz żadnych cukierków, choćby taki facet wydawał się nie wiem jakim dżentelmenem!". Tak właśnie mi mówiła. A teraz ją mają! Jestem o tym przekonana. Najpewniej wysłali ją do Turcji albo w inne miejsce na Wschodzie, gdzie, jak słyszałam, lubią tłuste!

Poirot zachował godną podziwu powagę.

- Ale w takim wypadku, a to niewątpliwie jest wyjaśnienie, czy posłałaby tu kogoś po kufer?

- No, nie wiem, sir. Może chciałyby mieć swoje rzeczy nawet w tych dalekich krajach.

- Kto przyszedł po kufer, mężczyzna?

- To był Carter Paterson, sir.

- Sama pakowałaś rzeczy Elizy?

- Nie, sir, kufer był już spakowany i obwiązany.

- Ach! To interesujące. Dowodzi, że kiedy wyszła z domu w środę, była zdecydowana już tu nie wracać. Rozumie pani, prawda?

- Tak, sir. Nie pomyślałam o tym - Annie wyglądała na nieco zbitą z tropu. - Ale to jednak mogli być handlarze żywym towarem, prawda, sir? - dodała zasmucona.

- Niewątpliwie! - zapewnił z powagą Poirot. - Czy miałyście wspólny pokój?

- Nie, sir, spałyśmy oddzielnie.

- A czy Eliza wyrażała jakieś niezadowolenie ze swojej obecnej posady? Czy wam obydwu było

tu dobrze?

- Nigdy nie wspominała o odejściu. To miejsce jest w porządku - dziewczyna zawahała się.

- Proszę mówić bez obaw - zachęcał łagodnie Poirot. - Nie powtórzę twojej pani.

- No, oczywiście, sir, to zrzęda, znaczy się pani. Ale jedzenie jest dobre. Pod dostatkiem, bez wydzielan. Coś gorącego na kolację, tłuszczu do smażenia ile się chce. A poza tym, gdyby Eliza chciała zmienić miejsce, nigdy nie odeszłaby w ten sposób, jestem pewna. Odczekałaby pełny miesiąc. Przecież pani mogłaby jej nie zapłacić w ogóle za ten miesiąc po zrobieniu czegoś takiego!

- A praca, czy nie jest za ciężka?

- Z mojej pani to jest okaz, zawsze szuka kurzu po kątach. I jeszcze lokator, czy też, jak go się stale nazywa, płacący gość. Ale to tylko śniadanie i kolacja, tak samo jak nasz pan. Przez cały dzień są w City.

- Lubi panienka swojego pana?

- Jest w porządku. Bardzo spokojny, trochę sknerowaty.

- Przypuszczam, że nie pamiętasz, jakie były ostatnie słowa Elizy przed wyjściem?

- Pamiętam. Powiedziała, że jeżeli zostanie trochę gotowanych brzoskwiń w jadalni państwa, to będziemy je miały na kolację. Z odrobiną bekonu i frytek. Miała fioła na punkcie gotowanych brzoskwiń.

- Czy w każdą środę miała wychodne?

- Tak, ona w środy, a ja w czwartki.

Poirot zadał jeszcze kilka pytań i oświadczył, że to już wszystko. Annie oddaliła się, natomiast pośpiesznie weszła pani Todd z twarzą płonąca od ciekawości. Była, czułem to wyraźnie, dotknięta wyproszeniem z pokoju na czas rozmowy z Annie. Poirot potrafił jednak szybko ją udobruchać.

- Trudno kobiecie o tak wyjątkowej inteligencji jak pani - wyjaśnił - znosić cierpliwie żmudne docieranie do prawdy, czyli metodę, którą my, nieszczęśni detektywi, zmuszeni jesteśmy stosować. Byстрыm nie jest łatwo patrzeć w spokoju na głupotę.

Uśmierzywszy w ten sposób wszelkie dąsy ze strony pani Todd, Poirot skierował rozmowę na jej męża i usłyszał, że pracuje on w firmie na terenie City, a w domu będzie dopiero po szóstej.

- Niewątpliwie jest bardzo poruszony i zmartwiony tą niewyjaśnioną sprawą. Czyż nie tak?

- On się nigdy nie martwi - obwieściła pani Todd. "Dobrze, dobrze, weź inną, moja droga". To wszystko, co powiedział! Ten jego wieczny spokój doprowadza mnie czasem do szału. "Niewdzięczna kobieta", powiedział i dodał: "Pozbyliśmy się jej".

- A inni domownicy, *madame*?

- Chodzi o pana Simpsona, naszego płacącego gościa? No więc, dopóki dostaje śniadanie i wieczorny posiłek, nie przejmuję się niczym.

- Jaki jest jego zawód, *madame*?

- Pracuje w banku - wymieniła nazwę i drgnąłem przypomniawszy sobie lekturę "Daily Blare".

- To młody człowiek?

- Dwadzieścia osiem lat, zdaje mi się. Miły, spokojny, młodzieniec.

- Chętnie zamieniłbym z nim parę słów, jak również pani mężem, jeśli można. W tym celu wrócę tu dziś wieczorem. Ośmielę się zasugerować nieco odpoczynku, *madame*, wygląda pani na zmęczoną.

- Pewnie, że jestem zmęczona! Najpierw to zmartwienie z Elizą, wczoraj praktycznie cały dzień na zakupach, pan wie, co to jest, panie Poirot i mnóstwo do zrobienia w domu, bo przecież Annie nie

poradzi sobie z tym wszystkim, a prawdopodobne, że i ona złoży wypowiedzenie, rozbita tą sytuacją. Tyle się tego nazbierało, tak, jestem przemęczona!

Poirot wymruczał coś współczującego i wyszliśmy.

- Ciekawy zbieg okoliczności - zauważyłem. - Ten urzędnik Davies, który zniknął, był z tego samego banku co Simpson. Czy tu może być jakiś związek?

Poirot uśmiechnął się.

- Z jednej strony urzędnik, który zniknął, a z drugiej zaginiona kucharka. Trudno dostrzec cokolwiek łączącego te dwie sprawy, chyba, że Davis odwiedził Simpsona, zakochał się w kucharce i namówił ją, żeby towarzyszyła mu w ucieczce!

Roześmiałem się. Natomiast Poirot pozostał poważny:

- Mógł zrobić coś gorszego - powiedział z dezaprobatą.

- Pamiętaj, Hastings, jeśli wyjeżdża się na obczyznę, dobra kucharka może być większą pociechą niż ładna buzia! - przerwał na chwilę, a potem dodał: - To ciekawa sprawa, pełna sprzecznych elementów. Jestem zainteresowany, tak, zdecydowanie zainteresowany.

Tego wieczoru wróciliśmy na Prince Albert Road pod numer 88 i rozmawialiśmy zarówno z Toddem, jak i Simpsonem. Ten pierwszy był melancholijnym czterdziestoparolatkiem o zapadniętych policzkach.

- Och! Tak, tak - powiedział niezdecydowanie. - Eliza. Tak. Dobra kucharka, przypuszczam. I gospodarna. Dla mnie ważna jest gospodarność.

- Czy może pan odgadnąć powód jej tak nagłego odejścia od państwa?

- Och, no, wie pan, służące. Moja żona zbyt się martwi. Cały problem jest naprawdę bardzo prosty. "Weź inną, moja droga", powiedziałem. "Weź inną". To wszystko w tej sprawie. Nie ma co rozpaczać nad rozlanym mlekiem.

Pan Simpson, niepozorny, młody mężczyzna w okularach okazał się równie mało pomocny.

- Musiałem ją widzieć, tak przypuszczam. Starsza kobieta, prawda? Oczywiście jest ta druga, którą zawsze widuję, Annie. Miła dziewczyna. Bardzo grzeczna.

- Czy służące były ze sobą w dobrych stosunkach? Pan Simpson zastrzegł, że nie może na ten temat wiele powiedzieć, ale przypuszcza, że tak.

- Zatem, nie ma tam dla nas nic interesującego, *mon ami* - powiedział Poirot, gdy wyszliśmy z domu. Wcześniej musieliśmy jeszcze wysłuchać donośnej repetycji poglądów pani Todd. To samo co z rana, tylko znacznie obszerniej.

- Jesteś rozczarowany? - spytałem. - Spodziewałeś się coś usłyszeć?

Poirot potrząsnął głową: - Była pewna możliwość, oczywiście, ale nie sądziłem, że to prawdopodobne.

Następnym elementem w sprawie był list, który detektyw otrzymał nazajutrz rano. Przeczytał, spurpurowiał ze złości i podał mi.

Pani Todd wyraża ubolewanie, że nie skorzysta jednak z usług pana Poirot. Po omówieniu całej sprawy z mężem widzi, że było to niemądre, by wzywać detektywa w sprawie czysto domowej. Pani Todd dołącza jedną gwineę jako honorarium za konsultację.

- Aha! - wykrzyknął gniewnie Poirot. - I oni zamierzają pozbyć się Herkulesa Poirota w ten sposób! Z łaski, z wielkiej łaski, zgodziłem się wyjaśnić tę ich żalosną, groszową aferę, a oni mnie

dymisjonują *comme ça!* To ręka, nie myślę, się pana Todda. Ale ja mówię nie! Trzydzieści sześć razy nie! Wydam swoje własne gwinee, trzydzieści sześć setek gwinei, jeżeli trzeba będzie, ale dotrę do samego dna tej sprawy!

- Tak - powiedziałem. - Ale jak?

Poirot uspokoił się nieco.

- D'abord[9], damy ogłoszenie do gazet. Niech pomyślę, tak, coś w tym rodzaju: "Jeżeli Eliza Dunn zgłosi się pod ten adres, otrzyma cenną informację". Daj to do wszystkich gazet, jakie ci przyjdą na myśl, Hastings. A ja sam przeprowadzę pewne poszukiwania. Już, już, wszystko musi być załatwione jak najszybciej!

Zobaczyłem go dopiero wieczorem, kiedy był łaskaw opowiedzieć, co zrobił.

- Przeprowadziłem rozeznanie w firmie pana Todda. W środę był w pracy, ma dobry charakter - tyle o nim. Co do Simpsona, w czwartek był chory i nie przyszedł do banku, natomiast pracował w środę. Był umiarkowanie zaprzyjaźniony z Davisem. Nic ponad zwyczajne kontakty. Nie wygląda na to, żeby tam było coś dla mnie. Nie. Musimy zdać się na ogłoszenia.

Ogłoszenia ukazały się o właściwym czasie we wszystkich głównych dziennikach. Według życzenia Poirota miały być powtarzane codziennie przez tydzień. Jego pilność w wyświetlaniu niezbyt fascynującej kwestii zaginięcia kucharki była nadzwyczajna, ale widziałem przecież, że za punkt honoru uznał doprowadzenie jej do końca. W tym czasie przyniesiono mu kilka nadzwyczaj interesujących spraw, nie wziął jednak żadnej. Co rano rzucał się na pocztę, starannie ją studiował, a potem odkładał na bok z westchnieniem.

Nasza cierpliwość została jednak w końcu nagrodzona. W pierwszą środę po wizycie pani Todd, nasza gospodyni poinformowała, że osoba o nazwisku Eliza Dunn prosi o rozmowę.

- Enfin![10] - krzyknął Poirot. - Niech więc wchodzi! Natychmiast. Już.

Tak ponaglona gospodyni popędziła i wprowadziła po chwili pannę Dunn. Nasza zguba odpowiadała opisowi: wysoka, tęga, o bardzo przyzwoitej powierzchowności.

- Przychodzę w związku z ogłoszeniem - wyjaśniła. - Pomyślałam sobie, że musi być jakieś zamieszanie, nieporozumienie i może panowie nie wiedzą, że ja dostałam już mój spadek.

Poirot przyglądał się jej badawczo. Szarmancko podsunął fotel.

- W tym rzecz, że była pracodawczyni, pani Todd bardzo się martwi. Obawiała się, że mógł się pani zdarzyć jakiś wypadek.

Eliza Dunn wyglądała na ogromnie zaskoczoną.

- Więc nie dostała mojego listu?

- Nie dostała ani słowa - Poirot zamilkł, a potem powiedział z naciskiem: - Zechce pani przedstawić mi całą tę historię, dobrze?

Eliza Dunn nie potrzebowała zachęty. Natychmiast rozpoczęła długą opowieść.

- Wracalam właśnie w środę wieczorem do domu, gdy, już na mojej ulicy, zatrzymał mnie jakiś wysoki, brodaty dżentelmen w cylindrze. "Panna Eliza Dunn?" - zapytał. "Tak" odpowiedziałam. "Pytałem o panią pod numerem 88, poinformowano mnie, że będę mógł panią tu spotkać. Panno Dunn, przyjechałem z Australii specjalnie, aby panią odnaleźć. Czy zna pani nazwisko panińskie swojej babki ze strony matki?". "Jane Emmott" odpowiedziałam. "Zgadza się. Więc panno Dunn,, choć pewnie nigdy pani o tym nie słyszała, pani babka miała wielką przyjaciółkę Elizę Leech. Ta przyjaciółka wyjechała do Australii, gdzie poślubiła jakiegoś bardzo bogatego osadnika. Jej dwoje dzieci zmarło jeszcze w niemowlęctwie, więc to ona odziedziczyła cały majątek męża. Zmarła parę

miesiący temu i zgodnie z jej testamentem pani dostała w spadku dom tu, w Anglii, oraz znaczną sumę pieniędzy”.

Gdyby ktoś dmuchnął, tobym się przewróciła, tak zbaraniałam - ciągnęła panna Dunn. - Przez chwilę podejrzewałam go o oszustwo. Musiał zauważyć, bo uśmiechnął się. “Całkiem zrozumiałe, że jest pani nieufna”, powiedział. “Oto moje dokumenty”. Wręczył mi list od jakichś prawników z Melbourne - Hursta i Crotcheta oraz wizytówkę. To on był tym Crotchetem. “Są jeszcze dwa warunki” dodał. “Nasz klient był nieco ekscentryczny, wie pani. Warunkiem otrzymania spadku jest przejście domu w hrabstwie Cumberland do godziny dwunastej dnia jutrzejszego. Drugi warunek jest bez większego znaczenia. To tylko taki wymóg, że pani nie może należeć do służby domowej”. Zmartwiałam. “Och, panie Crotchet. Jestem kucharką. Nie powiedzieli panu i tego w domu?”. “Ojej” zmartwił się. “Nie miałem o tym pojęcia. Myślałem, że pani jest damą do towarzystwa lub guwernantką. To bardzo niefortunnie. To dopiero pech”.

“Czy stracę te wszystkie pieniądze?” - spytałam przerażona, a on zastanawiał się przez dłuższą chwilę. “Zawsze jest jakiś sposób na obejście prawa, panno Dunn”, powiedział w końcu. “My, prawnicy, to wiemy. Dla pani wyjściem jest porzucenie pracy jeszcze tego wieczoru”. “A miesięczne wypowiedzenie?” - spytałam, a on się uśmiechnął. “Panno Dunn, może pani odejść z pracy w każdej sekundzie za cenę utraty miesięcznego wynagrodzenia. W tych okolicznościach pani chlebodawczyni to zrozumie. Problem jest jedynie z czasem! Musi pani złapać pociąg o 11,15 ze stacji King's Cross w kierunku północnym. Mogę pani dać dziesięć funtów zadatku na bilet, a na stacji proszę napisać kartkę z wyjaśnieniem. Sam ją doręcę do domu, w którym pani pracowała”. Zgodziłam się, oczywiście, i po godzinie jechałam pociągiem, tak oszołomiona, że nie wiedziałam, czy stoję, czy siedzę. Zanim dotarłam do Carlisle, byłam już na pół przekonana, że padłam ofiarą tych nabieraczy, o których się ciągle czyta. Poszłam jednak pod adres, który ten dżentelmen mi dał i rzeczywiście byli tam adwokaci, wszystko w porządku. Ładny domek i trzysta funtów rocznie. Ci prawnicy niewiele wiedzieli, dostali po prostu list z Londynu instruujący, że mają przekazać mi dom i 150 funtów za pierwsze półrocze. Pan Crotchet przesłał moje rzeczy, ale nie było ani słowa od pani. Przypuszczałam, że jest zła i zazdrosna o mój kawałek szczęścia. Zatrzymała również mój kufer, a ubrania zapakowała w paczki owinięte papierami. No, ale skoro nie dostała mojego listu, mogła myśleć o mnie nie najlepiej.

Poirot wysłuchał uważnie tej długiej historii. Kiwnął głową jakby na znak pełnego zadowolenia.

- Dziękuję, panno Dunn. Było małe, jak pani to powiedziała, zamieszanie. Proszę pozwolić mi zrekompensować pani trud - wręczył jej kopertę. - Wraca pani natychmiast do Cumberland? Jedno słówko na ucho: Proszę nie zapominać sztuki gotowania. Zawsze użytecznie jest mieć coś, do czego można wrócić, gdy sprawy potoczą się źle.

- Naiwna - mruknął, gdy nasz gość wyszedł - ale pewnie nie bardziej niż większość ludzi z jej klasy. - Nagle spoważniał: Idziemy, Hastings, nie ma czasu do stracenia. Złap taksówkę, a ja tymczasem napiszę kartkę do Jappa.

Poirot czekał przed drzwiami, gdy wróciłem z taksówką.

- Dokąd jedziemy? - spytałem niecierpliwie.

- Najpierw, posłać tę kartkę przez specjalnego gońca. Zrobiwszy to Poirot wrócił do taksówki i podał kierowcy adres:

- Clapham, Prince Albert Road osiemdziesiąt osiem.

- A więc tam jedziemy?

- Mais oui.[11] Chociaż szczerze mówiąc obawiam się, że będziemy za późno. Nasz ptaszek wyfrunie, Hastings.

- Kto to jest, nasz ptaszek?

Poirot uśmiechnął się.

- Niepozorny pan Simpson.

- Co? - wykrzyknąłem.

- Och, Hastings, nie mów, że teraz jeszcze nie wszystko jest dla ciebie jasne!

- Kucharkę usunięto, to rozumiem - odpowiedziałem nieco urażony. - Ale dlaczego? Dlaczego Simpsonowi zależało na usunięciu jej z domu? Czy coś o nim wiedziała?

- Zupełnie nic.

- No więc...

- Potrzebował czegoś, co miała.

- Pieniądzy? Spadku z Australii?

- Nie, mój przyjacielu, czegoś zupełnie innego. - Przerwał na moment, a potem powiedział z powagą: poobijanego, blaszanego kufra...

Spojrzałem na niego z boku. To stwierdzenie wydawało się tak nieprawdopodobne, że podejrzewałem go o kpiny, ale on był śmiertelnie poważny.

- Przecież mógł kupić kufer, jeśli potrzebował - krzyknąłem.

- On nie chciał mieć nowego. Potrzebował kufra z rodowodem. Kufra, który miał zagwarantowany szacunek.

- Słuchaj, Poirot - poczułem się urażony - tego już za wiele. Robisz ze mnie idiotę.

Popatrzył na mnie: - Brakuje ci rozumu i wyobraźni pana Simpsona, Hastings. Popatrz: w środę wieczorem Simpson wywabia z miasta kucharkę. Przygotowanie drukowanych wizytówek i listu to prosta sprawa. Chętnie płaci też 150 funtów i roczny czynsz za dom, żeby zagwarantować powodzenie swojego planu. Panna Dunn nie rozpoznaje go, daje się nabrać na brodę, cylinder i odrobinę kolonialnego akcentu. To wszystko, co zdarzyło się w środę, jeśli pominąć drobny fakt, że Simpson wziął sobie zbywalne papiery wartościowe za pięćdziesiąt tysięcy funtów.

- Simpson... ale to Davis...

- Uprzejmie pozwól mi kontynuować, Hastings! Simpson wiedział, że kradzież wyda się w czwartek po południu. Nie poszedł więc w tym dniu do banku, lecz czekał, aż Davis wyjdzie na lunch. Prawdopodobnie przyznał mu się do kradzieży i powiedział, że zwróci te papiery wartościowe jemu, do rąk. W każdym razie jakoś udało mu się ściągnąć Davisa do Clapham. Pokojówka miała w tym dniu wychodne, a pani Todd poszła na zakupy, w domu nie było więc nikogo. Tymczasem w banku wykryto kradzież oraz stwierdzono zniknięcie Davisa, wnioski narzucały się więc same. Złodziejem jest Davis! Pan Simpson będzie całkowicie bezpieczny i wróci nazajutrz do pracy jako uczciwy, szanowany, urzędnik.

- A Davis?

Poirot zrobił wymowny gest i powoli pokiwał głową.

- Aż trudno uwierzyć w takie morderstwo z zimną krwią, ale jakie może być inne wyjaśnienie, *mon ami*. Jedyнным problemem dla mordercy mogło być pozbycie się ciała, ale Simpson z góry to obmyślił. Od razu uderzył mnie fakt, że chociaż Eliza Dunn oczywiście zamierzała wrócić wieczorem w dniu swojego wychodnego (świadczą o tym jej słowa o gotowanych brzoskwiniach), to jednak kufer był spakowany, gdy poń posłano. To Simpson zamówił Cartera Patersona na piątek i to

Simpson obwiązał kufer w czwartek po południu. Jakże to mogło wzbudzić podejrzenia? Służąca odchodzi i posyła po swój kufer, opatrzony już w metryczkę z jej nazwiskiem i nazwą jakiejś łatwo dostępnej z Londynu stacji, na której ma być odebrany. W sobotę po południu Simpson, w swoim australijskim przebraniu odbiera go i wypisuje nową metryczkę z poleceniem dostarczenia na inną stację, gdzie ma "czekać na zgłoszenie się odbiorcy". Kiedy kufer zacznie wzbudzać podejrzenia z oczywistych powodów, i zostanie urzędowo otwarty, można będzie stwierdzić jedynie, że brodaty mężczyzna, przybysz z kolonii, nadał przesyłkę na jednej ze stacji węzłowych w pobliżu Londynu. Nic, co mogłoby wiązać się z numerem 88 przy Prince Albert Road. Aha! Jesteśmy.

Przypuszczenia Poirota okazały się trafne. Simpson wyjechał przed paroma dniami. Ale konsekwencje popełnienia zbrodni miały go nie ominąć. Dzięki łączności radiowej został odnaleziony na pokładzie Olympii płynącej do Ameryki.

Błaszany kufer, zaadresowany na nazwisko Henry Wintergreen, przyciągnął uwagę urzędników kolejowych w Glasgow. Znaleziono w nim zwłoki nieszczęsnego Davisa.

Czek od pani Todd opiewający na jedną gwineę nigdy nie został wymieniony na gotówkę. Poirot oprawił go w ramki i powiesił na ścianie w naszym pokoju stołowym.

- To dla mnie małe przypomnienie, Hastings. Nigdy nie wolno lekceważyć rzeczy drobnych, pospolitych. Zaginiona kucharka na jednym końcu, a morderstwo z zimną krwią na drugim. Dla mnie jedna z najbardziej interesujących spraw.

Kornwalijska tajemnica

- Pani Pengelly - obwieściła nasza gospodyni i wycofała się dyskretnie.

Wielu osobliwych ludzi przychodziło do Poirota po poradę, ale kobieta, która stała w drzwiach nerwowo miętoląc w palcach pierzasty szal wydała mi się najosobliwsza ze wszystkich. Była nadzwyczajnie pospolita - koło pięćdziesiątki, chuda, przywiedła, ubrana w płaszcz z galonami i spódnicę, z jakąś złotą biżuterią na szyi i siwymi włosami pod szczególnie nietwarzowym kapeluszem. Na ulicach prowincjonalnych miasteczek mija się codziennie setki pań Pengelly.

Poirot wyszedł naprzeciw, by ją uprzejmie powitać, od razu zauważywszy ogromne zmieszanie klientki.

- Proszę usiąść *madame*, bardzo proszę. To mój kolega kapitan Hastings.

- Pan jest detektywem Poirot? - wyjąkała niepewnie, siadając.

- Do usług, *madame*.

Ale nasz gość wciąż nie mógł odzyskać języka. Wzdychała, wylamywała sobie palce i robiła się coraz bardziej czerwona.

- Co mógłbym zrobić dla pani, *madame*?

- Więc, myślałam... to jest... widzi pan...

- Proszę mówić, błagam, niech pani mówi.

Pani Pengelley, zachęcona, wzięła się w garść.

- W tym rzecz, panie Poirot, że ja nie chcę mieć do czynienia z policją. Nie, z niczym nie pójdę na policję! Ale też mam wielki kłopot. Mimo wszystko, nie wiem, czy powinnam... - urwała raptownie.

- Ale ja nie mam nic wspólnego z policją. Moje dochodzenia są ściśle prywatne.

Pani Pengelley uchwyciła się ostatniego słowa.

- Prywatne, tego właśnie chcę. Nie chcę żadnego gadania, sensacji, pisaniny po gazetach. Takie obrzydliwe rzeczy wypisują, że rodzina już nigdy nie może stanąć z podniesioną głową. A jeszcze do tego ja nie jestem wcale pewna, tylko taka straszna myśl się pojawiła i nie mogę się od niej uwolnić.

- Zrobiła pauzę dla zaczerpnięcia oddechu. - Może ja tylko paskudnie krzywdzę biednego Edwarda. Dla żony to potworna myśl. Ale czyta się o takich okropnych rzeczach w obecnych czasach.

- Pani pozwoli, mowa jest o mężu?

- Tak.

- I o co pani go podejrzewa?

- Ciężko mi nawet to powiedzieć, panie Poirot. Ale czyta się, że to się zdarza, takie rzeczy, a te biedne duszyczki niczego nie podejrzewają.

Już straciłem nadzieję, że dama kiedykolwiek przejdzie do rzeczy, ale cierpliwość Poirota była równa zapotrzebowaniu na nią.

- Proszę mówić bez obaw, *madame*. Proszę pomyśleć, jaka będzie radość, gdy zdołamy wykazać, że pani podejrzenia są nieuzasadnione.

- To prawda, wszystko jest lepsze niż ta dręcząca niepewność. Och, panie Poirot, strasznie się boję, że jestem truta.

- Dlaczego pani tak myśli?

Pani Pengelley pozbyła się tremy i wygłosiła oświadczenie odpowiedniejsze dla ucha lekarza niż detektywa.

- Bóle i nudności po jedzeniu, tak? - Poirot zamyślił się. - Ma pani swojego lekarza, *madame*?
Co on mówi?

- Mówi, że to ostry nieżyt żołądka, panie Poirot. Widzę jednak, że nie jest pewien, ciągle zmienia recepty i nic się nie poprawia.

- Mówiła mu pani o swoich... obawach?

- Nie, absolutnie nie, panie Poirot. Mogłoby się rozejść po mieście. A może to jest ten nieżyt. Ale w każdym razie, kiedy tylko Edward wyjeżdża na weekend, znowu czuję się dobrze. Nawet moja siostrzenica Freda to zauważyła, panie Poirot. No i jeszcze ta butelka ze środkiem chwastobójczym. Ogrodnik mówi, że nigdy go nie używał, a butelka jest do połowy pusta.

Patrzyła błagalnie na Poirota, który uśmiechnął się uspokajająco. Sięgnął po notes i ołówek.

- Zrobmy to metodycznie, *madame*. Więc, pani mieszka z mężem, gdzie?

- W Polgarwith, małym miasteczku targowym w Kornwalii.

- Od jak dawna?

- Od czternastu lat.

- Gospodarstwo domowe składa się z pani i z męża. Dzieci?

- Nie mamy.

- A siostrzenica? Zdaje się, że pani o niej wspomniała.

- Tak, Freda Stanton, dziecko jedynej siostry mojego męża. Mieszkała z nami przez ostatnie osiem lat, to znaczy jeszcze tydzień temu.

- A co się stało tydzień temu?

- Nie układało się dobrze od jakiegoś czasu, nie i wiem, co wstąpiło we Fredę. Była taka niegrzeczna, impertynencka, ponosił ją temperament, to aż szokowało i w końcu któregoś dnia wybuchła, wyniosła się z domu i mieszka w wynajętych pokojach gdzieś w mieście. Nie widziałam jej od tej pory. Lepiej ją zostawić, aż odzyska rozum, tak mówi pan Radnor.

- Kto to jest pan Radnor?

Odrobina początkowego zmieszania pani Pengelley powróciła.

- Och, on jest... on jest po prostu przyjacielem. Bardzo miły, młody człowiek.

- Czy jest coś pomiędzy nim i pani siostrzenicą?

- Zupełnie nic - powiedziała pani Pengelley z naciskiem.

Poirot zmienił temat.

- Państwu, przypuszczam, materialnie powodzi się dobrze?

- Tak, bardzo dobrze.

- A pieniądze są pani czy męża?

- Och, wszystko należy do Edwarda. Ja nie mam nic.

- Widzi pani, podchodząc do sprawy rzeczowo, musimy być brutalni, *madame*. Musimy szukać motywu. Mąż nie trułby pani po prostu dla zabicia czasu, *pour passer le temps*! Czy zna pani jakiś powód, dla którego chciałby się pani pozbyć?

- Jest takie żółtwołose ladaco, które u niego pracuje - powiedziała pani Pengelley z nagłą złością.

- Mój mąż jest dentystą, panie Poirot i rzeczywiście potrzebuje bystrej dziewczyny z, jak mówi, krótko przyszczyżonymi włosami i w białym fartuchu, do ustalania terminów z pacjentami i mieszania

masy do wypełnień. Doszło do moich uszu, że coś tam się działo, chociaż on oczywiście przysięga, iż zawsze był w porządku.

- Kto zamawiał środek chwastobójczy?

- Mąż. Jakiś rok temu.

- A czy siostrzenica pani męża, ma jakieś własne pieniądze?

- Koło pięćdziesięciu funtów rocznie, tak mi się zdaje. Chętnie wróciłaby prowadzić dom Edwardowi, gdybym ja odeszła.

- Myślała więc pani o odejściu od niego?

- Nie zamierzam pozwolić, żeby wszystko było tak, jak on chce. Kobiety nie są już poniewieranymi niewolnicami jak w dawnych czasach, panie Poirot.

- Gratuluję niezależnego ducha, *madame*, ale trzymajmy się rzeczy. Wraca pani dziś do Polgarwith?

- Tak, przyjechałam tu z wycieczką. Pociąg odchodził o szóstej rano, a powrotny mam o piątej po południu.

- Bien! Nie mam w tej chwili nic wielkiego na głowie. Mogę poświęcić się pani drobnej sprawie. Jutro będę w Polgarwith. Czy możemy przedstawić Hastingsa jako pani dalekiego krewnego, syna kuzyna? A ja będę i jego ekscentrycznym przyjacielem z zagranicy. Tymczasem proszę jeść tylko to, co sama pani sobie przygotowuje, bądź to, co jest przyrządzane na pani oczach. Ma pani zaufaną służącą?

- Jessie to bardzo dobra dziewczyna, jestem pewna.

- A więc do jutra, *madame* i proszę być dobrej myśli.

Poirot z ukłonami wyprowadził damę i powrócił zamyślony na fotel. Jego skupienie nie było jednak tak wielkie, by nie zauważył dwóch pasemek z pierzastego szala, które wyskubały nerwowe palce damy. Podniósł je starannie i wrzucił do kosza na śmieci.

- Co sądzisz o tym przypadku, Hastings?

- Paskudna sprawa, powiedziałbym.

- Tak, jeżeli to prawda, co podejrzewa ta pani. Ale czy to prawda? Biada każdemu mężowi, który kupuje butelkę środka chwastobójczego w obecnych czasach. Kiedy żona cierpi na niezbyt żołądka i ma histeryczne skłonności, musi się to skończyć aferą.

- Myślisz, że ten wypadek tylko na tym polega?

- Ach, *voilà*, nie wiem, Hastings. Ale sprawa interesuje mnie, interesuje mnie ogromnie. Bo, widzisz, nie ma tu nowych elementów. Stąd ta teoria hysterii, a pani Pengelley nie wygląda mi na histeryczkę. Tak, jeśli się nie mylę, mamy tu bardzo gorzki ludzki dramat. Powiedz mi, Hastings, jak określiłbyś uczucia pani Pengelley do męża?

- Lojalność zmagająca się ze strachem.

- Zazwyczaj kobieta oskarży wszystkich na świecie, ale nie własnego męża. Będzie uparcie w niego wierzyć.

- "Ta druga" komplikuje sytuację.

- Tak, pod wpływem zazdrości miłość może się zamienić w nienawiść. Ale nienawiść zaprowadziłaby ją na policję, a nie do mnie. Chciałaby krzyku, skandalu. Nie, nie, posłużmy się szarymi komórkami. Dlaczego przyszła do mnie? Żebym potwierdził, że myli się w podejrzeniach? Czy przeciwnie, że są trafne. Ach, mamy tu coś, czego nie rozumiem, nieznaną czynnik. Czy pani

Pengelley jest znakomitą aktorką? Nie, ona nie grała, przysięgłbym, że była autentyczna i dlatego jestem zainteresowany. Sprawdź, proszę cię, pociągi do Polgarwith.

Najlepszy pociąg odjeżdżał o pierwszej pięćdziesiąt z dworca Paddington i docierał do Polgarwith tuż po siódmej. Podróż przebiegła spokojnie i musiałem przerwać miłą drzemkę, by wylądować na peronie smętnej stacyjki. Bagaże zostawiliśmy w hotelu "Duchy" i po lekkim posiłku Poirot zaproponował poobiednią wizytę u mojej, tak zwanej, krewnej.

Dom Pengelleyów, nieco cofnięty od drogi, stał w staroświeckim, wiejskim ogrodzie. Wieczorna bryza niosła miły zapach konwalii i rezedy. Nie chciało się myśleć o przestępstwach wobec tych czarów Starego Świata. Poirot zadzwonił i zastukał. Ponieważ nie było odpowiedzi, zadzwonił jeszcze raz. Po krótkiej chwili drzwi otworzyła rozczochrana służąca. Miała czerwone oczy i gwałtownie pociągała nosem.

- Chcemy zobaczyć się z panią Pengelley - wyjaśnił Poirot. - Możemy wejść?

Pokojówka wyglądała na zdumioną. Następnie odpowiedziała bez ogródek:

- Więc nie słyszeliście? Ona nie żyje. Zmarła pół godziny temu.

Gapiliśmy się na nią osłupiali.

- Na co zmarła? - spytałem w końcu.

- Miała na co. - Obejrzała się szybko przez ramię - Gdyby nie to, że ktoś powinien być z panią w domu spakowałabym kufer i poszła stąd jeszcze dziś wieczorem. Ale nie zostawię jej samej, nie wypada, żeby nikogo nie było przy zmarłej. To nie moja rzecz o tym mówić i nie zamierzam nic powiedzieć, ale wszyscy wiedzą. Całe miasto. I gdyby pan Radnor nie napisał do ministra spraw wewnętrznych, to by ktoś inny to zrobił. Doktor może mówić, co chce. Nie widziałam na własne oczy, jak pan zdejmował z półki ten odchwaszczacz dziś wieczór? Aż podskoczył, kiedy zobaczył, że go widzę, nie było tak? A kleik pani był na stole, wszystko gotowe, żeby jej podetknąć? Ani okruszyny jedzenia nie wezmę już w tym domu do ust! Nawet gdybym miała z głodu umrzeć.

- Gdzie mieszka lekarz, który leczył panią?

- Doktor Adams. Za rogiem przy High Street. Drugi dom.

Poirot odwrócił się gwałtownie. Był bardzo blady.

- Jak na kogoś, kto miał nic nie mówić, dziewczyna powiedziała sporo - stwierdziłem z przekąsem. Poirot zacisnął mocno splecione dłonie.

- Imbecyl, imbecyl kryminalista, oto kim się okazałem, Hastings. Przechwalałem się moimi szarymi komórkami, a teraz dopuściłem do śmierci osoby, która przyszła do mnie po ratunek. Nigdy nie spodziewałbym się, że coś może zdarzyć się tak szybko. Niech mi dobry Bóg wybaczy, ale nie wierzyłem, że w ogóle cokolwiek się zdarzy. Jej opowieść wydawała mi się nierealna... Jesteśmy u doktora. Zobaczmy, co nam powie.

Doktor Adams był typowym, rumianolicym, dobrotliwym, powieściowym lekarzem prowincjonalnym. Przyjął nas dość uprzejmie, ale na wzmiankę o prowadzonym dochodzeniu spurpurowiał.

- Zupełne bzdury! Wszystko bzdury, co do słowa! Czyż nie zajmowałem się tym przypadkiem? Nieżył żołądka, czysty i prosty nieżył. To miasto jest wylęgarnią plotek. Zebrała się kupa spragnionych skandalu starych bab i wymyślają Bóg wie co. Rozczytują się w tych brukowych

szmatławcach i marzą, żeby również w ich miasteczku ktoś wreszcie został otruty. Widzą butelkę ze środkiem owadobójczym i już ochotnie puszcza ją wodze wyobraźni. Znam Edwarda Pengelley, on nie otrulby psa swojej babci. A dlaczego miałby otruć żonę? Powie mi pan?

- Jest jedna rzecz, *monsieur le docteur*, o której, być może pan nie wie.

Bardzo krótko Poirot opowiedział o wizycie pani Pengelley. Nikogo nie mogło to bardziej zdziwić niż doktora Adamsa. Wytrzeszczał oczy w wielkim zdumieniu.

- Niech Bóg ma w opiece moją duszę! - zawołał. - Biedna kobieta musiała być szalona. Dlaczego nie porozmawiała ze mną? To była rzecz, którą powinna była zrobić.

- Żeby jej obawy zostały wyśmiane?

- Wcale nie, wcale nie. Mam nadzieję, że posiadam otwartą głowę.

Poirot popatrzył na niego i uśmiechnął się. Lekarz był najwyraźniej dużo bardziej wstrząśnięty, niż chciał to przyznać. Kiedy wyszliśmy z tego domu, Poirot wybuchnął śmiechem.

- Uparty jak osioł. Powiedział, że to nieżył, więc to jest nieżył! No, ale ma teraz ciężkie sumienie.

- Jaki będzie nasz następny krok?

- Powrót do gospody i horror nocy spędzanej w łóżku prowincjonalnego angielskiego hotelu, *mon ami*. To rzecz godna politowania, łóżko w tanim angielskim hotelu!

- A jutro?

- Rien a faire[12]. Musimy wrócić do miasta i czekać na rozwój wypadków.

- Tylko tyle? - byłem rozczarowany. - A jeśli nic się nie zdarzy?

- Zdarzy się! Obiecuję ci. Nasz stary doktor może wystawiać tyle świadectw, ile chce, ale nie może powstrzymać kilkuset języków. A te języki będą używane ze skutkiem, mogę cię zapewnić!

Nasz pociąg do miasta odjeżdżał o jedenastej następnego ranka. Zanim ruszyliśmy na stację, Poirot wyraził chęć spotkania się z panną Fredą Stanton, siostrzenicą męża zmarłej. Bez trudu znaleźliśmy dom, gdzie była lokatorką. Zastaliśmy z nią młodego, wysokiego, czarnowłosego mężczyznę, którego, nieco zmieszana, przedstawiła jako Jacoba Radnora.

Panna Freda Stanton, wyjątkowo ładna dziewczyna w dawnym kornwalijskim typie urody: ciemne włosy i oczy oraz różowe policzki. W tych ciemnych oczach pojawiały się błyski świadczące o temperamencie, którego erupcję spowodować nie byłoby rozsądnie.

- Biedna ciocia - powiedziała, gdy Poirot przedstawił się i wyjaśnił powód wizyty. - To strasznie smutne. Całe życie żałowałam, że nie byłam lepsza i cierplawsza.

- Wiele zniosłaś, Freda - przerwał jej Radnor.

- Tak, Jacob, ale łatwo wpadałam w złość, wiem. W końcu ze strony cioci to była tylko głupota. Powinnam była śmiać się z tego i nie zwracać uwagi. Oczywiście to był zupełny nonsens, te podejrzenia, że wuj ją truł. Gorzej się czuła po każdym jedzeniu, które on jej podawał, ale jestem pewna, że skutecznie to sobie wmawiała. Zakładała, że poczuje się gorzej i czuła się źle.

- Jaka była prawdziwa przyczyna waszego konfliktu, *mademoiselle*?

Panna Stanton zawahała się i spojrzała na Radnora. Młody dżentelmen szybko odczytał sugestię.

- Muszę iść, Freda. Do zobaczenia wieczorem. Do widzenia, panowie, zdaje się, są w drodze na stację?

Poirot odpowiedział, że rzeczywiście zmierzamy na dworzec i Radnor oddalił się.

- Jesteście zaręczeni, prawda? - spytał Poirot z chytrym uśmieszkiem.

Freda Stanton zarumieniwszy się odpowiedziała twierdząco. - I to był rzeczywisty powód całego problemu z ciocią - dodała.

- Nie zaaprobowała pani wyboru?

- Och, niezupełnie. Ale widzi pan, ona... - przerwała.

- Tak? - zachęcał delikatnie Poirot.

- Wydaje się straszną rzeczą powiedzieć to o niej teraz, kiedy nie żyje. Ale, jeżeli nie powiem, to pan nie zrozumie. Ciocia kochała się bez pamięci w Jacobie.

- Naprawdę?

- Tak, czy to nie absurd? Była po pięćdziesiątce, a on nie miał nawet trzydziestki! Ale tak było. Zupełnie zwariowała na jego punkcie! W końcu musiałam jej powiedzieć, że chodzi mu o mnie. Przyjęła to strasznie. Nie wierzyła w ani jedno słowo. Była okropnie nieprzyjemna, obrażała mnie, nic więc dziwnego, że w końcu się wściekłam. Rozmawiałam o tym z Jacobem: doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli wyniosę się na jakiś czas, aż ona odzyska rozum. Biedna ciocia, myślę, że zupełnie zbliznowała.

- Z pewnością tak to wygląda. Dziękuję, *mademoiselle*, za wyjaśnienie mi tych wszystkich rzeczy.

Nie zdziwiłem się specjalnie, gdy okazało się, że Radnor czeka na nas na ulicy.

- Bardzo łatwo mi odgadnąć, co powiedziała Freda - zaczął. - Fatalna rzecz się zdarzyła, do tego stawiając mnie w bardzo niezręcznej sytuacji, jak mogą sobie panowie wyobrazić. Nie muszę mówić, że nie było w tym mojego udziału. Najpierw było mi miło, bo wydawało się, że starsza pani chce pomóc naszemu związkowi z Fredą. Wszystko to jest kompletnym absurdem, ogromnie nieprzyjemnym.

- Kiedy pobieracie się z panną Stanton?

- Wkrótce, mam nadzieję. Panie Poirot, chcę być z panem szczery. Wiem trochę więcej niż Freda. Ona sądzi, że jej wuj jest niewinny. Nie jestem taki pewien. Ale powiem panu jedno: będę miał zamknięte usta, nie powiem, co wiem. Niech śpią psy gończe. Nie chcę, żeby wuj mojej żony miał proces i został powieszony za morderstwo.

- Dlaczego pan mówi mi to wszystko?

- Bo słyszałem o panu, wiem, że jest pan bystrym człowiekiem i całkiem możliwe, że podjąłby pan przeciw niemu działania zmierzające do wytoczenia sprawy. Ale niech pan powie, co dobrego by z tego wynikło? Biednej kobiecie już się nie pomoże, a była ona ostatnią osobą, która życzyłaby sobie skandalu; na samą myśl o czymś takim przewraca się w grobie.

- Być może ma pan rację. Chciałby pan, żebym to wyciszył, tak?

- Takie jest moje zdanie. Przyznaję uczciwie, że to samolubne podejście. Muszę się urządzić, organizuję mały biznes jako krawiec i dostawca konfekcji.

- Większość z nas jest samolubna, panie Radnor. Nie wszyscy sami to przyznają. Zrobię, o co pan prosi, ule powiem szczerze, że nie uda się panu wyciszyć tej sprawy.

- Dlaczego nie?

Poirot podniósł rękę. Był to dzień targowy i przechodziliśmy akurat obok gwarne go placu handlowego.

- Nie uda się, bo głos ludzi na to nie pozwoli, oto dlaczego, panie Radnor. Ach, musimy się pośpieszyć, bo nie zdążymy na pociąg.

- Bardzo interesujące, prawda Hastings? - powiedział Poirot, gdy pociąg w kłębach pary wyjeżdżał ze stacji.

Wyjął z kieszeni grzebyk oraz miniaturowe lustro i przystąpił do odtwarzania symetrii wąsów, która została zaburzona podczas biegu na stację.

- Zdajesz się przyjmować ten układ - odpowiedziałem. - Według mnie to wszystko jest wstrętne.

Przecież nie ma tu prawie żadnej tajemnicy.

- Zgadzasz się z tobą, nie ma żadnej tajemnicy.

- Myślę, że nie powinniśmy uwierzyć w raczej niezwykłą opowieść o zadurzeniu się jej ciotki. To był dla mnie jedyny podejrzan element. To taka miła, porządna kobieta.

- Nie ma w tym nic niezwykłego, to jest całkowicie zwyczajne. Czytając uważnie gazety często spotykasz taką sytuację. Miła, przyzwoita kobieta w tym wieku opuszcza męża, z którym żyła przez lat dwadzieścia, a czasem i dzieci, żeby związać się ze znacznie młodszym mężczyzną. Uwielbiasz les femmes[13], Hastings, padasz plackiem przed wszystkimi ładnymi, uśmiechniętymi do ciebie (co dobrze świadczy o ich guście) kobietami, ale w aspekcie psychologicznym nic o nich nie wiesz. W jesieni życia przychodzi zawsze moment szaleństwa, kiedy kobieta pragnie romansu, przygody - zanim będzie za późno. Z pewnością może to spaść na żonę szanowanego dentysty w prowincjonalnym miasteczku!

- I myślisz...

- Że sprytny facet mógł wykorzystać ten moment.

- Nie nazwałbym Pengelleya sprytnym facetem - powiedziałem z namysłem. - Całe miasto wzięło go na języki. Ale myślę, że masz rację. Radnor i lekarz, którzy jako jedyni coś wiedzą, chcą zatuszowania sprawy. Pengelley jakoś sobie radzi w tej sytuacji. Chciałbym, żebyśmy go zobaczyli.

- Możesz spełnić swoje pragnienie. Wróc pierwszym pociągami i nazmyślaj coś o bolącym zębem trzonowym.

Popatrzyłem uważnie na Poirota.

- Byłbym rad wiedzieć, co dla ciebie jest najbardziej interesujące w tej sprawie.

- W swoim spostrzeżeniu po rozmowie z pokojówką bardzo trafnie określiłeś to, co interesujące. Zauważyłeś, że jak na osobę, która miała nie powiedzieć nic, powiedziała bardzo dużo.

- Och! - nie byłem o tym przekonany i z uporem wróciłem do osoby dentysty:

- Ciekaw jestem, dlaczego nie próbowałaś zobaczyć się z Pengelleyem?

- Mon ami, daję mu trzy miesiące. Potem będę go widywał, ile zechcę - na ławie oskarżonych.

Chociaż raz, myślałem, przewidywania Poirota się nie sprawdzą. Czas płynął, a w naszej kornwalijskiej sprawie nic się nie działo. Zajmowały nas inne rzeczy i już prawie zapomniałem o tragedii w Polgarwith, gdy nagle odświeżyła mi wszystko krótka notka w gazecie o ekshumacji zwłok pani Pengelley na polecenie ministra spraw wewnętrznych.

Parę dni później "kornwalijska tajemnica" była tematem wszystkich gazet. Wyglądało na to, że plotka nigdy całkowicie nie umarła i, gdy ogłoszono zaręczyny wdowca z panną Marks, jego asystentką, podniosła się wrzawa większa niż kiedykolwiek. W końcu do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych trafiła petycja, zwłoki ekshumowano, odkryto wielką dawkę arszeniku, pan Pengelley został aresztowany i oskarżony o zamordowanie żony.

Poirot i ja uczestniczyliśmy w postępowaniu wstępnym. Dowodów było więcej niż się spodziewano. Doktor Adams przyznał, że symptomy zatrucia arszenikiem mogą być bardzo podobne do objawów nieżytu żołądka. Ekspert Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przedstawił swoje

orzeczenie, pokojówka Jessie trysnęła fontanną informacji, które, choć w większości odrzucone, wzmocniły jednak z pewnością siłę oskarżenia. Freda Stanton zeznała, że jej ciotka zawsze czuła się gorzej, gdy zjadła coś, co przygotował wuj. Jacob Radnor opowiedział, jak wpadł nieoczekiwanie w dniu śmierci pani Pengelley i zastał pana domu odstawiającego na półkę butelkę ze środkiem chwastobójczym - a na stole obok znajdował się talerz z kleikiem dla żony. Poproszono z kolei pannę Marks, jasnowłosą asystentkę. Płacząc histerycznie wyznała, że łączyły ją intymne stosunki z pracodawcą i że obiecywał on jej małżeństwo w wypadku, gdyby co przytrafiło się żonie. Pengelley oświadczył, że będzie się bronił sam i wytoczono mu proces.

Jacob Radnor szedł z nami w kierunku hotelu.

- Widzi pan, panie Radnor - powiedział Poirot - miałem rację. Głos ludzi dał się słyszeć, był to głos wyraźny. Ta sprawa nie została wyciszona.

- Miał pan całkowitą rację - westchnął Radnor - Widzi pan jakąś szansę, żeby on z tego wyszedł?

- No, oświadczył, że będzie bronił się sam. Może ma coś w rękawie, jak to mówi się u was w Anglii. Wejdzie pan do nas?

Radnor przyjął zaproszenie. Zamówiłem dwie whisky i filiżankę czekolady. Ta ostatnia pozycja wzbudziła konsternację i zacząłem wątpić, czy kiedykolwiek dostanę ten napój.

- Oczywiście - ciągnął Poirot - mam spore doświadczenie w sprawach tego rodzaju. Widzę tylko jedną drogę ratunku dla naszego przyjaciela.

- Jaką?

- Pański podpis na tym dokumencie. Błyskawicznie, jak kuglarz, Poirot wyczarował zapisany arkusz papieru.

- Co to jest?

- Pańskie przyznanie się do zamordowania pani Pengelley.

Zapanowała cisza, a po chwili Radnor roześmiał się.

- Pan musi być szalony!

- Nie, nie, przyjacielu, nie jestem szalony. Pan tu przybył, założył mały biznes, brakowało panu pieniędzy. Pan Pengelley był człowiekiem bardzo zamożnym. Poznał pan jego siostrzenicę, która poczuła do pana skłonność. Ale nie wystarczyło panu skromne wiano, w jakie Pengelley miał zamiar wyposażyć krewniaczkę w wypadku zamażpójścia. Musiał pan usunąć zarówno wuja, jak i ciotkę, bo wtedy wszystkie pieniądze przejmowała siostrzenica, nikogo więcej w tej rodzinie nie było. Jak sprytnie pan to obmyślił! Rozkochał pan w sobie tę kobietę w średnim wieku, aż stała się pańską niewolnicą. Zaszczepił pan w niej podejrzenia co do męża. Najpierw odkryła, że ją oszukuje, potem, idąc za pańskimi wskazówkami, że próbuje otruć. Bywał pan często w tym domu i miał okazję dodawać arszenik do jedzenia. Ale bardzo pan uważał, żeby nie zrobić tego nigdy pod nieobecność męża. A pani Pengelley, jak to kobieta, nie zachowała swoich podejrzeń dla siebie, lecz powiedziała o nich siostrzenicy i niewątpliwie kilku przyjaciółkom. Jediną rzeczą, która wyglądała na bardzo trudną, było prowadzenie romansu równocześnie z tymi dwiema kobietami, ale i tu dał pan sobie radę. Wyjaśnił pan ciotce, że musi udawać adorowanie siostrzenicy, żeby zmylić męża. A młodszej damy nie trzeba było specjalnie przekonywać; nigdy poważnie nie potraktowałyby ciotki jako swojej rywalki.

Ale potem pani Pengelley sama podjęła decyzję i nic nikomu nie mówiąc pojechała skonsultować

się ze mną. Gdyby upewniła się, ponad wszelką wątpliwość, że mąż próbuje ją otruć, czułaby się w pełni uprawniona do odejścia do pana. Wyobrażała sobie, że pan tego właśnie pragnie, ale, rzecz jasna, było zupełnie inaczej. Nie chciał pan, żeby tu węszył jakiś detektyw. Zdarzyła się sposobna chwila. Był pan w domu, kiedy Pengelley przygotowywał kleik dla żony i dodał pan śmiertelną dawkę. Reszta była łatwa. Pozornie starając się sprawę wyciszyć sekretnie podsycił pan zainteresowanie. Ale nie wziął pan pod uwagę Herkulesa Poirota, mój inteligentny, młody przyjacielu.

Radnor był śmiertelnie blady, ale wciąż próbował panować nad sytuacją.

- Bardzo interesujące i pomysłowe, ale dlaczego mówi mi pan to wszystko?

- Ponieważ, monsieur, reprezentuję nie prawo, lecz panią Pengelley. Ze względu na nią daję panu szansę ucieczki. Proszę podpisać ten papier, a dostanie pan dwadzieścia cztery godziny - dopiero potem przekażę to w ręce policji.

Radnor wahał się.

- Nic pan nie może udowodnić.

- Nie mogę. Jestem Herkules Poirot. Niech pan spojrzy przez okno, monsieur. Na ulicy są dwaj mężczyźni. Mają polecenie nie spuszczać z pana oka.

Radnor podszedł do okna, pchnął okiennice i cofnął się klnąc pod nosem.

- Widzi pan, monsieur? Proszę podpisać, to pańska jedyna szansa.

- Jaką mam gwarancję, że...

- Że dotrzymam obietnicy? Słowo Herkulesa Poirot. Podpisuje pan? Dobrze. Hastings, bądź uprzejmy do połowy zamknąć lewą okiennicę. To znak, że pan Radnor może wyjść bez przeszkód.

Blady, mamrocząc przekleństwa, Radnor wybieg z pokoju.

Poirot pokiwał głową.

- Tchórz! Od razu to czułem.

- Wydaje mi się, Poirot, że postąpiłeś jak przestępca - zawołałem gniewnie. - Zawsze przestrzegałeś, żeby nie kierować się sentymentami. A teraz pozwalasz niebezpiecznemu zbrodniarzowi odejść - tylko z powodu jakichś sentymentów.

- To nie żadne sentymenty, to czyste wyrachowanie - odrzekł Poirot. - Czy nie widzisz, przyjacielu, że nie mamy przeciw niemu cienia dowodów? Mam wstać i powiedzieć dwunastu surowym Kornwalijszykom, że ja, Herkules Poirot, wiem? Wyśmieją mnie. Jediną szansą było - nastraszyć go i tą drogą wydobyć przyznanie się do winy. Tych dwóch obiboków, których zauważyłem wążających się po ulicy, przydało się bardzo. Mógłbyś zamknąć okiennice, Hastings. Oczywiście ta sygnalizacja to bujda. Część naszej *mise en scene*, reżyserii.

- Tak, tak, musimy dotrzymać słowa. Dwadzieścia cztery godziny, tak powiedziałem? O tyle dłużej dla biednego pana Pengelley, ale chyba na tyle zasługuje, bo, zwróć uwagę, oszukiwał żonę. A jak wiesz, bardzo wysoko cenię życie rodzinne. No więc dwadzieścia cztery godziny - a potem? Bardzo wierzę w Scotland Yard. Złapią go, *mon ami*, złapią go.

Przygoda Johnniego Waverly

- Niech pan zrozumie, co czuje matka - pani Waverly powtórzyła to już może po raz szósty.

Patrzyła błagalnie na Poirota. Mój przyjaciel, zawsze współczujący zrozpaczoną matką, pokrząca ją gestykułując.

- Ależ tak, ależ tak, rozumiem doskonale. Proszę zaufać Tacie Poirot.

- Policja... - zaczął pan Waverly.

- Nie chcę mieć do czynienia z policją - żona przerwała mu machając ręką. - Ufaliśmy im i patrz, co się stało! Ale tyle słyszałam o panu Poirot i cudownych, rzeczach, które robił, że pomyślałam, iż może mógłby nam pomóc. Uczucia matki...

Poirot wymownym gestem pośpiesznie zapobiegł kolejnej powtórcie motywu przewodniego. Zmartwienie pani Waverly było oczywiście autentyczne, ale dziwnie nie pasowało do jej przebiegłego, raczej twardego wyrazu twarzy. Kiedy usłyszałem później, że to córka prominentnego producenta stali, który zaczynał jako goniec, by dojść do obecnej lukratywnej pozycji, stwierdziłem, iż odziedziczyła wiele cech ojca.

Pan Waverly był tęgim, rumianym mężczyzną o jowialnym wyglądzie. Stał na szeroko rozstawionych nogach i sprawiał wrażenie poważnego ziemianina.

- Przypuszczam, że wie pan wszystko o tej sprawie, panie Poirot?

Było to właściwie pytanie zbędne. Od paru dni gazety pełne były sensacji o porwaniu małego Johnniego, trzyletniego syna i dziedzica wielmożnego Marcusa Waverly. Ta rodzina, osiadła w Waverly Court, należy do najstarszych w Anglii.

- Główne fakty znam, oczywiście, ale bardzo proszę, niech pan opowie całą historię, monsieur. Ze szczegółami, jeśli pan łaskaw.

- Więc wydaje mi się, że cała rzecz zaczęła się około dziesięciu dni temu, kiedy dostałem anonimowy list - ohyda, swoją drogą - którego zupełnie nie mogłem pojąć. Autor listu miał czelność zażądać, abym zapłacił mu dwadzieścia pięć tysięcy funtów, panie Poirot! Zagroził, że, jeśli się nie zgodzę, porwie Johnniego. Oczywiście bez ceregieli wrzuciłem to do kosza na śmieci. Myślałem, że to jakiś głupi żart. Pięć dni później dostałem następny list. "Jeżeli pan nie zapłaci, pański syn zostanie porwany dwudziestego dziewiątego". A to był dwudziesty siódmy. Ada martwiła się, ja natomiast nie mogłem przekonać samego siebie, żeby potraktować to serio. Do licha, jesteśmy w Anglii. Nikt nie porywa tu dzieci i nie trzyma ich dla okupu.

- Z pewnością nie jest to powszechna praktyka - powiedział Poirot. - Proszę dalej, monsieur.

- Ada nie dawała mi spokoju, więc, choć czułem się trochę głupio, przedstawiłem całą sprawę Scotland Yardowi. Wydaje mi się, że nie wzięli tego całkiem serio, zgadzali się z moim podejściem, że to musiał być głupi żart. Dwudziestego ósmego dostałem trzeci list. "Nie zapłacił pan. Syn zostanie zabrany jutro o dwunastej w południe. Odzyskanie go będzie pana kosztować pięćdziesiąt tysięcy funtów". Pojechałem ponownie do Scotland Yardu. Tym razem zrobiło to na nich większe wrażenie. Skłaniali się ku wyjaśnieniu, że listy pisał jakiś wariat i według wszelkiego prawdopodobieństwa o podanej godzinie zostanie podjęta jakaś próba. Zapewnili mnie, że

zachowają wszystkie odpowiednie środki ostrożności. Inspektor McNeil z wystarczająco dużymi siłami przybędzie rankiem do Waverly i zajmie się sprawą.

Wróciłem do domu ze znacznie spokojniejszą głową. Czuliśmy się już wówczas jak w stanie obłąkania. Wydałem dyspozycje, aby nie wpuszczać żadnych obcych, oraz, żeby nikt nie wychodził z domu. Wieczór minął bez jakichkolwiek niepomyślnych zdarzeń, ale następnego ranka żona poczuła się bardzo źle. Zaniepokojony jej stanem posłałem po doktora Drakersa. Objawy, które miała, zdziwiły lekarza. Widziałem, że podejrzewa, u podano jej coś trującego, choć wahał się, czy powiedzieć to otwarcie. Zapewnił mnie, że nie ma zagrożenia, ale minie dzień lub dwa, zanim dojdzie do siebie. Wróciłem do swojego pokoju i zdębiałem widząc karteczkę przyklepioną do poduszki. Charakter pisma był ten sam, co w anonimach. Wiadomość niezwykle lakoniczna: "O godzinie dwunastej".

Przyznaję, panie Poirot, krew mi wtedy uderzyła do głowy! Ktoś z domowników musiał być w to zamieszany, zapewne ktoś ze służby. Zebrałem wszystkich i nawymyślałem im, ile wlezie. Nigdy nie donosili na siebie. To panna Collins, dama do towarzystwa mojej żony poinformowała mnie, że widziała, jak niania Johnniego wychodziła aleją wcześniej tego ranka. Przyparłem ją do muru i przyznała się. Zostawiła chłopca z jego pokojówką i wykradła się z domu na spotkanie z przyjacielem - z mężczyzną! Ładne rzeczy! Nie przyznała się do kartki na poduszce - może mówi prawdę, nie wiem. Uznałem, że nie mogę ryzykować, trzymając przy dziecku nianię zamieszaną, być może, w ten spisek. Ktoś ze służby brał w tym udział - tego byłem pewien. W końcu wściekłem się i wylałem całą zgraję, nianię i wszystkich. Dałem im godzinę na spakowanie walizek i wyniesienie się z domu.

Twarz pana Waverly stała się jeszcze o dwa tony czerwiejsza, gdy wspominał swój gniew.

- Czy nie było to odrobinę nieroztropne, *monsieur*? - spytał Poirot. - Biorąc pod uwagę to, co pan wiedział, takie działanie mogło być na rękę pańskiemu wrogowi.

- Nie uważam tak - pan Waverly wpatrywał się w Poirota. - Zdecydowałem: niech wszyscy się pakują. Zadepeszowałem do Londynu, żeby przysłali wieczorem nowy personel. A tymczasem w domu będą tylko ludzie zaufani: sekretarka mojej żony panna Collins i Tredwell, lokaj, który był przy mnie od moich lat chłopięcych.

- A jak długo jest u państwa, ta panna Collins?

- Od roku - powiedziała pani Waverly. - Jest nieoceniona jako sekretarka i dama do towarzystwa, a zarazem znakomicie prowadzi dom.

- Niania?

- Była u mnie przez sześć miesięcy. Przyszła ze znakomitymi referencjami. Ale naprawdę nigdy jej nie lubiłam, chociaż Johnnie był do niej wyraźnie przywiązany.

- Jednak rozumiem, że ona wyszła przed momentem, w którym zdarzyła się katastrofa. Może będzie pan uprzejmy kontynuować, panie Waverly.

Pan Waverly powrócił do opowieści.

- Inspektor McNeil przybył około dziesiątej trzydzięci. Wszyscy służący wyjechali wcześniej. Inspektor był zupełnie zadowolony z porządków zaprowadzonych przeze mnie w domu. Miał różnych ludzi na zewnątrz, na posterunkach w parku, strzegących wszystkich wjazdów wejść. Zapewnił mnie, że, jeśli cała sprawa nie jest wyglupem, bez wątpienia powinniśmy ująć tajemniczego korespondenta.

- Miałem Johnniego i weszliśmy do pokoju zwanego izbą rady razem z inspektorem, który zamknął drzwi na klucz. Stoi tam wielki zegar szafkowy i przyznam, że kiedy wskazówki zbliżyły się

do dwunastej, byłem mocno zdenerwowany. Rozległ się zgrzyt i zegar zaczął bić. Przygarnąłem Johnniego do siebie. Miałem takie uczucie, że ten ktoś może spaść z nieba. Gdy przebrzmiało ostatnie uderzenie, z zewnątrz dały się słyszeć jakieś krzyki, tupot biegających ludzi, słowem, było tam wielkie zamieszanie. Inspektor rzucił się do okna.

- Mamy go, sir - sapał policjant, który podbiegi z drugiej strony. - Przedzierał się przez krzaki. Ma ze sobą cały sprzęt.

- Popędziliśmy na taras, gdzie dwóch funkcjonariuszy poskramiało osobnika w poszarpanym ubraniu, wyglądającego na zbira. Szarpał się, bezskutecznie próbując ucieczki. Jeden z policjantów trzymał otwartą paczkę, którą wyrwano z rąk draba. Był w niej tampon z waty i butelka chloroformu. Krew się we mnie zagotowała na ten widok. Była jeszcze koperta zaadresowana do mnie. Rozdarłem ją. Przeczytałem taki tekst: "Trzeba było zapłacić. Teraz wykupienie syna będzie kosztować pięćdziesiąt tysięcy. Mimo tych wszystkich środków został uprowadzony dwudziestego dziewiątego, tak jak zapowiadałem".

- Zacząłem się strasznie śmiać, bo poczułem ogromną ulgę i wtedy usłyszałem warkot silnika i krzyk. Odwróciłem głowę. Dróżką wiodącą ku południowej altanie pędził z szaloną prędkością szary samochód, długi i niski. Krzyczał kierowca, ale nie to wprowiło mnie w przerażenie, lecz widok płowych loków Johnniego. Dziecku było w aucie obok kierowcy.

- Inspektor rzucił przekleństwo. "Dziecko było tu jeszcze przed minutą", krzyknął. Przebiegł po nas wzrokiem. Byliśmy tam wszyscy: ja, Tredwell, panna Collins.

- Kiedy widział go pan ostatni raz, panie Waverly?

- Sięgam pamięcią wstecz usiłując sobie przypomnieć. Kiedy policjant zawołał nas, wybiegłem z inspektorem zapominając zupełnie o Johnniem.

- A potem rozległ się dźwięk, który nas zdumiał, bicie dzwonów kościelnych we wsi. Inspektor krzyknął z wrażenia i sięgnął po swój zegarek. Była dokładnie dwunasta. Rzuciliśmy się, pchani jedną myślą, do sali rady; tam zegar pokazywał dziesięć po dwunastej. Ktoś musiał rozmyślnie cofnąć wskazówki, bo nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby śpieszył się lub późnił. To doskonały chronometr.

Pan Waverly przerwał. Poirot uśmiechnął się do siebie i wyprostował dywanik, który wzburzony ojciec nieco pomarszczył.

- Piękny problemik, tajemniczy i zajmujący - mrucał Poirot. - Z przyjemnością go dla państwa rozwiążę. Naprawdę obmyślane a merveille[14].

- Ale mój chłopiec... - jęknęła pani Waverly patrząc na Poirota z wyrzutem.

Detektyw pośpiesznie przywołał na twarz wyraz głębokiego współczucia.

- On jest bezpieczny, *madame*, nic złego mu się nie stało. Może pani być pewna, że ci niegodziwcy będą się o niego nadzwyczajnie troszczyć. Czyż nie jest on dla nich indykiem... nie, jak to jest? - gęsią znoszącą złote jaja?

- Panie Poirot, jestem pewna, że jedyną rzeczą, którą należy zrobić, to zapłacić. Początkowo byłam temu przeciwna, ale teraz nie! To, co czuje matka...

- Ale przerwaliśmy panu opowiadanie - wykrzyknął pośpiesznie Poirot.

- Spodziewam się, że dalszy ciąg dobrze zna pan z gazet - powiedział Waverly. - Oczywiście inspektor McNeil natychmiast rzucił się do telefonu. Podano wszędzie opis samochodu oraz mężczyzny i początkowo zdawało się, że wszystko idzie ku dobremu. Auto, odpowiadające cechom

poszukiwanego, widziane w różnych wioskach, najwyraźniej zdążyło do Londynu. W jednym miejscu samochód się zatrzymał, ktoś zauważył, że dziecko płacze i niewątpliwie boi się mężczyzny. Kiedy inspektor McNeil poinformował, że auto, kierowca i dziecko są już w rękach policji, poczułem taką ulgę, że niemal zasłabłem. Resztę pan zna. Chłopiec wcale nie był Johnniem, a mężczyzna to zapalony automobilista bardzo lubiący dzieci, który uprzejmie zabrał na przejażdżkę malucha z jednej z ulic Edenswell, miasteczka o piętnaście mil stąd. Na skutek bezmyślności zadufanej w sobie policji wszelkie ślady przepadły. Gdyby nie ścigali tak uparcie zupełnie innego samochodu, mogliby już do tej pory znaleźć chłopca.

- Niech pan się uspokoi, monsieur. Policja to ludzie dzielni i inteligentni. Ich błąd jest całkiem naturalny. A co do mężczyzny, którego ujęto na terenie posiadłości, to domyślam się, że jego obrona polega wyłącznie na zaprzeczaniu. Oświadczył pewnie, że paczkę i kartkę kazano mu zanieść do Waverly Court. Człowiek, który mu to dał, wręczył też banknot dziesięcioszylingowy i obiecał drugie tyle, jeśli wszystko zostanie doręczone dokładnie za dziesięć dwunasta. Miał podejść do domu przez park i zastukać do bocznego wejścia.

- Nie wierzę w ani jedno słowo - oświadczyła z mocą pani Waverly. - To same kłamstwa.

- En verite[15], mało przekonujące wyjaśnienia - powiedział z namysłem Poirot. - Ale do tej pory ich nie odrzucono. Wiadomo mi także, że wystąpił on z pewnym oskarżeniem.

Poirot spojrzał badawczo na pana Waverly'ego, który poczerwieniał jeszcze mocniej.

- Ten typ był aż tak bezczelny, że udawał, iż rozpoznał w Tredwellu mężczyznę, który dał mu paczkę. "Facet tylko zgolił wąsy". Tredwell, który się w tej posiadłości urodził!

Poirot uśmiechnął się lekko widząc jego wzburzenie.

- Ale przecież pan podejrzewa, że ktoś z mieszkańców domu uczestniczył w porwaniu.

- Tak, ale nie Tredwell.

- A pani, *madame*? - zapytał Poirot nagle.

- Tredwell nie mógł być osobą, która dała temu włóczędze list i paczkę, jeżeli w ogóle mu ją ktoś dał, w co nie wierzę. Mówi, że dostał to o dziesiątej. A o dziesiątej Tredwell był z moim mężem w palarni.

- Czy miał pan możliwość zobaczenia twarzy mężczyzny w samochodzie, monsieur? Czy było jakieś podobieństwo do Tredwella?

- Było za daleko, żebym mógł widzieć twarz.

- Czy Tredwell ma brata, wiadomo coś panu?

- Miał kilku, ale wszyscy zmarli. Ostatni zginął na wojnie.

- Nie orientuję się jeszcze dobrze w terenie, w Waverly Court. Samochód jechał w stronę południowej altany. A czy jest jeszcze inny wjazd?

- Tak, koło czegoś, co nazywamy wschodnią altaną. Widać ją z drugiej strony domu.

- Wydaje mi się dziwne, że nikt nie widział samochodu wjeżdżającego na teren posesji.

- Jest tam odcinek drogi i dojazd do malej kaplicy. Przejeżdża tamtędy całkiem sporo samochodów. Ten mężczyzna musiał zatrzymać się w dogodnym miejscu, a następnie podjechał pod dom akurat w momencie, gdy całą czujność i uwagę skierowano gdzie indziej.

- Chyba że już wcześniej był w domu - zamyślił się Poirot. - Czy jest w budynku jakieś miejsce, w którym mógłby się ukryć?

- No, oczywiście nie przeszukiwaliśmy całego domu tak z góry do dołu. Wydawało się, że nie ma

potrzeby Przypuszczam, że mógłby się gdzieś ukryć, ale kto by go wpuścił?

- Wrócimy do tego później. Działajmy systematycznie - jedna sprawa po drugiej. Czy nie ma w domu jakiejś kryjówki? Waverly Court to stara posiadłość. W takich miejscach są czasem tak zwane księżę dziury

- Ależ tak, mamy "księżę dziurę". Wchodzi się do niej przez jeden z paneli w holu.

- W pobliżu izby rady?

- Zaraz obok drzwi do izby.

- *Voilà!*

- Ale nikt o tym nie wie oprócz mojej żony i mnie.

- A Tredwell?

- Hm, mógł o tym słyszeć.

- Panna Collins?

- Nigdy jej o tym nie wspominałem.

Poirot zastanawiał się przez chwilę.

- Tak, *monsieur*, następna rzecz to moja wizyta w Waverly Court. Odpowiadałoby państwu, gdyby przyjechał tam dzisiaj po południu?

- Och, proszę tak szybko, jak to tylko możliwe, *monsieur Poirot!* - zawołała pani Waverly. - Niech pan to jeszcze raz przeczyta.

Podala mu ostatni list od prześladowcy, dostarczony do państwa Waverly tego ranka. To pismo właśnie skłoniło panią Waverly do pilnego poszukiwania kontaktu z Poirotem. Zawierało sprytnie obmyślane, dokładne instrukcje o sposobie przekazania pieniędzy i kończyło się groźbą, że za "jakąkolwiek zdradę" chłopiec zapłaci życiem. Jasne było, że miłość do pieniędzy walczy w pani Waverly z najprawdziwszą miłością matczyną, która w końcu zaczyna przeważać.

Poirot zatrzymał panią Waverly minutę dłużej niż męża.

- *Madame*, zechce pani powiedzieć szczerze. Podziela pani zaufanie małżonka do lokaja, Tredwella?

- Nie mam nic przeciw niemu, *monsieur Poirot*, nie rozumiem jaki on może mieć z tym związek, ale... nigdy go nie lubiłam, nigdy!

- Jeszcze jedno, *madame*, może mi pani dać adres niani?

- Netherall Road 149, Hammersmith. Nie wyobraża pan sobie...

- Nigdy sobie nie wyobrażam. Ja posługuję się szarymi komórkami. A czasem, tylko czasem, mam jakiś mały pomysł.

Gdy drzwi się zamknęły, Poirot zwrócił się do mnie:

- Więc *madame* nigdy nie lubiła lokaja. Interesujące, prawda, Hastings?

Nie dałem się wciągnąć. Poirot nabierał mnie tak często, że teraz zachowuję czujność. Zawsze gdzieś jest jakaś pułapka.

Po zakończeniu starannych przygotowań do wyjścia ruszyliśmy w kierunku Netherall Road. Mieliśmy szczęście zastać pannę Jessie Withers w domu. Była to trzydziestopięcioletnia, bystra i pewna siebie kobieta o przyjemnej twarzy. Nie mogłem uwierzyć, by była zamieszana w tę sprawę. Oburzał ją głęboko sposób, w jaki została zwolniona, ale przyznała, że popełniła błąd. Zaręczyła się z malarzem-dekoratorem poznanym po sąsiedzku. Tego ranka wyszła, żeby się z nim spotkać. Rzecz wydawała się zupełnie naturalna. Trudno zrozumieć Poirota. Wszystkie jego pytania brzmiały dla

mnie jak pozbawione znaczenia. Dotyczyły głównie jej codziennych, rutynowych zajęć w Waverly Court. Szczerze mnie to znudziło i ucieszyłem się, gdy Poirot ruszył do wyjścia.

- Porwanie to prosta robota, mon ami - zauważył zatrzymując taksówkę na Hammersmith Road. Kierowcy polecił jechać do Waterloo.

- To dziecko mogło być uprowadzone z największą łatwością któregokolwiek dnia w ciągu ostatnich trzech lat.

- Nie widzę z tego żadnego postępu dla naszej sprawy - rzuciłem zimno.

- *Au contraire*[16], to ogromny postęp, naprawdę! ogromny! Jeżeli już musisz wpinać szpilkę w krawat, Hastings, niech chociaż będzie ona dokładnie na środku. Teraz masz ją co najmniej jakieś dwanaście milimetrów za daleko na prawo.

Waverly Court było piękną, starą posiadłością, ostatnio starannie i ze smakiem odnowioną. Pan Waverly pokazał nam izbę rady, taras i wszystkie inne miejsca związane ze sprawą. Wreszcie, na życzenie Poirota, przycisnął sprężynę w ścianie i panel usunął się na bok otwierając krótki korytarzyk do "księżej dziury".

- Widzą panowie - powiedział Waverly - nic tu nie ma.

Mały pokójk ział pustką, nie było nawet śladu stóp na podłodze. Przysunąłem się do Poirota, który pochylił się z uwagą nad czymś w kącie.

- Co w tym rozpoznajesz, mój przyjacielu? Były tam blisko siebie cztery ślady.

- Pies - zawołałem.

- Malutki piesek, Hastings.

- Szpic.

- Mniejszy od szpica.

- Gryfon? - strzeliłem bez przekonania.

- Mniejszy nawet od gryfona. Gatunek nieznany w Związku Kynologicznym.

Spojrzałem na jego twarz jaśniejącą z ekscytacji i zadowolenia.

- Miałem rację - mruczał. - Wiedziałem, że mam rację. Idziemy, Hastings.

Gdy wyszliśmy do holu i panel zamknął się za nami, młoda dama wyłoniła się z drzwi w głębi holu.

- Panna Collins - przedstawił Waverly. Panna Collins o jasnych włosach bez połysku, w binoklach, miała około trzydziestu lat oraz energiczny sposób bycia.

Do małego salonu przeszliśmy, na życzenie Poirota, który wypytał pannę Collins szczegółowo o służbę, a zwłaszcza Tredwella. Przyznała, że lokaja nie lubi.

- Jest taki pyszałkowaty - wyjaśniła.

Następnie poruszono kwestię posiłku pani Waverly 28. wieczorem. Panna Collins oświadczyła, że jadła to samo w swoim saloniku na piętrze i nie miała żadnych dolegliwości. Gdy zbierała się do wyjścia, trąciłem Poirota. - Pies - szepnąłem.

- A, tak, pies! - uśmiechnął się szeroko. - Czy jest tu może przypadkiem jakiś pies, *mademoiselle*?

- Są dwa psy myśliwskie. Na zewnątrz, w psiarni.

- Nie, chodzi mi o małego pieska pokojowego.

- Nie, takiego nie ma.

Poirot pozwolił jej odejść.

- Ona kłamie, ta panna Collins - powiedział. - Być może na jej miejscu też bym kłamał. No, a

teraz lokaj.

Tredwell był osobą pełną godności. Opowiedział swoją wersję z głębokim przekonaniem. W istocie była identyczna z zeznaniem pana Waverly. Potwierdził, że zna tajemnicę “księżej dziury”.

Kiedy wreszcie wyszedł, do końca pełen namaszczenia, napotkałem pytające spojrzenie Poirota.

- Co z tego wszystkiego wnioskujeś, Hastings?

- A ty? - odparowałem.

- Ależ zrobiłeś się ostrożny. Nigdy, ale to nigdy, szare komórki nie będą funkcjonować bez odpowiedniej stymulacji. Ale nie będę ci już dokuczać, podedukujmy razem. Co nas tu uderza jako najtrudniejsze do wyjaśnienia?

- Jedna rzecz mnie zastanawia - powiedziałem. - Dlaczego mężczyzna, który porwał dziecko, wyjechał przez południową bramę, a nie wschodnią, gdzie nikt by go nie widział?

- Bardzo celna uwaga, Hastings, znakomita. Dodam pytanie równie istotne: Dlaczego uprzedzać państwa Waverly z góry? Dlaczego nie porwać dzieciaka po prostu i więzić go do momentu otrzymania okupu?

- Miał nadzieję, że dostanie pieniądze i nie będzie musiał robić niczego złego?

- Przecież to bardzo mało prawdopodobne, że sama groźba spowoduje przekazanie pieniędzy?

- Poza tym porywacze chcieli skupić uwagę wszystkich na godzinie dwunastej, żeby po ujęciu włóczęgi, porywacz mógł wyskoczyć z kryjówki i umknąć z dzieckiem.

- Ale to nie zmienia faktu, że z rzeczy najprostszej zrobili coś trudnego. Gdyby nie podali godziny ani dnia, cóż byłoby łatwiejszego niż poczekać, aż niania wyjdzie z chłopczykiem na spacer i wtedy go wywieźć?

- No, tak - zgodziłem się bez przekonania.

- W rzeczywistości jest to świadomie odgrywane przedstawienie! Spójrzmy na tę sprawę z innej strony. Wszystko zmierza do pokazania, że sprawcą jest ktoś z domowników. Punkt pierwszy to tajemnicze zatrucie pani Waverly. Punkt drugi - list przypięty do poduszki. Punkt trzeci - cofnięcie wskazówek zegara o dziesięć minut. Te rzeczy robił ktoś działający w domu. I jeszcze dodatkowy fakt, którego mogłeś nie zauważyć. W “księżej dziurze” nie było kurzu. Wysprzątane zmiotką.

- A teraz mamy cztery osoby w domu. Nianię wykluczamy, bo nie mogła pozamiatać “księżej dziury”, choć pozostałe trzy punkty mogłyby być jej robotą. Cztery osoby: państwo Waverly, lokaj Tredwell i panna Collins. Weźmy najpierw damę do towarzystwa. Nie mamy nic istotnego przeciw niej, ale w ogóle wiemy mało, tyle tylko, że jest to młoda, niewątpliwie inteligentna kobieta i przebywa tu jedynie od roku.

- Skłamała na temat psa, mówiłeś - przypominałem mu.

- Ach, tak, pies - Poirot uśmiechnął się nieco dziwnie. - Przejdźmy do Tredwella. - Kilka podejrzanych faktów świadczy przeciw niemu. Jedna rzecz to twierdzenie włóczęgi, że paczkę dostał w wiosce od Tredwella.

- Ale Tredwell ma alibi.

- Mimo to mógł podtruć panią Waverly, mógł przyczepić kartkę do poduszki, mógł cofnąć zegar, mógł pozamiatać w “księżej dziurze”. Z drugiej strony urodził się i wychował na służbie u państwa Waverly. Wydaje się w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, by w ogóle przyszła mu do głowy myśl o porwaniu małego dziedzica. To nie pasuje do obrazka!

- A zatem?

- Musimy posuwać się zgodnie z logiką, jakkolwiek wydawałoby się to absurdalne. Krótko zastanówmy się nad osobą pani Waverly. Jednak ona jest bogata, to do niej należą pieniądze, za które podupadła posiadłość została podźwignięta. Miałaby porwać własnego syna i płacić sobie własne pieniądze? Nie byłoby w tym żadnego sensu. Natomiast jej mąż jest w zupełnie innej sytuacji. Ma bogatą żonę. To nie to samo, co być bogatym osobiście - coś mi się wydaje, że ta dama nie bardzo lubi rozstawać się ze swymi zasobami, wyjąwszy bardzo uzasadnione wypadki. Natomiast pan Waverly, widać to od razu, jest typem bon viveur[17].

- Niemożliwe - prychnąłem.

- Nie tak całkiem. Pomyśl: kto odsyła całą służbę? Pan Waverly. Może pisać kartki, podtruwać żonę, cofać wskazówki zegara i przygotować znakomite alibi swojemu wiernemu totumfackiemu Tredwellowi. Tredwell nigdy nie lubił pani Waverly. Jest oddany swemu panu i pragnie co do joty wypełniać jego rozkazy. Trzy osoby brały w tym udział. Waverly, Tredwell i jakiś przyjaciel Waverly'ego. Błędem policji było, że nie zainteresowała się bardziej mężczyzną w szarym samochodzie wiozącym dziecko omyłkowo wzięte za Johnniego. On był tym trzecim. W sąsiedniej wiosce wziął do auta chłopczyka z płowymi loczkami. W odpowiednim momencie przejechał od wschodniej do południowej bramy machając ręką i krzycząc. Ani jego twarz, ani tablice rejestracyjne samochodu nie były dobrze widoczne, a więc i buzi dziecka nikt nie mógł rozpoznać. Mężczyzna skierował się na drogę do Londynu. A tymczasem Tredwell zorganizował posłańca o wyglądzie obwiesia do dostarczenia paczki. Jego pan przygotował alibi na wypadek, mało prawdopodobny, że mimo sztucznych wąsów dostawca paczki rozpozna Tredwella. Co do Waverly'ego gdy na zewnątrz zrobił się ten zamęt i inspektor wybiegł, ukrył chłopca pośpiesznie w "księżej dziurze" i zaraz ponownie dołączył do policjanta. Później tego samego dnia, gdy inspektor odjedzie, a panna Collins też sobie pójdzie, łatwo będzie Waverly'emu odwieźć syna własnym samochodem w jakieś bezpieczne miejsce.

- A co z psem? - spytałem. - I z kłamstwem panny Collins?

- To taki mój żarcik. Pytałem ją, czy były w domu jakieś zabawki tego rodzaju - pluszowe pieski, a ona powiedziała, że nie. Oczywiście, że były. W pokoju dzieciennym! Widzisz, pan Waverly zaniósł do "księżej dziury" trochę zabawek, żeby Johnnie miał zajęcie i był cicho.

- Panie Poirot - Waverly wszedł do pokoju - czy pan coś wykrył? Czy domyśla się pan, dokąd chłopiec został zabrany?

- Tu jest adres - Poirot podał mu skrawek papieru.

- Ależ to pusta kartka.

- Bo czekam, aż pan mi to napisze.

- Co za... - twarz pana Waverly zrobiła - się purpurowa.

- Wiem wszystko, *monsieur*. Daję panu dwadzieścia cztery godziny na przywiezienie chłopca do domu. Musi pan wyteńczyć całą swoją pomysłowość, by wyjaśnić odzyskanie syna. Inaczej pani Waverly zostanie dokładnie poinformowana o przebiegu wypadków.

- Jest z moją starą nianią - pan Waverly zapadł się w fotel i ukrył twarz w dłoniach - dziesięć mil stąd. Jest szczęśliwy i pod dobrą opieką.

- Nie mam co do tego wątpliwości. Gdybym nie uważał pana za ojca, w głębi serca, dobrego, nie byłbym skłonny dać panu jeszcze jednej szansy.

- Ten skandal...

- Otóż to. Nosi pan stare, szanowane nazwisko! Niech pan go więcej nie naraża. Do widzenia

panie Waverly. Aha, przy okazji, jedna mała rada. Zamiataj trzeba również w kątach!

Podwójny dowód

- Ale dyskrecja nade wszystko - powiedział pan Marcus Hardman po raz chyba już czternasty.

Słowo dyskrecja powracało regularnie w jego wypowiedziach jako niewątpliwy motyw przewodni. Nieduży, zażywny pan Hardman odznaczał się nadzwyczajnie wypiełgnowanymi dłońmi i głosem płacznego tenora. Będąc na swój sposób osobistością, z wytwornego życia uczynił swój zawód. Zamożny, choć nie należał do największych bogaczy, w pogoni za przyjemnościami towarzyskimi gorliwie wydawał pieniądze. Kolekcjonerstwo stanowiło jego hobby. Miał duszę zbieracza. Stare koronki, stare wachlarze, wiekowa biżuteria - dla Marcusa Hardmana nie liczyły się rzeczy surowe, bez patyny ani nowoczesne.

Przybyliśmy tam, Poirot i ja, na jego usilne prośby. Zastaliśmy drobnego mężczyznę obolałego od niemożności podjęcia decyzji. Z pewnych względów powiadomienie policji było dla niego nie do pomyślenia. Z drugiej strony, nie powiadomić znaczyło pogodzić się z utratą kilku klejnotów z kolekcji. Poirot miał być trzecim, szczęśliwym rozwiązaniem.

- Moje rubiny, panie Poirot, i ten szmaragdowy naszyjnik, o którym mówią, że należał do Katarzyny Medycejskiej. Och, szmaragdowy naszyjnik!

- Czy mógłby pan przedstawić mi okoliczności ich zaginięcia? - ton Poirota był łagodny.

- Tak, pragnę to właśnie uczynić. Wczoraj po południu wydałem małe party - zupełnie nieformalna herbatka, jakieś pół tuzina osób. Urządzam jedno lub dwa takie spotkania w sezonie i, choć pewnie nie powinienem tego mówić, są bardzo udane. Trochę dobrej muzyki: Nacora - pianista, Katherine Bird - kontralt. W dużym salonie. Więc wczesnym popołudniem pokazywałem moim gościom kolekcję średniowiecznych klejnotów. Trzymam je w małym ściennym sejfie. W środku wygląda on jak szafka i jest wyścielony aksamitem dla lepszej ekspozycji precjozów. Potem obejrzelismy wachlarze - w gablocie na ścianie. Następnie udaliśmy się do salonu słuchać muzyki. I dopiero kiedy wszyscy już sobie poszli, zauważyłem, że sejf został obrabowany! Chyba nie zamknąłem dobrze, a ktoś wykorzystał okazję i opróżnił go. Rubiny, panie Poirot, szmaragdowy naszyjnik - kolekcja mojego życia! Czego bym nie dał, żeby je odzyskać! Ale wszystko po cichu! Rozumie pan to w pełni, prawda, panie Poirot? Moi goście, moi osobiści przyjaciele! To byłby straszliwy skandal!

- Kto ostatni opuścił ten pokój, gdy przeszli państwo do salonu?

- Pan Johnston. Może pan go zna? Milioner z południa Afryki. Właśnie wynajął dom Abbotburysów przy Park Lane. Został z tyłu przez parę chwil, pamiętam. Ale na pewno, och, to na pewno nie może być on!

- Czy ktokolwiek z pańskich gości zaglądał ponownie do tego pokoju pod jakimś pretekstem w ciągu popołudnia?

- Byłem przygotowany na to pytanie, panie Poirot. Trzy osoby zaglądały: hrabina Vera Rossakoff, pan Bernard Parker i lady Runcorn.

- Może coś na ich temat...

- Hrabina Rossakoff to wyjątkowo czarująca dama, jeszcze z elity tamtej, dawnej Rosji. Przybyła tu niedawno. Pożegnała się już ze mną i dlatego byłem nieco zdziwiony spotykając ją jeszcze w tym pokoju, wpatrzoną w zachwycie w moje wachlarze w gablocie. Wie pan, panie Poirot, im więcej o tym myślę, tym bardziej podejrzane mi się to wydaje. Zgodzi się pan?

- Ogromnie podejrzane, ale może jeszcze coś na temat innych osób.

- Więc Parker wszedł tu tylko po puzdro z miniaturami, które pragnąłem pokazać lady Runcorn.

- A sama lady Runcorn?

- Ośmielam się panu powiedzieć, że lady Runcorn jest kobietą w średnim wieku o wielkiej sile charakteru, która swój czas poświęca głównie działalności w rozmaitych komitetach dobroczynnych. Wróciła tu po prostu po torebkę, którą gdzieś położyła.

- *Bien, monsieur*. Mamy więc czworo potencjalnych podejrzanych. Rosyjska hrabina, angielska grande dame[18], południowoafrykański milioner i pan Bernard Parker. Kto to jest pan Parker, przy okazji?

Pytanie okazało się ogromnie ambarasujące dla pana Hardmana.

- On jest... ee... to młody człowiek. Więc, faktycznie, jest to mój młody znajomy.

- Tyle to już wydedukowałem - powiedział poważnie Poirot. - Co on robi, ten pan Parker?

- To jest taki młody towarzyski człowiek, ale jeszcze nie zupełnie bywalec, jeśli wolno mi użyć takiego określenia.

- Mogę zapytać, jak to się stało, że został pańskim przyjacielem?

- Więc... ee... raz czy dwa razy wykonał dla mnie - pewne drobne zlecenia.

- Proszę dalej, *monsieur* - dopominał się Poirot.

Hardman popatrzył na niego z wyrzutem. Najwyraźniej ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było ciągnięcie tego tematu. Ponieważ jednak Poirot zachowywał bezlitosne milczenie, skapitulował.

- Widzi pan, panie Poirot, dobrze wiadomo, że jestem zainteresowany starymi klejnotami. Czasem jakaś rodzina ma na zbyciu spadek, który, pan daruje, nigdy nie trafi na rynek, ani do dealera. Natomiast transakcja ze mną bezpośrednio to zupełnie inna sprawa. Parker aranżuje dla mnie w szczególach takie rzeczy, jest w kontakcie z obiema stronami i w ten sposób unika się nawet drobnych niezręczności. Informuje mnie o wszystkich sprawach tego rodzaju. Na przykład, hrabina Rossakoff przywiozła ze sobą z Rosji nieco klejnotów rodzinnych. Bardzo chce je sprzedać. Bernard Parker miał przygotować transakcję.

- Rozumiem - powiedział Poirot w zadumie. - I ufa mu pan bezgranicznie?

- Nie mam powodów, żeby było inaczej.

- Panie Hardman, kogo pan podejrzewa spośród tych czworga?

- Och, panie Poirot, co za pytanie! To są moi przyjaciele, jak panu powiedziałem. Nie podejrzewani nikogo z nich, albo podejrzewam ich wszystkich, jeżeli woli pan to tak ująć.

- Nie wierzę. Podejrzewa pan jedną osobę z tej czwórki. Nie jest to hrabina Rossakoff. Nie jest to pan Parker. Czy to lady Runcorn, czy pan Johnston?

- Przypiera mnie pan do muru, panie Poirot, naprawdę. Przede wszystkim zależy mi na tym, żeby nie było skandalu. Lady Runcorn należy do jednej z najstarszych rodzin w Anglii, ale faktem jest, to rzecz w najwyższym stopniu niefortunna, lecz prawdziwa, że jej ciotka, lady Caroline, cierpiała na ogromnie przygnębiającą przypadłość. Wszyscy przyjaciele rozumieli to, naturalnie, a pokojówka zwracała łyżeczki do herbaty, czy cokolwiek to było, możliwie jak najszybciej. Widzi pan mój problem!

- Więc lady Runcorn ma ciotkę kleptomankę? Bardzo interesujące. Pozwoli pan, że obejrzę sejf?

Za zgodą pana Hardmana Poirot odepchnął drzwiczki skarbca i zbadał jego wnętrze. Ziało ku nam pustką wyścielonych aksamitem półek.

- Drzwiczki wciąż nie zamykają się, jak należy - mruknął Poirot przywodząc je i odwodząc. - Ciekaw jestem, dlaczego? O, a co my tu mamy? Rękawiczka wciśnięta pod zawias. Męska.

Podał ją Hardmanowi, który oświadczył:

- To nie moja rękawiczka.

- O! Coś jeszcze! - Poirot zrećnie się pochylił i z dna sejfu podniósł mały przedmiot. Była to płaska papierośnica z czarnej mory.

- Moja papierośnica! - wykrzyknął pan Hardman.

- Pańska? Z pewnością nie, *monsieur*. To nie są pańskie inicjały.

Poirot wskazał na platynowy monogram w postaci dwóch splecionych liter.

Hardman wziął pudełko do ręki.

- Ma pan rację - przyznał. - Jest całkiem jak moja, ale inicjały są inne. "B" i "P". Wielkie nieba - Parker!

- Tak by wyglądało - powiedział Poirot. - Trochę nieuważny, młody człowiek, zwłaszcza jeśli i rękawiczka należy do niego. Byłby to podwójny dowód, prawda?

- Bernard Parker - mruczał Hardman. - Co za ulga! Dobrze, *monsieur* Poirot, panu pozostawiam odzyskanie klejnotów. Można oddać tę sprawę w ręce policji, gdyby pan uważał, że tak należy, to znaczy, jeśli naprawdę ma pan pewność, że to on jest sprawcą.

- Widzisz przyjacielu - powiedział Poirot, gdy wyszliśmy razem z tego domu - on ma osobne prawo dla utytułowanych, a inne dla szaraków, ten pan Hardman. Ponieważ nie zostałem jeszcze uszlachcony, czuję sympatię do owego młodego człowieka. Cała sprawa jest trochę dziwna, prawda? Był Hardman podejrzewający lady Runcorn, byłem ja z podejrzeniami wobec hrabiny i Johnstona i przez cały czas mieliśmy na uwadze tajemniczego pana Parkera.

- Dlaczego podejrzewałeś tych dwoje?

- Parbleu![19] To takie proste - zostać rosyjską emigrantką lub milionerem z południa Afryki. Każda kobieta może przedstawiać się jako rosyjska hrabina i ktokolwiek może kupić dom przy Park Lane i podawać się za milionera z Afryki Południowej. Kto to zakwestionuje? Ale widzę, że mijamy Bury Street. Mieszka tu nasz nieuważny młody przyjaciel. Kujmy, jak to się mówi, żelazo, póki gorące.

Pan Bernard Parker był w domu. Zastaliśmy go spoczywającego na kilku poduszkach, ubranego w krzykliwy purpurowo-pomarańczowy szlafrok. Rzadko zdarzało mi się odczuć do kogokolwiek tak wielką niechęć, jak wtedy do tego młodego człowieka o białej, zniewieściałej twarzy i afektowanej, sepleniącej wymowie.

- Dzień dobry, *monsieur* - powiedział żywo Poirot,

- Przychodzę od pana Hardmana. Wczoraj na przyjęciu ktoś ukradł jego wszystkie kosztowności. Proszę pozwolić mi spytać, *monsieur*, czy to pańska rękawiczka?

Procesy myślowe wydawały się nie przebiegać u pana Parkera gwałtownie. Wpatrywał się w rękawiczkę jakby zbierając niesprawne władze umysłowe.

- Gdzie pan to znalazł? - spytał w końcu.

- Czy to pańska rękawiczka, *monsieur*?

Wydawało się, że pan Parker podjął decyzję: - Nie, nie moja - oświadczył.

- A ta papierośnica? Pańska?

- Z pewnością nie. Zawsze noszę srebrną.

- Doskonale, monsieur. Przekażę tę sprawę w ręce policji.

- Och, sądzę... na pańskim miejscu bym tego nie robił - wykrzyknął pan Parker nieco zaniepokojony.

Potwornie niesympatyczni ludzie, ci policjanci. Proszę zaczekać odrobinę. Pójdę zobaczyć się ze starym Hardmanem. Zaraz wrócę, och, proszę zaczekać minutę.

Poirot ruszył jednak z determinacją do wyjścia.

- Daliśmy mu do myślenia, prawda? - zachichotał. - Zobaczymy jutro, co się będzie działo.

Było nam jednak przeznaczone przypomnieć sobie o sprawie Hardmana jeszcze tego popołudnia. Bez najmniejszego ostrzeżenia drzwi stanęły otworem i w naszą prywatność wdarła się trąba powietrzna w ludzkiej postaci, niosąca na sobie sobolowe okrycie (dzień był zimny, jak może być zimny tylko czerwcowy dzień w Anglii) oraz kapelusz obficie okryty szczątkami zaszlachtowanych rybołówów. Hrabina Vera Rossakoff była osobowością cokolwiek niepokojącą.

- To pan jest *monsieur* Poirot? I co pan narobił? Oskarża pan tego biednego chłopca! To podłe. To skandaliczne. Ja go znam. To kurczątko, owieczka nigdy by niczego nie ukradł. Robił dla mnie wszystko. I teraz będę stać i patrzeć, jak go męczą i prowadzą na rzeź?

- Proszę powiedzieć mi, *madame*, czy to jest jego papierośnica? - Poirot podsunął czarne pudełko. Hrabina milczała chwilę, oglądając drobiazg.

- Tak, to jego. Dobrze ją pamiętam. Co z tego? Znalazł ją pan w tym pokoju? Wszyscy tam byliśmy, przypuszczam, że ją upuścił. Ach, wy, policjanci, jesteście gorsi od czerwonogwardzistów...

- A czy to jego rękawiczka?

- Skąd miałabym wiedzieć? Rękawiczki są do siebie podobne. Niech pan nie próbuje mnie powstrzymać - on musi być wolny. Jego osoba musi zostać oczyszczona, Pan to zrobi. Sprzedam moje kosztowności i dam panu dużo pieniędzy.

- *Madame*...

- Więc załatwione, tak? Nie, nie, niech się pan nie kłóci. Biedny chłopiec! Przyszedł do mnie ze łzami w oczach. "Uratuję cię", powiedziałam. "Pójdę do tego człowieka - do tego potwora, ludożercy. Zostaw to Verze". No i załatwione, idę.

Tak jak weszła, tak i teraz wywionęła bez żadnych ceremonii, pozostawiając za sobą wyrazisty zapach egzotycznych perfum.

- Co za kobieta! - wykrzyknąłem. - I jakie futro

- A, futro chyba prawdziwe. Czy fałszywa hrabina może nosić prawdziwe futro? To taki mój żarcik, Hastings... Nie, to prawdziwa Rosjanka, tak sobie plotę. No, no, więc panicz Bernard poszedł się do niej wybeczeć.

- Papierośnica jest jego. Ciekaw jestem, czy rękawiczki również...

Poirot wyciągnął z kieszeni drugą rękawiczkę i z uśmiechem położył obok pierwszej. Nie ulegało wątpliwości, że były do pary.

- Skąd masz drugą rękawiczkę, Poirot?

- Leżała rzucona razem z laską na stoliku w holu przy Bury Street. Rzeczywiście, bardzo to

nieuważny młody człowiek, ten *monsieur* Parker. Tak, tak, *mon ami* - musimy być dokładni. Dla porządku złożę krótką wizytę przy Park Lane.

Nie muszę mówić, że towarzyszyłem przyjacielowi. Johnstona nie zastaliśmy, ale rozmawialiśmy z jego osobistym sekretarzem. Okazało się, że Johnston dopiero co przybył z południowej Afryki. Nigdy wcześniej nie był w Anglii.

- Interesuje się kamieniami szlachetnymi, czyż nie? - strzelił Poirot.

- Raczej kopalniami złota - roześmiał się sekretarz. Poirot wracał po tej rozmowie zamyślony. Późno wieczorem spostrzegłem, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, że jest pochłonięty studiowaniem gramatyki rosyjskiej.

- Wielkie nieba, Poirot! - krzyknąłem. - Uczysz się rosyjskiego, żeby rozmawiać z hrabiną w jej języku?

- Ona z pewnością nie powinna się wsłuchiwać w moją angielszczyznę, przyjacielu!

- Ale z pewnością, Poirot, dobrze urodzeni Rosjanie mówią z reguły po francusku?

- Jesteś kopalnią wiadomości, Hastings! Chyba skończę z tym rozgryzaniem zawilóści rosyjskiego alfabetu.

Z teatralnym gestem odrzucił podręcznik. Nie byłem jednak przekonany. Miał tę iszkierkę w oku, którą znałem od lat. Była nieomylnym znakiem, że Poirot jest z siebie zadowolony.

- Chyba wątpisz - wymądrzałem się - że jest prawdziwą Rosjanką. Zamierzasz zrobić jej test?

- Ach nie, z pewnością jest Rosjanką.

- No więc...

- Jeżeli naprawdę chcesz błysnąć przy okazji tej sprawy, Hastings, polecam *Pierwsze kroki w rosyjskim* jako nieocenioną pomoc.

Potem roześmiał się i nic więcej nie powiedział. Podniosłem książkę z podłogi i zagłębiłem się w nią z ciekawością, ale nie mogłem pojąć, o co chodziło Poirotowi.

Następny ranek nie przyniósł żadnych nowinek, ale wydawało się, że to w ogóle nie martwi mojego przyjaciela. Przy śniadaniu obwieścił o zamiarze złożenia wizyty panu Hardmanowi, i to na początku dnia. Podstarzałego lwa salonowego zastaliśmy w domu. Wydawał się nieco spokojniejszy niż poprzedniego dnia.

- Więc, panie Poirot, ma pan jakieś nowiny? - spytał niecierpliwie.

Poirot podał mu karteczkę.

- Oto osoba, która zabrała kosztowności, *monsieur*. Czy mam przekazać sprawę policji? Czy woli pan, żebym odzyskał biżuterię bez udziału policji?

Pan Hardman wpatrywał się w papier. W końcu odzyskał głos.

- Niezmiernie zdumiewające. Zdecydowanie wolałbym, żeby obeszło się bez skandalu w tej sprawie. Daję panu *carte blanche*[20], *monsieur* Poirot. Jestem pewien, że pan zachowa dyskrecję.

Naszym następnym pociągnięciem było złapanie taksówki. Poirot kazał jechać do "Caritona". Tam zapytał o hrabinę Rossakoff. Po paru minutach zostaliśmy wprowadzeni do apartamentu damy. Hrabina zbrojna w oszalamiający negliż z barbarzyńskimi motywami wyciągnęła ku nam ramiona na powitanie.

- *Monsieur* Poirot! - zawołała. - Udało się panu? Wyciągnął pan tego biednego dzieciaka?

- *Madame la comtesse*, przyjacielowi pani, panu Parkerowi, absolutnie nie zagraża aresztowanie.

- Ach, ależ pan jest sprytnym mężczyzną! Cudownie! I jeszcze do tego tak szybko.

- Z drugiej strony, obiecałem panu Hardmanowi, że klejnoty zostaną mu dziś zwrócone.

- Więc?

- Więc byłbym niezmiernie zobowiązany, gdyby niezwłocznie przekazała pani te kosztowności w moje ręce. Przykro mi, że panią ponaglę, ale trzymam taksówkę - na wypadek, gdyby konieczna okazała się moja wizyta w Scotland Yardzie. A my, Belgowie, *madame*, jesteśmy bardzo oszczędni.

Hrabina zapaliła papierosa. Przez parę sekund siedziała absolutnie nieruchomo puszczając kółka dymu i wpatrując się w Poirota. Następnie wybuchnęła śmiechem i wstała. Przeszła przez pokój, wysunęła szufladę biurka i wyjęła czarną, jedwabną torebkę. Rzuciła ją lekkim ruchem Poirotowi.

- My, Rosjanie - odezwała się głosem spokojnym i pogodnym - przeciwnie: jesteśmy bardzo rozrzutni. Żeby jednak pieniądze trwonić, trzeba je mieć. Nie musi pan sprawdzać torebki. Jest w niej wszystko.

Poirot wstał.

- Gratuluję pani bystrości umysłu i właściwej postawy.

- Ach, ponieważ czeka na pana taksówka, co jeszcze mogłabym zrobić?

- Jest pani zbyt miła, *madame*. Czy zostaje pani dłużej w Londynie?

- Obawiam się, że nie - za sprawą pana.

- Proszę przyjąć moje przeprosiny.

- Być może spotkamy się kiedyś gdzie indziej.

- Mam taką nadzieję.

- A ja nie! - wykrzyknęła ze śmiechem hrabina - To wielki komplement w moich ustach, bo bardzo mało jest mężczyzn na świecie, których się boję. Do widzenia, monsieur Poirot.

- Do widzenia, *madame la comtesse*. Ach, pardon, zapomniałem! Pozwoli pani, że zwrócę jej papierośnicę,

Z ukłonem wręczył jej małe, czarne pudełko, które znaleźliśmy w sejfie. Przyjęła je bez specjalnej reakcji, uniosła tylko brwi i mruknęła "rozumiem".

- Co za kobieta! - wykrzyknął entuzjastycznie Poirot, gdy schodziliśmy po schodach. *Mon Dieu, quelle femme!*[21] Ani słowa sprzeciwu, protestu, żadnego blefu! Jedno szybkie spojrzenie i już prawidłowo oceniła położenie. Mówię ci, Hastings, kobieta, która potrafi w taki sposób przyjąć porażkę - z beztroskim uśmiechem - zajdzie daleko! Jest niebezpieczna, ma nerwy ze stali, ona...- tu przerwał, bo się potknął.

- Czy mógłbyś zredukować nieco tempo i patrzeć, gdzie idziesz? Byłoby to wskazane - zasugerowałem. - Kiedy zacząłeś podejrzewać hrabinę?

- *Mon ami*, to kwestia rękawiczek i papierośnicy - podwójny dowód, tak to nazwijmy - zastanowił mnie. Bernard Parker mógł z pewnością zgubić jedną lub drugą rzecz, ale raczej nie obydwie. Ach, nie, to już byłoby za wiele niedbalstwa! Podobnie, gdyby ktoś chciał rzucić podejrzenie na Parkera, jeden przedmiot wystarczyłby - papierośnica albo rękawiczka, ale, znowu, nie obydwie. Musiałem więc dojść do wniosku, że jedna z tych rzeczy nie należała do Parkera. Najpierw przypuszczałem, że papierośnica była Parkera, a rękawiczka nie. Kiedy jednak znalazłem drugą rękawiczkę do pary, zrozumiałem, że jest na odwrót. Czyja więc była papierośnica? Nie mogła należeć do lady Runcorn. Nie te inicjały. Pan Johnston? Tylko jeśli występował tu pod fałszywym nazwiskiem. Rozmawiałem z jego sekretarzem, było widać od razu, że wszystko jest w porządku i się zgadza. Żadnych zagadek co do przeszłości pana Johnstona. A zatem hrabina? Miała przywieźć kosztowności ze sobą z Rosji, więc teraz byłaby to tylko kwestia wyjęcia kamieni z opraw.

Niezmiernie mało prawdopodobne, by ktokolwiek kiedykolwiek je potem zidentyfikował. Cóż łatwiejszego dla niej, niż wziąć tego dnia z holu jedną rękawiczkę Parkera i podrzucić ją w sejfie? Ale, *bien sur*[22], nie miała zamiaru zostawiać tam swojej własnej papierošnicy.

- Ale jeśli to była jej papierošnica, dlaczego miała inicjały "B.P"? Inicjały hrabiny to "V.R."
Poirot ušmiechnął się wyrozumiale.

- Jest wlaŝnie tak, jak mówisz, mon ami, ale w alfabecie rosyjskim B to V, a P to R.

- Chyba nie spodziewałaš się, że to odgadnę. Nie znam rosyjskiego.

- Ani ja, Hastings. Dlatego kupiłem ten mały podręcznik i pokazałem ci go.

Westchnął.

- Nadzwyczajna kobieta. Mam przeczucie, przyjacielu, bardzo mocne przeczucie, że spotkam ją ponownie. Ciekaw jestem, gdzie?

Król trefl

- Prawda - jest dziwniejsza niż fikcja! - stwierdziłem odkładając na bok "Daily Newsmonger".

Nie była to, z pewnością, myśl oryginalna i najwyraźniej rozdrażniła mojego przyjaciela.

Przekrzywiając jajowatą głowę na bok strzepnął wyimaginowany pyłek z odprasowanych idealnie spodni i zauważył:

- Ależ głębia! Jakim to myślicielem jest mój przyjaciel Hastings!

Nie okazując żadnej złości wobec niczym nie uzasadnionego szyderstwa wskazałem palcem na dziennik.

- Czytałeś dzisiejszą gazetę?

- Czytałem. A po przeczytaniu ponownie równiutko ją poskładałem. Nie rzuciłem na podłogę, jak to robisz ty na skutek godnego ubolewania bałaganiarstwa i braku systematyczności.

(To jest najgorsze u Poirota. Porządek i Systematyczność są jego bożkami. Posuwa się tak daleko, że przypisuje im wszystkie swoje sukcesy.)

- Widziałeś więc informację o zamordowaniu Henry'ego Reedburna, tego impresaria? Ona właśnie podsunęła mi tę myśl na temat prawdy, która jest nie tylko dziwniejsza od fikcji, ale również znacznie bardziej dramatyczna. Pomyśl o tej przyzwoitej rodzinie z angielskiej klasy średniej - Oglanderach. Ojciec i matka, syn i córka, typowa rodzina, jakich tysiące w całym kraju. Mężczyźni dojeżdżają codziennie do City, kobiety doglądają domu. Ich życie jest doskonale spokojne i doskonale monotonne. Wczoraj wieczorem siedzieli w swoim schludnym, podmiejskim domku Daisymead w Streatham, grając w brydża. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, oszklone drzwi otwierają się na oścież i do pokoju wpada zataczając się, kobieta. Jej szarą, satynową suknię znaczą purpurowe plamy. Rzuca jedno słowo, "Morderstwo!" i osuwa się na podłogę bez zmysłów. Być może domownicy rozpoznali ją ze zdjęć jako Valerie Saintclair, słynną tancerkę, która ostatnio szturmem zdobyła Londyn!

- To ty jesteś taki wymowny, czy "Daily Newsmonger"? - spytał Poirot.

- W "Daily Newsmonger" śpieszyli się z drukiem i musieli poprzestać na gołych faktach. Ale dramatyzm kryjący się w tej informacji uderzył mnie od razu.

- Gdziekolwiek jest ludzka natura, tam jest i dramat - Poirot pokiwał głową w zadumie. - Ale nie zawsze tam, gdzie się go upatruje. Pamiętaj o tym. Jednak ja również jestem zainteresowany tą sprawą, ponieważ prawdopodobnie będę miał z nią do czynienia.

- Naprawdę?

- Tak. Rano zadzwonił jakiś mężczyzna i umówił mnie na spotkanie z Paulem, księciem Mauranii.

- A co wspólnego ma jedno z drugim?

- Nie śledzisz tych waszych ślicznych angielskich gazetek polujących na skandale. Tych ze śmiesznymi historiami "co myszka usłyszała..." albo "co ptaszek chciałby wiedzieć...". Patrz tutaj.

Podążając za jego krótkim, serdelkowatym palcem czytałem akapit:

"... czy zagraniczny książę i sławna tancerka są naprawdę ze sobą! I czy damie podoba się nowy pierścionek z diamentem!"

- A teraz kontynuujmy dramatyczny wątek twój opowieści - zaproponował Poirot. -

Mademoiselle Saintclair właśnie padła zemdlona na dywan salonu w Daisymead, pamiętasz,

Wzruszyłem ramionami.

- Usłyszawszy pierwsze po pojawieniu się *mademoiselle* wyszeptane słowa, dwaj Oglanderowie wyszli, jeden po lekarza dla damy, która najwyraźniej ogromnie cierpiała na skutek szoku, drugi na komisariat, skąd towarzyszył policjantom do Mon Desir, wspaniałej willi pana Reedburna, położonej w niewielkiej odległości od Daismead. Tam znaleźli tego wielkiego mężczyznę, który notabene opinię miał nadszarpniętą, leżącego w bibliotece z potylicą rozłupaną jak skorupa jaja.

- Wykoślawiłem twój styl - powiedział uprzejmie Poirot. - Wybacz mi, błagam... Ach, jest już *le prince!*

Nasz znamienity gość został zaanonsowany jako hrabia Fiodor. Był to osobliwie wyglądający młodzieniec wysoki, poważny, z drobnym podbródkiem, słynnymi ustami Mauranbergów i ciemnymi, gorejącymi oczami fanatyka.

- Pan Poirot?

Mój przyjaciel skłonił się.

- *Monsieur*, jestem w strasznych kłopotach, większych niż umiem to wyrazić...

- Rozumiem pańskie stroskanie - Poirot uniósł rękę. - *Mademoiselle Saintclair* jest bardzo bliską przyjaciółką pana, prawda?

- Mam nadzieję uczynić ją moją żoną - udzielił jasnej odpowiedzi ksiązę.

Poirot wyprostował się w fotelu i szerzej otworzył oczy.

- Nie ja pierwszy w rodzinie mam zamiar zawrzeć małżeństwo morganatyczne. Mój brat Alexander także przeciwstawił się imperatorowi. Żyjemy obecnie w bardziej oświeconych czasach, wolni od starych, kastowych uprzedzeń. Poza tym *mademoiselle Saintclair* jest, faktycznie, równa mi rangą. Słyszał pan pogłoski o jej pochodzeniu?

- Opowiada się wiele romantycznych historii o jej pochodzeniu - nic niezwykłego w przypadku sławnej tancerki. Słyszałem, że jest córką irlandzkiej posługaczki, a także wersję, która czyni z jej matki rosyjską wielką księżną.

- Pierwsza historia to oczywiście nonsens - oświadczył młody człowiek. - Ale druga jest prawdziwa. Valerie, choć zobowiązana do dotrzymania tajemnicy, pozwoliła mi to odgadnąć. Poza tym, udowadnia to bezwiednie na tysiąc sposobów. Wierzę w dziedziczność, panie Poirot.

- Ja również wierzę w dziedziczność - powiedział z namysłem Poirot. - Widziałem wiele dziwnych rzeczy z tym związanych - *moi qui vous parte...*[23] Ale do rzeczy, ksiązę. Czego pan oczekuje ode mnie? Czego pan się obawia? Mogę mówić swobodnie, czy nie? Czy jest coś, co łączy *mademoiselle Saintclair* ze zbrodnią? Oczywiście znała Reedburna?

- Tak. Wyznał, że jest w niej zakochany.

- A ona?

- Nie miała mu nic do powiedzenia.

- A czy miała jakieś powody, żeby się go bać? - Poirot patrzył uważnie na rozmówcę.

- Zdarzyło się coś takiego... - młody człowiek zawahał się. - Zna pan Zarę, tę wróżkę?

- Nie.

- Jest cudowna. Powinien pan czasem się z nią konsultować. Valerie i ja poszliśmy do niej w ubiegłym tygodniu. Wróżyła nam z kart. Mówiła Valerie o kłopotach, o zbierających się chmurach, a potem odsłoniła ostatnią kartę: był to król trefl. Powiedziała do Valerie: "Strzeż się. Jest mężczyzna, który ma cię w swojej mocy. Boisz się go, wielkie niebezpieczeństwo zagraża ci z jego strony. Wiesz, o kim myślę?". Valerie zbladła jak papier. Kiwnęła głową i powiedziała: "Tak, tak, wiem." Zaraz potem wyszliśmy. Ostatnie słowa Zary do Valerie brzmiały: "Strzeż się króla trefl. Jesteś w niebezpieczeństwie!".

Poirot podniósł się z fotela, delikatnie poklepał młodego człowieka po ramieniu.

- Niech pan się nie martwi, bardzo proszę. Niech pan to zostawi w moich rękach.

- Pojedzie pan do Streatham? Wiem, że ona wciąż jest tam, w Daisymead, nie pozbiierała się po wstrząsie.

- Pojadę tam natychmiast.

- Wszystko przygotowałem - przez ambasadę. Będzie pan miał dostęp wszędzie.

- Wobec tego ruszamy. Hastings, będziesz mi towarzyszyć? *Au revoir*, książę.

Mon Desir była wyjątkowo piękną willą, w pełni nowoczesną i wygodną. Krótki podjazd wiódł do wejściu od drogi, a z tyłu, na paru hektarach rozciągały się piękne ogrody.

Usłyszawszy imię księcia Paula, lokaj, który otworzył drzwi, natychmiast poprowadził nas na miejsce tragedii. Biblioteka okazała się wspaniałą salą biegnącą przez całą szerokość budynku, z oknami po obu stronach, jednym wychodzącym na frontowy podjazd, a drugim na ogród. I właśnie we wnęce okna ogrodowego znaleziono ciało. Zupełnie niedawno zostało stąd zabrane, gdy policja zakończyła oględziny.

- To irytujące - mruknąłem do Poirota. - Kto wie, jakie tropy mogli zniszczyć?

- Eee, jak często muszę ci powtarzać - uśmiechnął się mój przyjaciel - że tropy pochodzą z wnętrza. W małych, szarych komórkach mózgu spoczywa rozwiązanie każdej tajemnicy.

Obrócił się do lokaja.

- Spodziewam się, że poza usunięciem zwłok w pokoju niczego nie ruszano?

- Nie, sir. Wszystko jest tak, jak było, kiedy policja przybyła tu wczoraj wieczorem.

- A te story? Widzę, że zasłaniają akurat wykusz okienny. Takie same są koło okna po drugiej stronie. Czy były zaciągnięte wczoraj wieczorem?

- Tak, sir, zaciągam je co wieczór.

- Zatem Reedbum musiał rozsunać story sam?

- Tak przypuszczam, sir.

- Czy spodziewał się gościa wczoraj wieczorem, wiadomo coś o tym?

- Nic takiego nie mówił, sir. Ale powiedział, żeby mu nie przeszkadzać po kolacji. Widzi pan, sir, z biblioteki są drzwi na taras, przy bocznej ścianie budynku. Tamtędy mógł wpuścić, kogo chciał.

- Miał zwyczaj to robić?

- Tak mi się zdaje, sir - lokaj zakaszłał sygnalizując swoją dyskrecję.

Poirot podszedł do wspomnianych drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Wyjrzał na taras, który z jednej strony sięgał do podjazdu, a z drugiej do muru z czerwonej cegły.

- Tam jest sad, sir. Nieco dalej znajduje się furтка, zawsze zamykana o szóstej wieczorem.

Poirot kiwnął głową i powrócił do biblioteki, a za nim lokaj.

- Nie słyszał pan żadnych odgłosów wydarzeń ostatniego wieczoru?

- Słyszeliśmy głosy z biblioteki, trochę przed dziewiątą. Ale to nie było nic niezwykłego, zwłaszcza głos damy. Ale, oczywiście, ponieważ byliśmy wszyscy w pokoju służby, po przeciwnej stronie, więc właściwie niczego nie słyszeliśmy. A potem, koło jedenastej, przyjechała policja.

- Ile głosów pan słyszał?

- Nie umiem powiedzieć, sir. Usłyszałem wyraźnie tylko głos damski.

- Ach!

- Przepraszam, sir, ale doktor Ryan jest wciąż w domu, może pan chciałby się z nim zobaczyć.

Podchwyciliśmy skwapliwie propozycję i po paru minutach dołączył do nas lekarz, pogodny mężczyzna w średnim wieku, który podał Poirotowi wszystkie żądane informacje. Reedburn leżał w pobliżu okna, z głową przy marmurowej ławie. Miał dwie rany, jedną pomiędzy oczami, a drugą, tę śmiertelną, z tyłu głowy.

- Leżał na plecach?

- Tak. Tu jest ślad - wskazał małą, ciemną plamę na podłodze.

- Czy rana z tyłu głowy nie mogła być skutkiem uderzenia o podłogę?

- Niemożliwe. Jakimkolwiek narzędziem zadano cios, weszło ono w czaszkę na pewną głębokość.

Poirot patrzył w zadumie przed siebie. Pod framugą każdego okna były rzeźbione, marmurowe ławy z poręczami w kształcie lwich głów. Poirotowi błysnęły oczy.

- Przypuśćmy, że upadł do tyłu na tę sterczącą lwią głowę, a potem ześliznął się na podłogę. Czy to nie mogłoby spowodować rany, którą pan opisał?

- Mogłoby. Jednak położenie ciała wyklucza tę hipotezę. A poza tym musiałyby pozostać ślady krwi na marmurze tej ławy.

- Chyba, że zostały starte.

- To mało prawdopodobne - doktor wzruszył ramionami. - Nikt nie skorzystałby z upozorowania wypadku na morderstwo.

- Niewątpliwie - zgodził się Poirot. - Czy któreś z uderzeń mogła zadać kobieta, jak pan sądzi?

- Och, to wykluczone. Pan myśli o *mademoiselle* Saintclair?

- Nie myślę o nikim w szczególności, dopóki nie jestem pewny - powiedział cicho Poirot, przypatrując się przeszklonym drzwiom. Tymczasem lekarz kontynuował:

- Tędy uciekała *mademoiselle* Saintclair. Pomiędzy drzewami można dostrzec sylwetkę Daisymead. Jest oczywiście wiele domów położonych bliżej frontowej strony rezydencji, ale Daisymead jest jedynym budynkiem widocznym w tym kierunku.

- Dziękuję za pańską uprzejmość, doktorze - powiedział Poirot. - Chodź, Hastings, ruszamy śladami *mademoiselle*.

Poirot prowadził przez ogród, żelazną bramę, niewielki trawnik i ogrodową furtkę do Daisymead, bezpretensjonalnego domku stojącego na ćwierćhektarowej posesji. Kilka stopni wiodło pod szklane drzwi. Poirot wskazał na nie.

- Tędy weszła *mademoiselle* Saintclair. My nie śpieszymy się tak jak ona, więc lepiej chodźmy dookoła, do drzwi frontowych.

Wpuściła nas pokojówka, poprowadziła do salonu i poszła poszukać pani Oglander. W pokoju najwyraźniej niczego nie ruszano od poprzedniego wieczoru. Popiół wciąż leżał w palenisku kominka, stół do brydża dalej stał pośrodku z wyłożonymi i rozrzuconymi kartami. Pełno tu było tandetnych ozdób, a na ścianach sporo portretów rodzinnych o niedościgłej brzydocie.

Poirot patrzył na nie bardziej wyrozumiale niż ja i wyprostował ze dwa lekko przekrzywione malowidła.

- *La famille* to mocna więź, prawda? Uczucie, ono zajmuje miejsce piękna.

Przytaknąłem, a mój wzrok skupił się na grupowym wizerunku rodzinnym. Był tam dżentelmen z bokobrodami, dama z wysoko nad czołem upiętą fryzurą, krzepki, solidnej budowy chłopak i dwie

małe dziewczynki z nazbyt licznymi kokardami. Stwierdziłem, że musi to być rodzina Oglanderów z wcześniejszych lat i przyglądałem się jej z zainteresowaniem.

Drzwi się otworzyły i weszła młoda kobieta ubrana w brązowawy sportowy żakiet i tweedową spódnicę. Ciemne włosy miała starannie ułożone.

Popatrzyła na nas pytająco. Poirot zrobił krok do przodu.

- Panna Oglander? Przepraszam, że niepokoję, zwłaszcza po tym wszystkim, co państwo przeżyli. Musiał to być prawdziwy wstrząs.

- Było to raczej przygnębiające - przyznała ostrożnie młoda dama.

Pomyślałem sobie, że w przypadku panny Oglander elementy dramatyczne zostały zmarnowane, że jej niedostatek wyobraźni przerasta każdą tragedię. Utwierdziłem się w tym przekonaniu, gdy dodała: - Chciałam przeprosić za stan tego pokoju. Służba jest tak szalenie podekscytowana...

- To tutaj siedzieli państwo wczoraj wieczorem, *n'est-ce pas*?

- Tak, graliśmy w brydża po kolacji, gdy...

- Przepraszam, jak długo państwo grali?

- Jak długo... - zastanowiła się panna Oglander.

- Naprawdę nie umiem powiedzieć. Przypuszczam, że to musiało być koło dziesiątej. Zrobiliśmy parę robrów, to wiem.

- A gdzie pani, siedziała?

- Twarzą do okna. Grałam z moją mamą i wylicytowałam jeden bez atutu. Nagle, ni stąd ni zowąd, drzwi się otworzyły i weszła panna Saintclair na chwiejących się nogach.

- Poznała ją pani?

- Miałam takie uczucie, że jej twarz jest mi znana.

- Ona jest wciąż tutaj, czy nie?

- Tak, ale nie chce się z nikim widzieć. Nadal jest bardzo przybita.

- Myślę, że ze mną się spotka. Czy mogłaby pani powiedzieć jej, że jestem tu na specjalne życzenie Paula, księcia Mauranii?

Zaskoczyło mnie, że wzmianka o następcy tronu nieco zburzyła niewzruszony spokój panny Oglander. Ale wyszła z pokoju nie robiąc żadnych uwag i wróciła prawie natychmiast, by powiedzieć, że *mademoiselle* Saintclair przyjmie nas w swoim pokoju.

Poszliśmy za nią na górę, do obszernej sypialni. Na sofie pod oknem leżała dama, która zwróciła ku nam głowę, gdy stanęliśmy w progu. Kontrast między tymi dwiema kobietami uderzył mnie natychmiast, tym mocniej, że same rysy obu twarzy i karnacja wcale nie były niepodobne - ale różnica między nimi wielka! Każde spojrzenie, każdy gest Valerie Saintclair wyrażał dramat, roztaczał atmosferę romansu. Purpurowy szlafrok okrywał jej stopy - zwykła podomka - ale czar osobowości leżącej nadawał temu kawałkowi flaneli tak egzotyczny wyraz, że wydawała się wschodnią szatą o świetlistej barwie.

Wielkie ciemne oczy wpatrzyły się w Poirota.

- Przychodzi pan od Paula - głos, wibrujący i omdlewający dorównywał aparycji słynnej tancerki.

- Tak, *mademoiselle*. Jestem tu, by służyć jemu - i pani.

- Co chce pan wiedzieć?

- Wszystko, co zdarzyło się ostatniej nocy. Ale wszystko!

Uśmiechnęła się raczej smutnawo.

- Myśli pan, że będę kłamać? Nie jestem głupia. Widzę dobrze, że niczego się nie da ukryć. Ten mężczyzna, który nie żyje, znał moją tajemnicę. Groził mi w związku z tym. Dla dobra Paula próbowałam się z nim dogadać. Nie mogłam ryzykować utraty Paula... Teraz, kiedy tamten nie żyje, jestem bezpieczna. Ale przy tym wszystkim to nie ja go zabiłam.

- Nie ma konieczności, żeby pani mówiła mi to wszystko, *mademoiselle* - Poirot potrząsnął głową z uśmiechem. - Teraz proszę powiedzieć mi, co zdarzyło się wczoraj wieczorem.

- Zaproponowałam mu pieniądze. Wydawało się, że jest skłonny pertraktować ze mną. Wyznaczył godzinę dziewiątą wczoraj wieczorem. Miałam przyjść do Mon Desir. Znam to miejsce, byłam tam kiedyś. Miałam się przemknąć bocznym wejściem do biblioteki, tak żeby służba mnie nie widziała.

- Wybaczy pani, ale nie bała się pani iść tam samotnie, nocą?

Zdawało mi się, czy rzeczywiście milczała przez chwilę przed odpowiedzią?

- Pewnie się bałam. Ale widzi pan, nie miałam kogo poprosić, żeby poszedł ze mną. I byłam zdesperowana. Reedbum wpuścił mnie do biblioteki. Och, co za człowiek! Jestem zadowolona, że nie żyje! Bawił się ze mną w kota i myszkę. Szydlił ze mnie. Prosiłam, błagałam go na kolanach. Proponowałam mu całą moją biżuterię. Wszystko na próżno! A potem on postawił swoje warunki. Pewnie się pan domyśla, jakie. Odmówiłam. Powiedziałam, co o nim myślę. Wrzeszczałam na niego. Spokojnie się uśmiechał. A potem, kiedy w końcu zamilkłam, rozległ się jakiś dźwięk - od okna, zza zasłony... On też to usłyszał. Podszedł i gwałtownym ruchem szeroko rozsunął story. Był tam ukryty człowiek, jakiś włóczęga o przerażającym wyglądzie. Uderzył pana Reedbuma raz i drugi. Ten padł. Włóczęga schwycił mnie zakrwawioną ręką. Wyrwałam się, wyskoczyłam przez okno i uszłam z życiem. Potem zobaczyłam światła tego domu i przybiegłam tutaj. Żaluzje były podniesione, zobaczyłam ludzi grających w brydża. Prawie wpadłam do pokoju. Udało mi się tylko wyjąkać "morderstwo!" i zaraz wszystko zrobiło się czarne...

- Dziękuję *mademoiselle*. To musiał być wielki szok dla pani systemu nerwowego. A co do włóczęgi, mogłaby pani go opisać? Pamięta pani, w co był ubrany?

- Nie, to było tak szybko. Ale powinnam poznać go wszędzie. Jego twarz wyryła się w mojej pamięci.

- Jeszcze jedno pytanie, *mademoiselle*. Zasłony drugiego okna, tego od strony podjazdu, były zaciągnięte?

Po raz pierwszy wyraz zagubienia odmalował się na twarzy tancerki, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć.

- Eh bien[24], *mademoiselle*?

- Myślę... jestem prawie pewna... tak, całkiem pewna! Nie, nie były.

- To ciekawe, ponieważ po drugiej stronie były zaciągnięte. Nieważne. To nie ma, śmiem powiedzieć, wielkiego znaczenia. Zostaje pani tu dłużej, *mademoiselle* ?

- Lekarz sądzi, że jutro będę zdolna powrócić do miasta.

Obiegła pokój wzrokiem. Panna Oglander już wyszła.

- Ci ludzie są bardzo poczciwi, ale to nie jest mój świat. Ja ich szokuję! A co do mnie, cóż, nie jestem entuzjastką *bourgeoisie*!

Lekka nutka goryczy zabrzmiała w jej słowach.

- Rozumiem - Poirot kiwnął głową. - Mam nadzieję. Że nie zmęczyłam pani zanadto pytaniami.

- Ależ nie, *monsieur*. Chciałabym tylko, żeby Paul dowiedział się o wszystkim jak najszybciej.

- Wobec tego życzę pani dobrego dnia, *mademoiselle*.

Wychodząc z pokoju Poirot zatrzymał się raptownie przy parze lakierków.

- To pani?

- Moje, *monsieur*. Właśnie mi je przyniesiono po oczyszczeniu.

- Hm! - odezwał się Poirot na schodach. - Widocznie służba nie była zbyt podekscytowana, by czyścić buciki, choć o palenisku zapomniała. Cóż, *mon ami*, początkowo wydawało się, że będą tu może ze dwa punkty interesujące, ale obawiam się, bardzo się obawiam, że musimy widzieć tę sprawę jako zakończoną. Wszystko wydaje się dostatecznie jasne.

- A morderca?

- Hercule Poirot nie zajmuje się polowaniem na włóczągów - oświadczył pompatycznie mój przyjaciel.

Panna Oglander podeszła do nas w holu.

- Jeśli panowie zaczekają minutę w salonie, mama chciałaby porozmawiać.

W pokoju wciąż niczego nie ruszono. Poirot machinalnie zebrał karty ze stołu i przetasował je swoimi małymi, starannie wypielęgnowanymi dłońmi.

- Wiesz, co myślę, mój przyjacielu?

- Nie - odpowiedziałem zaciekawiony.

- Myślę, że panna Oglander zrobiła błąd licytując jeden bez atu. Powinna grać trzy piki.

- Poirot! Posuwasz się za daleko.

- *Mon Dieu*, nie można wciąż tylko grzmieć i ścigać!

Nagle zeszywniał:

- Hastings, Hastings, patrz! W talii brakuje króla trefl!

- Zara! - krzyknąłem.

- Co? - zdawał się nie rozumieć mojej aluzji. Chyba bezwiednie zebrał karty i powkładał talie do pudełek. Twarz miał bardzo poważną.

- Hastings - powiedział w końcu - ja, Hercule Poirot, byłem bardzo bliski popełnienia wielkiego błędu, bardzo wielkiego błędu.

Patrzyłem na niego, byłem przejęty, ale niczego nie zrozumiałem.

- Musimy zacząć jeszcze raz, Hastings. Tak, Hastings, musimy zacząć ponownie. Ale tym razem się nie omylimy.

Przerwało mu wejście postawnej kobiety w średnim wieku. Niosła w ręce jakieś domowe księgi. Poirot uklonił się.

- Czy nie myślę się, że jest pan przyjacielem... ee... panny Saintclair?

- Przybywam od jej przyjaciela, *madame*.

- A, rozumiem. Myślałam, że może...

Poirot nagle machnął ręką w stronę okna.

- Żaluzje nie były zamknięte wczoraj wieczorem?

- Nie i przypuszczam, że dlatego panna Saintclair widziała światło tak wyraźnie.

- Wczoraj była księżycowa noc. Dziwię się, że nie widziała pani *mademoiselle* Saintclair siedząc na miejscu twarzą do okna?

- Przypuszczam, że byliśmy pochłonięci grą. Nic takiego nie zdarzyło nam się nigdy wcześniej.

- Jestem skłonny w to uwierzyć, *madame*. Uciszę zamęt w pani głowie. *Mademoiselle* Saintclair wyjeżdża jutro.

- Och! - twarz poczciwej damy rozjaśniła się.

- Życzę miłego dnia, *madame*.

Służąca sprzątała schody, gdy wychodziliśmy frontowymi drzwiami. Poirot zwrócił się do niej.

- Czy to pani czyściła buciki młodej damy z piętra?

- Nie, sir - pokojówka pokręciła głową. - Chyba nie były w ogóle czyszczone.

- No więc, kto czyścił te buty? - spytał Poirot, gdy szliśmy drogą.

- Nikt. One nie wymagały czyszczenia.

- Zakładam, że idąc drogą lub ścieżką w pogodną noc nie musi się butów ubłocić. Natomiast po przejściu przez wysoką trawę w ogrodzie obuwie na pewno będzie powalane i splamione.

- Tak - powiedział Poirot ze szczególnym uśmiechem. - W tym wypadku, zgadzam się, lakiierki powinny być pobrudzone.

- Ale...

- Jeszcze tylko pół godziny cierpliwości, mój przyjacielu. Wracamy do *Mon Desir*.

Lokaj wyglądał na zaskoczonego naszą ponowną wizytą, ale nie bronił nam dostępu do biblioteki.

- Hej, Poirot, to nie to okno - zawołałem, gdy on ruszył do wykusza od strony podjazdu.

- Myślę, że właśnie to, przyjacielu. Spójrz tutaj - wskazał na marmurową głowę lwa. Była na niej słabo widoczna, odbarwiona plama. Poirot wskazał podobną na wyblyszczonej podłodze.

- Ktoś uderzył Reedburna zwiniętą pięścią pomiędzy oczy. Zaatakowany upadł do tyłu na ten sterczący marmurowy element, po czym zsunął się na podłogę. Następnie przeciągnięto go po podłodze pod drugie okno i tam ułożono, ale pod innym kątem, o czym mówił lekarz badający zwłoki.

- Ale dlaczego? To wydaje się zupełnie niepotrzebne.

- Przeciwnie, to miało zasadnicze znaczenie. Jest to również klucz do identyfikacji mordercy, chociaż wcale nie zamierzał Reedburna zabić, więc nie w pełni uzasadnione jest nazywanie go mordercą. To musi być bardzo silny mężczyzna!

- Dlatego, że przeciągnął zwłoki po podłodze?

- Nie w tym rzecz. To bardzo interesujący przypadek. Chociaż o mało co nie zrobiłem z siebie imbecyla.

- Chcesz powiedzieć, że to już jest skończone, że wiesz wszystko?

- Tak.

Przypomniało mi się coś.

- Nie - zawołałem. - Jest jedna rzecz, której nie wiesz!

- Co takiego?

- Nie wiesz, gdzie jest brakujący król trefl!

- Ee? A to zabawne! To naprawdę zabawne, mój przyjacielu.

- Dlaczego?

- Bo król jest u mnie w kieszeni! - wyciągnął kartę zamaszystym gestem.

- Och! - westchnąłem nieco zgaszony. - Gdzie go znalazłeś? Tutaj?

- Nie ma w tym nic sensacyjnego. Po prostu nie wyjęli go z innymi kartami. Był w pudełku.

- Ale to on podsunął ci myśl, prawda?

- Tak mój przyjacielu. Składam wyrazy szacunku Jego Majestatowi.

- I *madame* Zarze!

- A tak - tej damie również.

- Dobrze, co robimy teraz?

- Wracamy do miasta. Ale najpierw muszę zamienić parę słów z pewną damą w Daisymead.

Drzwi otworzyła nam ta sama mała pokojówka.

- Wszyscy są teraz na lunchu, sir, chyba że chce się pan widzieć z panną Saintclair. Ona właśnie odpoczywa.

- Czy mógłbym porozmawiać parę minut z panią Oglander. Proszę mnie zaanonsować.

Wprowadzono nas do salonu, gdzie mieliśmy poczekać. Przez moment widziałem rodzinę zgromadzoną przy posiłku - powiększoną teraz o dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn - jednego wąsatego, a drugiego również brodatego.

Po paru minutach pani Oglander weszła do salonu patrząc pytająco na Poirota, który się uklonił.

- *Madame*, my, w naszym kraju, mamy wielką czułość, wielki szacunek dla matki. *Mere de familie* jest wszystkim!

Pani Oglander słuchała tego wstępu raczej zdziwiona.

- Z tego właśnie powodu przychodzę - aby uśmierzyć matczyne obawy. Morderca pana Reedburna nie zostanie wykryty. Proszę się nie bać. Ja, Hercule Poirot, mówię to pani. Mam rację, czy nie mam? Czy też żona jest osobą, którą muszę uspokoić?

Zapadła chwila ciszy. Pani Oglander zdawała się badać Poirota wzrokiem. W końcu powiedziała cicho:

- Nie wiem, skąd pan wie, ale tak, ma pan rację.

- To wszystko - Poirot pokiwał poważnie głową.

- Ale proszę się nie niepokoić. Wasi angielscy policjanci nie mają oczu Herkulesa Poirota. - Paznokciem dotknął wiszącego na ścianie portretu rodzinnego.

- Kiedyś miała pani drugą córkę. Ona nie żyje, *madame*?

Znowu nastąpiła cisza i teraz pani Oglander badała go wzrokiem. Potem odpowiedziała:

- Tak, nie żyje.

- Ach! - powiedział żywo Poirot. - No, musimy wracać do miasta. Pozwoli pani, że dołączę do talii króla trefl? To było wasze jedyne spotkanie. Rozumie pani - grać w brydża około godziny talią liczącą pięćdziesiąt jeden kart? Nikt, kto zna tę grę, nie wierzyłby w coś takiego nawet przez minutę!
Bonjour!

- A teraz, mój przyjacielu - powiedział Poirot, gdy szliśmy na stację - wiesz już wszystko!

- Nic nie wiem! Kto zabił Reedburna?

- John Oglander, junior. Nie byłem całkiem pewien, czy to ojciec, czy syn, ale typowałem syna jako młodszego i silniejszego. Musiał to być jeden z nich z powodu okna.

- Dlaczego?

- Są cztery wyjścia z biblioteki - drzwi jedno, drugie i dwa okna, ale tylko jedno można tu brać pod uwagę. Trzy wejścia prowadzą z podjazdu - bezpośrednio bądź pośrednio. Tragedia musiała się zdarzyć przy tylnym oknie, tak żeby wydawało się naturalne przypadkowe trafienie Valerie Saintclair do Daisymead. W rzeczywistości ona zasłabła i John Oglander zaniósł ją tam na plecach. Dlatego powiedziałem, że to musiał być silny mężczyzna.

- Więc oni byli tam razem?

- Tak. Pamiętasz wahanie Valerie, gdy spytałem, czy nie bała się pójść sama? John Oglander poszedł z nią, co nie ucieszyło, jak przypuszczam, Reedburna. Klócił się i pewnie jakaś zniewaga wobec Valerie spowodowała że Oglander uderzył. Resztę znasz.

- A dlaczego brydż?

- Do brydża potrzeba czwórki graczy. Taka prosta rzecz pociąga za sobą wiele rzekomych oczywistości. Kto by się domyślił, że tego wieczoru w salonie będą tylko trzy osoby?

Wciąż byłem dezorientowany.

- Jest jedna rzecz, której nie rozumiem. Co Oglanderowie mają wspólnego z Valerie Saintclair?

- Dziwię się, że tego nie widzisz. Przecież długo patrzyłeś na ten obrazek na ścianie, dłużej niż ja. Druga córka pani Oglander może być zmarłą dla rodziny, ale świat zna ją jako Valerie Saintclair!

- Co?

- Nie zauważyłeś podobieństwa, gdy siostry stanęły koło siebie?

- Nie, odwrotnie - przyznałem się. - Pomyślałem, jakże one są niepodobne do siebie.

- To dlatego, że twój umysł jest tak otwarty na płynące z zewnątrz romantyczne impresje, drogi Hastings. Obie mają rysy niemal identyczne. To samo dotyczy karnacji. Ciekawe, że Valerie wstydzi się swojej rodziny, a rodzina wstydzi się jej. Niemniej w chwili zagrożenia zwróciła się o pomoc do brata, a kiedy sprawy przybrały niebezpieczny obrót, wszyscy trzymali się twardo razem. Więzy rodzinne to wspaniała rzecz. A w tej rodzinie wszyscy umieją grać. To stąd Valerie wzięła swój teatralny talent. Wierzę, podobnie jak księżę Paul, w dziedziczność! Oni nawet mnie oszukali! Ale dzięki szczęśliwemu trafowi oraz pytaniom sprawdzającym - matka i córka podawały sprzeczny układ miejsc przy stoliku brydżowym - rodzina Oglanderów z Herkulesem Poirotem jednak przegrała.

- Co powiesz księżciu?

- Że Valerie nie mogła popełnić zbrodni i że wątpię, by włóczęga kiedykolwiek został ujęty. A także, żeby przekazał moje wyrazy uznania Żarze. A to ciekawy zbieg okoliczności! Myślę, że powinienem nazwać tę całą sprawę "Przygodą króla trefl". Co o tym myślisz, mój przyjacielu?

Dziedzictwo Lemesurierów

Razem z Poirotem rozwiązywałem wiele dziwnych spraw, ale sędzę, że żadna nie może równać się z serią niezwykle wydarzeń, które przez wiele lat przyciągały naszą uwagę, by ostatecznie zakończyć się zaproszeniem mojego przyjaciela do rozwikłania związanej z nimi zagadki. O historii rodziny Lemesurierów po raz pierwszy usłyszeliśmy pewnego wieczoru w czasie wojny. Niedługo przedtem Poirot i ja ponownie się spotkaliśmy, odnawiając znajomość z czasów belgijskich. Detektyw ku całkowitej satysfakcji Ministerstwa Wojny rozwiązał dla nich jakąś małą sprawę i właśnie siedzieliśmy w "Carltonie" w towarzystwie oficera, który w przerwach między daniami nieudolnie komplementował mojego przyjaciela. Na szczęście musiał wcześniej wyjść, bo był z kimś umówiony, a my mogliśmy bez pośpiechu skończyć kawę.

Już opuszczaliśmy lokal, kiedy usłyszałem, że woła mnie ktoś, czyj głos wydawał mi się znajomy. Odwróciłem się i ujrzałem kapitana Vincenta Lemesuriera, młodzieńca, którego poznałem we Francji. Towarzyszył mu starszy mężczyzna o rysach zdradzających podobieństwo rodzinne. Rzeczywiście, domysł okazał się słuszny. Mężczyzna został nam przedstawiony jako Hugo Lemesurier, wuj mojego znajomego.

Choć nie znałem się blisko z kapitanem Lemesurierem, wiedziałem, że ten sympatyczny, nieco marzycielski młody człowiek pochodzi ze starej, dobrej rodziny z hrabstwa Northumberland, gdzie mieli dobra należące do nich jeszcze przed reformacją. Nie śpieszyliśmy się nigdzie, więc na zaproszenie młodzieńca dosiedliśmy się do jego stolika i czas upływał nam miło na pogawędce o różnych sprawach. Starszy Lemesurier miał około czterdziestu lat, a pochylona sylwetka mogła przywołać myśl, że jest człowiekiem nauki. I rzeczywiście, na zlecenie rządu prowadził jakieś badania chemiczne.

Naszą rozmowę przerwał wysoki, ciemnowłosy młody mężczyzna, najwyraźniej mocno wzburzony.

- Dzięki Bogu znalazłem was obu! - zawołał, podchodząc do stolika.

- Co się stało, Roger?

- Chodzi o twojego staruszka, Vincent. Miał niebezpieczny wypadek. Spadł z konia.

Reszty nie dosłyszałem, gdyż młodzieniec odciągnął mojego znajomego na bok.

Kilka minut później Vincent z wujem pośpiesznie nas opuścili. Ojciec Vincenta Lemesuriera spadł przy dosiadananiu młodego konia, i obawiano się, że nie dożyje ranka. Usłyszawszy to, Vincent zrobił się bładny jak ściana. Wydawało się, że niespodziewana wiadomość zabiła go z nóg. Na podstawie tego, co wyrwało mu się, kiedy byliśmy we Francji, sądziłem, że jego stosunki z ojcem nie są szczególnie ciepłe, więc zdumiała mnie taka manifestacja synowskich uczuć.

Młody ciemnowłosy mężczyzna, przedstawiony nam jako kuzyn, Roger Lemesurier, został jeszcze chwilę i teraz wyszedł razem z nami.

- To dosyć dziwne wydarzenie - zauważył. - Może zainteresowałoby pana Poirota. Wie pan, Poirot, słyszałem o panu... od Higginsona - (Higginson to było nazwisko naszego znajomego oficera) - mówił, że jest pan orłem w psychologii.

- Owszem, studiuje psychologię - przyznał ostrożnie mój przyjaciel.

- Zwrócił pan uwagę na twarz mojego kuzyna? Był zdruzgotany, nieprawdaż? Wie pan, dlaczego?

Chodzi o dawną, przebrzmiałą historię kłótni rodzinnej. Opowiedzieć panu o tym?

- Byłoby to bardzo miło z pana strony.

Roger Lemesurier spojrział na zegarek.

- Mam mnóstwo czasu. Jestem z oboma umówiony na Kings's Cross. A więc, panie Poirot, Lemesurierowie to stara rodzina. Dawno temu, w średniowieczu jeden z Lemesurierów nabrał podejrzeń co do swojej żony. Pewnego razu zastał ją w kompromitującej sytuacji. Przysięgała, że jest niewinna, ale stary baron Hugon jej nie słuchał. Mieli jedyne dziecko, i baron przysięgł, że nie odziedziczy on majątku, ponieważ nie jest jego dzieckiem. Nie pamiętam, co dokładnie zrobił, ale był to jakiś miły średniowieczny pomysł, jak zamurowanie żywcem żony i syna. W każdym razie zabił ich oboje. Żona obstawała przy swojej niewinności, a umierając, rzuciła kłótnię na Lemesurierów: oto żaden pierwotny Lemesurier nie odziedziczy majątku. Po jakimś czasie jej niewinność została udowodniona ponad wszelką wątpliwość. Wydaje mi się, że Hugon przywdział włosienicę i zakończył swoje dni na kolanach w mniszej celi. Ale od tego dnia do dziś żaden pierwotny syn nie odziedziczył majątku. Dobra przechodziła na braci, siostrzeńców i bratanków, młodszych synów - ale nigdy na najstarszego. Ojciec Vincenta był drugim z pięciu braci, z których najstarszy umarł w dzieciństwie. Oczywiście, przez całą wojnę Vincent był przekonany, że jeśli ktoś ma umrzeć, to na pewno on, tymczasem dwaj młodszy bracia zostali zabici, a on wyszedł bez szwanku.

- Ciekawa historia - powiedział w zamyśleniu Poirot.

- Ale teraz jego ojciec umiera, a on, najstarszy syn, dziedziczy?

- Otóż to. Kłótnia straciła moc. Nie była w stanie udźwignąć ciężaru współczesnego życia.

Poirot potrząsnął głową, jakby ganiać żartobliwy ton młodego mężczyzny. Roger znowu spojrział na zegarek okazało się, że musi już iść.

Ciąg dalszy historii poznaliśmy następnego dnia, kiedy dowiedzieliśmy się o tragicznej śmierci kapitana Lemesuriera. Jechał pociągiem do domu i w nocy musiał otworzyć drzwi przedziału i wyskoczyć na tory. Zapewne szok wywołany wypadkiem ojca nałożył się na nerwicę wojenną i spowodował chwilowe zaburzenie umysłowe. W związku z nowym dziedzicem, Ronaldem Lemesurierem, którego jedyny syn zginął w bitwie pod Sommą, przypomniano dziwny przesąd dotyczący rodu Lemesurierów.

Podejrzewam, że przypadkowe spotkanie z młodym Vincentem w ostatni wieczór jego życia wzmogło nasze zainteresowanie wszystkim, co wiązało się z Lemesurierami, ponieważ dwa lata później przyciągnęła naszą uwagę śmierć Ronalda, który w chwili odziedziczenia majątku był inwalidą. Po nim dziedziczył dobra brat, John, krzepki mężczyzna, mający syna w szkole w Eton. Niewątpliwie zły los ścigał Lemesurierów. W czasie następnych wakacji chłopiec zastrzelił się przypadkowo na polowaniu. Po śmierci jego ojca, zmarłego w wyniku użądlenia przez osę, posiadłość przeszła na najmłodszego z pięciu braci, Hugona, którego pamiętaliśmy ze spotkania w ów fatalny wieczór w "Carltonie".

Pomimo wymiany uwag na temat wyjątkowego ciągu nieszczęśliwych zdarzeń w rodzinie Lemesurierów, nie interesowaliśmy się specjalnie tą sprawą, ale zbliżał się czas, kiedy mieliśmy bardziej aktywnie uczestniczyć w wypadkach z nią związanych.

Pewnego dnia rano zaanonsowano panią Lemesurier Była to wysoka, około trzydziestoletnia kobieta, z zachowania której były silna wola i zdrowy rozsądek Mówiła z lekkim amerykańskim akcentem.

- Pan Poirot? Miło mi pana widzieć. Mój mąż, Hugo Lemesurier, spotkał pana wiele lat temu, ale pan z pewnością tego nie pamięta

- Doskonale to sobie przypominam. Spotkaliśmy się w "Carltonie".

- Niewiarygodne, że pan to pamięta! Panie Poirot, mam zmartwienie.

- A o co chodzi, *madame*?

- O mojego starszego syna... Wie pan, mam dwóch synów. Ronald ma osiem lat, a Gerald sześć...

- Niech pani nie przerywa. Dlaczego martwi się pani małym Ronaldem?

- Panie Poirot, w ciągu ostatnich sześciu miesięcy trzy razy cudem uniknął śmierci: raz o mało nie utonął - to było tego roku latem, kiedy byliśmy w Kornwalii: raz wypadł z okna pokoju dzieciennego; raz zatrzał się ptomainami.

Być może twarz Poirota zbyt wyraźnie zdradzała jego myśli, ponieważ pani Lemesurier natychmiast dorzuciła:

- Oczywiście, myśli pan, że jestem tylko głupią kobietą, robiącą z igły widły.

- Ależ nie, *madame*. Każda matka poczułaby się zaniepokojona takimi zdarzeniami, ale nie wiem, w czym mógłbym pomóc. Nie jestem *Le Bon Dieu* i nie mam władzy nad falami morza. W oknie, radziłbym założyć kraty. Jeśli zaś chodzi o jedzenie, to cóż może się równać z troskliwością matki?

- Lecz dlaczego to wszystko zdarzało się Ronaldowi, a nie Geraldowi?

- Przypadek, droga pani, *le hasard*!

- Tak pan myśli?

- A co myśli pani i pani mąż, *madame*?

Przez twarz pani Lemesurier przebiegł cień.

- Nie ma co iść z tym do Hugona, nie chce słuchać. Może obiała się panu o uszy wieść o rodzinnej klątwie - najstarszy syn nie może zostać dziedzicem. Hugo w to wierzy. Historia rodziny jest droga jego sercu i poza tym jest bardzo przesądny. Kiedy dzielę się z nim obawami, mówi, że przed klątwą nie da się uciec. Ale ja pochodzę ze Stanów, panie Poirot, a my nie wierzymy w żadne klątwy. Nie mamy nic przeciwko klątwom w starych rodach, wie pan, to dodaje autentyzmu. Kiedy spotkałam Hugona, byłam aktorką w teatrze muzycznym strasznie podobała mi się ta historia z klątwą. To coś, o czym miło się słucha w zimowe wieczory, wygrzewając się przy kominku. Ale jeśli zaczyna to dotyczyć własnych dzieci... Uwielbiam moje dzieci, panie Poirot, zrobiłabym dla nich wszystko.

- I dlatego postanowiła pani nie wierzyć w rodzinną legendę?

- Czy legenda może przeciąć łodygę bluszczu?

- O czym pani mówi? - zawołał Poirot ze zdumieniem.

- Pytałam, czy legenda - albo duch, jeśli pan woli - potrafi przeciąć łodygę bluszczu. Nie mówię o Kornwalii. Każdy chłopiec mógłby wypłynąć za daleko i mieć kłopoty z powrotem, choć Ronald umiał pływać już wieku czterech lat. Ale bluszcz to co innego. Obaj chłopcy rozrabiają. Odkąd odkryli, że mogą wchodzić wychodzić z pokoju po bluszczu, robią to nieustannie. Któregoś dnia (Geralda wtedy nie było) Ronald zrobił to o jeden raz za dużo, bluszcz się obsunął i chłopiec spadł. Na szczęście nic poważnego mu się nie stało. Poszłam obejrzeć ten bluszcz. Łodyga była przecięta u podstawy, panie Poirot, celowo przecięta.

- To poważna sprawa, *madame*. Mówi pani, że w tym czasie młodszego syna nie było w domu?

- Tak.

- A czy w czasie zatrucia ptomainami jeszcze nic zdążył wrócić?

- Nie, wtedy byli już obaj w domu.
- Dziwne - mruknął Poirot. - A kto, *madame*, mieszka razem z państwem?
- Panna Saunders, guwernantka dzieci, i John Gardiner, sekretarz mojego męża...

Pani Lemesurier urwała, jakby lekko skrępowana.

- Kto jeszcze, proszę pani?
- Major Roger Lemesurier, którego pan kiedyś spotkał. Często wpada do nas w odwiedziny.
- Ach tak. To kuzyn, nieprawdaż?

- Daleki. Nie pochodzi z naszej gałęzi rodziny. Ale i tak, jak mi się wydaje, teraz jest najbliższym krewnym męża. To wspaniały człowiek, bardzo go lubimy. Chłopcy za nim przepadają.

- To nie on nauczył ich wspinać się po bluszczu?

- Możliwe, że on. Często inicjuje ich wybryki.

- Przepraszam za to, co powiedziałem wcześniej. *madame*. Niebezpieczeństwo jest prawdziwe, i wierzę, że mogę okazać się pomocny. Proponuję, żeby zaprosiła nas pani na kilka dni. Czy pani mąż nie będzie miał nic przeciwko temu?

- Ach nie. Tyle że nie będzie wierzył, że to coś da. Doprowadza mnie do szału, nic nie robiąc i tylko czekając, aż chłopiec umrze.

- Niech się pani uspokoi. Musimy wszystko dokładnie zaplanować.

Nazajutrz jechaliśmy już na północ. Poirot był porażony w zadumie. Nagle ocknął się i zapytał:

- To z takiego pociągu wypadł Vincent Lemesurier?

Delikatnie zaakcentował słowo "wypadł".

- Nie podejrzewasz chyba nieczystej gry, co?

- Czy nie uderzyło cię, Hastings, że niektóre zgony rodzinie Lemesurierów można by... jakby to ująć... włączyć do kategorii dających się zaaranżować? Weźmy przykładowo Vincenta. A potem ten chłopiec z Eton - wypadek z bronią zawsze jest dwuznaczny. Przypuśćmy, że dziecko wypadło z okna i zabiło się. Cóż bardziej naturalnego? Gdzież tu miejsce na podejrzenia? Ale dlaczego tylko jedno z dzieci? Kto odniesie korzyść ze śmierci starszego dziecka? Jego młodszy brat, sześciolatek? Czy to nie absurdalne?

- Może chcą drugiego pozbyć się później? - zasugerowałem, choć nie miałem zielonego pojęcia, kto to są ci "oni".

Poirot z niezadowoleniem pokręcił głową.

- Zatrucie ptomainami - mruknął. - Atropina daje podobne symptomy. Tak, nasz przyjazd jest konieczny.

Pani Lemesurier powitała nas entuzjastycznie, a potem zaprowadziła do gabinetu męża i wyszła. Odkąd widziałem go ostatni raz, Hugo Lemesurier mocno się zmienił. Jego ramiona jeszcze bardziej się pochyliły, i cera przybrała dziwny zielonkawy kolor. Słuchał uważnie, kiedy Poirot wyjaśniał przyczyny naszego przyjazdu.

- To cała Sadie: zdrowy rozsądek i praktycyzm - zauważył w końcu. - Ale naturalnie, niech pan zostanie, panie Poirot. Dziękuję za przyjazd, ale co jest komu zapisane, to go nie ominie. Kamienista jest droga grzesznika. My, Lemesurierowie, wiemy, że nikt z nas nie umknie przed klątwą.

Poirot wspomniał przecięty bluszcz, ale na Hugonie nie zrobiło to wrażenia: - Pewnie zawinił jakiś nieuważny ogrodnik. Tak, można znaleźć instrument, ale cel jest jasny. I powiem panu, panie Poirot, że stanie się to już wkrótce.

Detektyw spojrział uważnie na pana domu.

- Dlaczego tak pan mówi?

- Ponieważ mój los jest przesądzony. Rok temu byłem u lekarza. Cierpię na nieuleczalną chorobę, nie da się dłużej odwlekać końca; ale zanim umrę, śmierć zabierze Ronalda. Wszystko odziedziczy Gerald.

- A jeśli coś stanie się drugiemu synowi?

- Nic się mu nie stanie; nie jest zagrożony.

- Ale założmy na chwilę, że to możliwe - upierał się Poirot.

- Następnym dziedzicem jest mój kuzyn Roger.

W tym momencie naszą rozmowę przerwało wejście wysokiego mężczyzny z kręconymi kasztanowatymi włosami. Pod pachą niósł plik papierów.

- Odłóżmy to na później, Gardiner - powiedział Hugo Lemesurier, i po chwili dodał: - to mój sekretarz, pan Gardiner.

Sekretarz uklonił się, wymienił z nami kilka miłych słów i wyszedł. Pomimo urody było w nim coś odpychającego. Podzieliłem się tym wrażeniem z Poirotem. Kiedy udaliśmy się na spacer po ogrodzie, a on, ku mojemu zdziwieniu - przyznał mi rację

- Zgadzasz się z tobą. Nie podoba mi się ten człowiek. Zbyt gładki. On się w życiu nie napracuje. O, są dzieci.

Zbliżała się do nas pani Lemesurier razem z chłopcami. Obaj byli bardzo ładni, młodszy miał ciemne włosy po matce, starszy - rudawe loki. Przywitali się z nami i wkrótce nie odrywali wzroku od Poirota. Zostaliśmy również przedstawieni towarzyszącej im pannie Saunders, trochę nijakiej z wyglądu.

Kilka dni upłynęło nam w miłej atmosferze, ale - pomimo naszej czujności - bez rezultatów. Chłopcy wiedli normalne, szczęśliwe życie i wydawało się, że wszystko jest w porządku. Czwartego dnia po naszym przyjeździe pojawił się z wizytą Roger Lemesurier. Niewiele się zmienił, był beztroski i jowialny jak za dawnych czasów, nadal wszystko traktował lekko. Chłopcy najwyraźniej za nim przepadali; powitali go okrzykami radości i natychmiast wciągnęli do zabawy w Indian. Zauważyłem, że Poirot chętnie udał się za nimi.

Następnego dnia zostaliśmy wszyscy, łącznie z dziećmi zaproszeni po sąsiedzku na herbatę do lady Claygate. Pani Lemesurier zaproponowała, żebyśmy też poszli, ale najwyraźniej poczuła ulgę, kiedy Poirot odmówił, twierdząc, że wolałby pozostać w domu.

Kiedy rodzina wyszła, Poirot zabrał się do pracy. Przypominał inteligentnego teriera. Chyba nie było kąta, w który by nie zajrzał, ale wszystko robił tak cicho metodycznie, że nie zwrócił na siebie niczyjej uwagi. A jednak rezultat nie okazał się satysfakcjonujący. Herbatę piliśmy na tarasie w towarzystwie panny Saunders, która też została w domu.

- Chłopcy są pewnie zadowoleni - mruknęła. - Mam nadzieję, że będą się grzecznie zachowywać i nie podeprą grządek ani nie pójdą do pszczół...

Poirot zamarł nad filiżanką. Wyglądał, jakby ujrzał ducha.

- Tam są pszczoły? - zawołał grzmiącym głosem.

- Tak, panie Poirot, trzy ule. Lady Claygate jest bardzo dumna ze swoich pszczół...

- Z pszczół? - zawołał jeszcze raz Poirot. Zerwał się na równe nogi i zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem po tarasie, obejmując głowę dłońmi. Nie rozumiałem, dlaczego tak go wzburzyła wzmianka o pszczołach.

W tym momencie usłyszeliśmy warkot samochodu. Poirot przywitał wszystkich w progu.

- Ronalda użądliła pszczoła! - zawołał Gerald z przejęciem.

- Nic się nie stało - powiedziała pani Lemesurier.

- Nawet nie spuchł. Zaraz przyłożę amoniak.

- Gdzie cię użądliła? - Pokaż mi, chłopcze - poprosił Poirot.

- Tu z boku, na szyi - pokazał z dumą Ronald.

- Wcale nie bolało. Tato powiedział: "Nie ruszaj się. siedzi na tobie pszczoła". I ja się nie

ruszałem, i on ją zdjął, ale ona najpierw mnie ucięła, choć tak naprawdę to nie bolało, najwyżej tak jak ukłucie szpilką, i ja nie płakałem, bo jestem już duży. W przyszłym roku idę do szkoły.

Poirot obejrzał szyję chłopca, po czym wziął mnie pod ramię i mruknął:

- Dziś wieczór, *mon ami*, coś się wydarzy. Ale nic nikomu nie mów.

Nie chciał powiedzieć ani słowa więcej i cały wieczór pożerała mnie ciekawość. Poirot wcześniej udał się na spoczynek; ja wziąłem z niego przykład. Gdy wchodziliśmy na piętro, Poirot złapał mnie za ramię i nakazał:

- Nie rozbieraj się. Odczekaj odpowiednią chwilę, zgaś światło i przyjdź do mnie.

Zrobiłem, jak mi kazał. Gdy przyszedłem, czekał już na mnie. Gestem nakazał mi milczenie i na palcach poszliśmy do skrzydła, w którym mieszkały dzieci. Ronald miał swój własny pokój. Weszliśmy i zaszyliśmy się w najciemniejszym kącie. Dobiegał nas ciężki, ale niezakłócony oddech dziecka.

- Jesteś pewien, że śpi bardzo głęboko? - upewniłem się.

Poirot kiwnął głową.

- Dostał środek nasenny - mruknął.

- Po co?

- Żeby nie krzyknął, kiedy...

- Kiedy co? - spytałem.

- Kiedy poczuje ukłucie igłą, *mon ami*. Ale cicho sza! Jeszcze dłuższy czas nic się nie zdarzy.

Ale tu Poirot się mylił. Nie upłynęło dziesięć minut, kiedy drzwi cichutko się otworzyły i ktoś wszedł do pokoju. Usłyszałem szybki, nerwowy oddech. Kroki zbliżyły się do łóżka. Na śpiące dziecko padło światło małej latarki, ale tego, który ją trzymał, okrywał cień. Tajemnicza postać odłożyła latarkę. Wyciągnęła prawą rękę ze strzykawką, lewą dotknęła szyi chłopca...

Poirot i ja jednocześnie rzuciliśmy się do przodu. Latarka spadła na podłogę; w ciemności walczyliśmy z napastnikiem. Był zadziwiająco silny. W końcu udało się nam go obezwładnić.

- Światło, Hastings, muszę zobaczyć jego twarz. Choć boję się, że aż za dobrze wiem, kto to jest.

Ja też, pomyślałem, macając dłonią w poszukiwaniu latarki. Przez chwilę podejrzewałem sekretarza, bo go nie lubiłem, ale teraz byłem pewien, że tropioną przez nas bestią był człowiek, który zyskiwał na śmierci dwóch nieletnich kuzynów.

Stopą natrafiłem na latarkę. Podniosłem ją i włączyłem. Promień latarki skierowałem na twarz... Hugona Lemesuriera, ojca chłopca!

Latarka omal nie wypadła mi z dłoni.

- Niemożliwe - jęknąłem ochryple. - Niemożliwe!

Lemesurier stracił przytomność. Zanieśliśmy go z Poirotem do jego sypialni i położyliśmy na łóżku Poirot pochylił się i delikatnie wyjął coś z jego dłoni. To była strzykawka. Wzdrygnąłem się.

- Co w niej jest? Trucizna?

- Kwas mrówkowy, jak sądzę.

- Kwas mrówkowy?

- Tak. Zapewne otrzymał go przez destylację mrówek. Nie zapominaj, że był chemikiem. Śmierć przypisano by użądleniu przez pszczołę.

- Boże - mruknąłem. - To przecież jego własny syn! Czy tego właśnie się spodziewałeś?

Poirot z powagą kiwnął głową.

- Owszem. Jest psychicznie chory. Podejrzewam, że miał obsesję na punkcie historii rodu. Potężne pragnienie odziedziczenia majątku skłoniło go do popełnienia serii zbrodni. Przepuszczalnie wpadł na ten pomysł, kiedy jechał pociągiem razem z Vincentem. Nie mógł znieść myśli, że przepowiednia się nie spełni. Syn Ronalda już nie żył, a sam Ronald umierał - wszyscy oni są słabego zdrowia. Hugon zaaranżował również wypadek z bronią i - o co go do tej pory nie podejrzewałem - przyczynił się do śmierci brata, Johna, stosując tę samą metodę wstrzyknięcia kwasu mrówkowego do tętnicy szyjnej. Wówczas spełniły się jego ambicje i został właścicielem rodzinnych hektarów. Niestety, triumf był krótkotrwały; okazało się, że cierpi na nieuleczalną chorobę. A w głowie szaleńca cały czas tkwiło przekonanie, że w rodzie Lemesurierów majątek nie może przejść na najstarszego syna. Podejrzewam, że to on przyczynił się do wypadku przy pływaniu - musiał zachęcić chłopca, by za daleko wypłynął. Ponieważ to się nie udało, przeciął łodygę bluszczu, a potem zatrzał jedzenie dziecka. Dreszcz przebiegł mi po krzyżu.

- Diaboliczne! - mruknąłem. - A jak sprytnie obmyślane!

- Tak tak, *mon ami*, nic się nie może równać z rozsądkiem szaleńca. Może tylko wyjątkowa ekscentryczność zdrowych psychicznie ludzi! Sądzę, że dopiero ostatnio zaczął przebierać miarę; poprzednio w jego szaleństwie była metoda.

- I pomyśleć, że podejrzewałem Rogera, tego wspaniałego faceta.

- To było całkiem naturalne, *mon ami*. Wiedzieliśmy, że jechał wtedy pociągiem razem z Vincentem i że był następny w kolejce do majątku po Hugonie i jego dzieciach. Ale fakty nie potwierdziły tego podejrzenia. Bluszcz został przecięty, kiedy w domu był tylko Ronald, i Rogera urządziłaby śmierć obu chłopców. I trucizna znajdowała się wyłącznie w jedzeniu Ronalda. A dziś, kiedy wrócili do domu i okazało się, że na potwierdzenie użądlenia przez pszczołę mamy tylko słowo jego ojca, przypominała mi się inna śmierć spowodowana użądleniem - i wtedy już wiedziałem.

Hugo Lemesurier zmarł kilka miesięcy później w prywatnym szpitalu dla chorych psychicznie. Po roku wdowa po nim poślubiła Johna Gardinera, rudowłosego sekretarza męża. Ronald odziedziczył wielką posiadłość cieszy się zdrowiem.

- No i przysło następne złudzenie - zauważyłem. - Udało ci się uporać z klątwą rodu Lemesurierów.

- Naprawdę? - rzekł w zamyśleniu Poirot. - Nie jestem pewien.

- Co masz na myśli?

- *Mon ami*, odpowiem ci w dwóch słowach: kolor czerwony.

- Krew? - zapytałem zduszonym szeptem.

- Zawsze jesteś taki melodramatyczny, Hastings! Chodziło mi o coś znacznie bardziej prozaicznego: kolor włosów Ronalda Lemesuriera.

Zagubiona kopalnia

Z westchnieniem odłożyłem książeczkę bankową.

- To dziwne - zauważyłem - ale mój debet nigdy nie maleje.

- I to cię nie martwi? Gdybym ja miał debet, przez całą noc nie mógłbym zmrużyć oka - oświadczył Poirot.

- Zawsze masz dodatnie saldo - odparłem.

- Czterysta czterdzieści cztery funty i czterdzieści cztery pensy - rzekł Poirot z zadowoleniem. - Zgrabna liczba, nieprawdaż?

- To zapewne wyraz taktu ze strony dyrektora twojego banku. Najwyraźniej wie o twoim zamiłowaniu do symetrii. A co byś powiedział na propozycję zainwestowania jakichś trzystu funtów w pola naftowe nad rzeką Porcupine? W ich reklamówce, zamieszczonej w dzisiejszej prasie, przeczytałem, że w przyszłym roku płacą sto procent dywidendy.

- To nie dla mnie - pokręcił głową Poirot. - Nie pociąga mnie sensacja, wolę bezpieczne, rozsądne inwestycje - *les rentes*.

- Nidy nie spekulowałeś?

- Nie, *mon ami* - odparł surowo Poirot. - Nigdy. A jedyne posiadane przeze mnie akcje, to akcje Kopalni Birmańskich Sp. z o.o., które nie przynoszą kokosów.

Poirot zawiesił głos, najwyraźniej czekając na zachętę z mojej strony.

- No i? - spytałem.

- I nie kupiłem ich za gotówkę; to nagroda za pracę moich szarych komórek. Chciałbyś usłyszeć tę historię?

- Naturalnie.

- Kopalnie leżą w Birmie, w głębi kraju, jakieś sto kilometrów od Rangun. Odkryli je Chińczycy w piętnastym wieku, eksploatowali do czasu powstania mahometańskiego i w końcu opuścili je w roku 1868. Chińczycy wydobywali rudę srebrno-ołowiową, stanowiąca wierzchnią warstwę, i wytapiali z niej tylko srebro, pozostawiając duże ilości żużlu zawierającego ołów. Oczywiście, kiedy w Birmie ruszyły roboty poszukiwawcze, wkrótce to odkryto, ale ponieważ dawne wyrobiska były pełne syckiego materiału i wody, wszystkie próby poszukiwania źródła rudy okazały się bezowocne. Syndykaty organizowały wiele wypraw, przekopano wielki teren, ale żadna nie zdobyła nagrody. Jednak członek jednego z syndykatów wpadł na ślad chińskiej rodziny, która ponoć miała papiery wskazujące położenie kopalni. Teraz głową tej rodziny był Wu Ling.

- Co za fascynujący romans kupiecki! - wykrzyknąłem.

- A nie jest tak? *Mon ami*, romans może obyć się i bez złotowłosych piękności... nie, myślę się, twoje zainteresowanie zawsze wzbudzały dziewczyny z kasztanowatymi włosami. Pamiętasz...

- No i co dalej z twoją historią? - przerwałem mu i pośpiesznie,

- Eh bien, przyjacielu, nawiązano kontakt z Wu Lingiem. Był to szacowny kupiec, cieszący się wielką estymą w całym okręgu. Nie ukrywał, że ma dokumenty, o które chodziło, i był gotów je sprzedać, ale chciał rozmawiać tylko z szefami. W końcu ustalono, że Wu Ling pojedzie do Anglii i

spotka się z dyrektorami kompanii.

Wu Ling przyплыł na "Assuncie", która przybiła do brzegu w Southampton w zimny, mglisty listopadowy poranek. Jeden z dyrektorów, pan Pearson, udał się do Southampton odebrać Chińczyka ze statku, ale ze względu na mgłę pociąg miał duże opóźnienie i zanim Pearson się zjawił, Wu Ling zszedł na brzeg i pojechał do Londynu. Pearson wrócił nieco zirytowany, ponieważ nie miał pojęcia, gdzie Chińczyk mógł się zatrzymać. Jednak tego samego dnia do biura zadzwonił telefon - okazało się, że Wu Ling zamieszkał w hotelu Russel Square. Nie czuł się zbyt dobrze po podróży, ale poinformował, że następnego dnia będzie w stanie uczestniczyć w zebraniu zarządu.

Spotkanie zaczynało się o jedenastej. Kiedy o wpół do dwunastej Wu Ling jeszcze się nie pojawił, sekretarka zadzwoniła do hotelu, gdzie dowiedziała się, że Chińczyk wyszedł z jakimś znajomym o wpół do jedenastej. Wydawało się oczywiste, że miał zamiar przybyć na spotkanie, ale czas mijał, a on się nie pokazywał. Naturalnie, nie znając Londynu, mógł się zgubić, ale w hotelu nie zjawił się nawet późnym wieczorem. Przerażony tą wieścią, Pearson oddał sprawę w ręce policji. Następnego dnia nadal nie było śladu Wu Linga, ale pod wieczór następnego dnia z Tamizy wyłowiono ciało nieszczęsnego Chińczyka. Ani przy ciele, ani w bagażu w hotelu nie znaleziono dokumentów związanych z kopalnią.

Tak właśnie przedstawiała się sytuacja, *mon ami*, kiedy pan Pearson zwrócił się do mnie. Mimo że śmierć Wu Linga mocno nim wstrząsnęła, jego głównym celem było odzyskanie dokumentów, które Chińczyk miał przywieźć ze sobą. Policja, naturalnie, była głównie zainteresowana wykryciem mordercy; dokumenty miały drugorzędne znaczenie. Pearson natomiast pragnął, żebym współpracując z policją, działał na rzecz interesów kompanii.

Chętnie się zgodziłem. Było jasne, iż mam przeciw sobie dwie drogi: albo zacząć od pracowników kompanii którzy wiedzieli o przyjeździe Chińczyka, albo od pasażerów statku, którzy mogli dowiedzieć się czegoś o celu jego podróży. Zacząłem od drugiej możliwości, ponieważ pole poszukiwań było mniejsze. Przy pracy natknąłem się na inspektora Millera, prowadzącego tę sprawę. Był to człowiek całkowicie różny od naszego drogiego Jappa, zarozumiały, źle wychowany i ogólnie nie do zniesienia. Razem przesłuchaliśmy załogę statku. Nie mieli wiele do powiedzenia. Wu Ling w czasie rejsu trzymał się na uboczu. Zbliżył się tylko do dwóch pasażerów: pewnego Europejczyka nazwiskiem Dyer, cieszącego się niezbyt dobrą opinią, i młodego urzędnika z banku Charlesa Lestera, który wracał z Hongkongu. Mieliśmy szczęście, że zdołaliśmy zdobyć zdjęcia obydwu. Wydawało się niemal pewne, że jeśli któryś z nich był w to zamieszany, to na pewno Dyer. Wiedzieliśmy o jego związkach z chińskim przestępczym gangiem i w ogóle wyglądał na bardziej podejrzanego.

Następnym krokiem była wizyta w hotelu Russel i Square. Pracownicy natychmiast rozpoznali na zdjęcie Dyera, ale ku naszemu rozczarowaniu szwajcar powiedział, że to nie on przyszedł do hotelu tamtego dnia rano. Bez przekonania pokazałem mu zdjęcie Lestera. a on natychmiast go zidentyfikował!

- Tak, proszę pana - rzekł - to ten mężczyzna zjawił o wpół do jedenastej i zapytał o pana Wu Linga, a potem wyszedł razem z nim.

Sprawa ruszyła z miejsca. Jako następne posunięcie zaplanowaliśmy rozmowę z Lesterem, który spotkał się z nami, był szczerze przygnębiony śmiercią Chińczyka i oddał się do naszej dyspozycji. Opowiedział nam, co następuje: telefonicznie ustalił z Wu Lingiem, że przyjdzie po niego do hotelu o wpół do jedenastej. Ale Wu Ling się nie pojawił. Zamiast niego wyszedł służący, wyjaśnił, że pan

musiał wyjść, i zaproponował, że zaprowadzi młodego człowieka tam, gdzie teraz przebywa. Lester zgodził się i Chińczyk zawołał taksówkę. Przez jakiś czas jechali w kierunku doków. W pewnej chwili jednak Lesterowi zaczęło się to wydawać podejrzane, zatrzymał taksówkę i wysiadł, mimo protestów służącego. Zapewnił nas, że to wszystko, co wie.

Pozornie przekonani, podziękowaliśmy mu i pożegnaliśmy się. Wkrótce okazało się, że jego historia jest niezbyt dokładna. Po pierwsze, Wu Ling nie miał ze sobą służącego ani na statku, ani w hotelu. Po drugie, znalazł się taksówkarz, który ich zabrał tego dnia rano. Nie dość, że Lester nie opuścił taksówki po drodze, to jeszcze razem z Chińczykiem pojechali do mającego kiepską opinię domostwa w Limehouse, w samym sercu chińskiej dzielnicy. Mieściła się tam ni mniej, ni więcej, tylko znana policji palarnia opium najgorszej kategorii. Obydwaj mężczyźni weszli do środka, a po około godzinie Anglik, którego taksówkarz rozpoznał na zdjęciu, wyszedł, ale sam. Był bardzo błądy i wyglądał na chorego. Kazał się zawieźć do najbliższej stacji metra.

Zainteresowano się bliżej Lesterem i okazało się, że pomimo doskonałej opinii jest mocno zadłużony i ma skrywaną namiętność do hazardu. Naturalnie, Dyera nie tracono z oczu. Było niewykluczone, że to on wcielił się w drugiego mężczyznę, ale to podejrzenie nie potwierdziło się. Miał niepodważalne alibi na cały dzień. oczywiście, właściciel palarni z iście wschodnim uporem wszystkiemu przeczył. Nigdy nie widział Charlesa Lestera. Tamtego dnia rano żadni dwaj mężczyźni się u niego nie pokazali. A w ogóle policja się myli: u niego nie pali się opium.

Te kłamstwa niewiele jednak pomogły Charlesowi Lesterowi. Został aresztowany pod zarzutem zamordowania Wu Linga. Przeszukano jego rzeczy, ale nie znaleziono żadnych dokumentów dotyczących kopalni. Właściciel palarni opium również został zatrzymany, lecz nalot na jego zakład niczego nie dał. Gorliwość policji nie została nagrodzona odkryciem choćby jednej pałeczki opium.

Tymczasem nasz przyjaciel Pearson był w stanie wielkiego poruszenia. Chodził tam i z powrotem po moim pokoju, wylewając żale:

- Przecież pan musi mieć jakieś teorie, panie Poirot - wołał.

- Oczywiście, że mam - odparłem ostrożnie. - Jest jeden problem - mam ich zbyt wiele, i dlatego każda prowadzi w innym kierunku.

- Na przykład? - zapytał.

- Na przykład taksówkarz. Na potwierdzenie faktu, że zawiózł dwóch mężczyzn do palarni, mamy tylko jego słowo. To po pierwsze. Po drugie, czy na pewno akurat tam się wybierali? Przypuśćmy, że przed palarnią wysiedli z taksówki, weszli do bramy, wyszli drugim wyjściem i udali się gdzie indziej?

Pan Pearson wydawał się oszołomiony.

- Pan nic nie robi, tylko siedzi i myśli? Czy nie moglibyśmy pokusić się o jakieś działania?

Rozumiesz, był niecierpliwym człowiekiem.

- *Monsieur* - odparłem z godnością - Bieganie jak kundel po cuchnących ulicach Limehouse to nie jest zajęcie dla Herkulesa Poirota. Niech się pan uspokoi. Moi ludzie nie próżnują.

Następnego dnia miałem dla niego nową porcję informacji. Rzeczywiście przez kamienicę przeszło dwóch mężczyzn, którzy skierowali się do małej knajpki koło rzeki. Widziano, jak tam wchodzili, a potem Lester wyszedł sam.

I wtedy, wyobraź to sobie, Hastings, Pearson wpadł na zupełnie nierozsądny pomysł! Uparł się, żebyśmy sami poszli do tej knajpki i na miejscu przeprowadzili dochodzenie. Prosiłem i tłumaczyłem, ale nie chciał mnie słuchać. Wspomniiał, że się przebierze, a nawet zasugerował, że bym

ja - ja, wyobraź sobie! - zgolił wąsy. Tak, rien que ça![25] Powiedziałem, że to absurdalny pomysł. Nie niszczy się bez powodu rzeczy pięknych. Ponadto, czy Belg z wąsami nie może mieć ochoty popróbować życia i zapalić opium równie dobrze jak Belg bez wąsów?

Eh bien, poddał się w końcu w tej kwestii, ale nadal nalegał na realizację pomysłu. Przyszedł wieczorem, Mon Dieu, co za figura! Miał na sobie coś, co nazywał kurtką marynarską, był brudny i nieogolony, na szyi zawiązał takiś plugawy szalik, którego zapach był obrazą dla nosa. I co gorsza, był bardzo z siebie zadowolony! Doprawdy, Anglicy są szaleni! Zmienił nawet trochę mój wygląd. Pozwoliłem mu na to; czyż można dyskutować z szaleńcem? Wyszliśmy razem - nie mogłem przecież puścić go samego, ubranego jak dziecko na bal przebierańców!

- Pewnie, że nie mogłeś - przytaknąłem.

- Wracając do mojej historii. Przybyliśmy na miejsce. Pan Pearson mówił dziwnie po angielsku. Powiedział, że jest człowiekiem morza. Mówił o forkasztelu i szcurach lądowych i co mu tam jeszcze na myśl przyszło. Byliśmy w niskim pomieszczeniu pełnym Chińczyków. Jedliśmy przedziwne dania. Ah, Dieu, mon estomac![26] - Poirot złapał się za brzuch i ciągnął: - Potem przyszedł do nas właściciel, Chińczyk z twarzą ozdobioną złym uśmiechem.

- Wy nie lubicie jedzenia tutaj - rzekł. - Wy chcecie coś, co wy lubicie lepiej. Fajka pokoju, co?

Pearson kopnął mnie mocno pod stołem (a na nogach miał grube marynarskie buty!) i odparł: - Nie mam nic przeciwko, John. Prowadź nas tam.

Chińczyk uśmiechnął się i poprowadził nas do piwniczki, stamtąd wyszliśmy przez drzwi zapadowe, potem były schodki w dół, potem w górę i w końcu znaleźliśmy się w pokoju pełnym niskich otoman i nadzwyczaj wygodnych poduch. Położyliśmy się, a chiński wyrostek zdjął nam buty. To była najprzyjemniejsza chwila całego wieczoru. Przyniesiono nam fajki z opium i przyrządzono pigułki opiumowe, a my udawaliśmy, że palimy, a potem zasypiamy i że coś nam się śni. Ale kiedy zostaliśmy sami, pan Pearson zawołał mnie szeptem i zaczął czołgać się po podłodze. Przeszliśmy do następnego pokoju, w którym spali ludzie, potem do jeszcze następnego, i tak dalej, aż usłyszeliśmy, jak rozmawiają dwaj mężczyźni. Pozostaliśmy za zasłoną i słuchaliśmy. Mówili o Wu Lingu.

- I co z dokumentami? - powiedział jeden.

- Pan Lester, on je wziąć - odparł drugi, Chińczyk - On mówić, że je schować w bezpieczne miejsce, gdzie policja nie zaglądać.

- Ale jego przyskrzynili.

- Wyjdziiii. Pliiiiija nie pewniii, że to on zrobiiić.

Mówili jeszcze dalej w tym stylu, ale pomknęliśmy na powrót do naszych łóżek, bo zaczęli iść w naszą stronę.

- Lepiej oddalmy się stąd. To niezdrowe miejsce - zaproponował Pearson po kilku minutach.

- Ma pan rację, monsieur - odparłem. - Wystarczająco długo graliśmy tę farsę.

Udało nam się wyjść, płacąc niemało za tę przyjemność. Gdy tylko opuściliśmy Limehouse, Pearson głęboko odetchnął.

- Cieszę się, że się stamtąd wydostaliśmy - zauważył. - Ale coś tam jest.

- Niewątpliwie - zgodziłem się. - I wydaje mi się, że po dzisiejszej maskaradzie nie będziemy mieli trudności ze znalezieniem tego, czego szukamy.

I rzeczywiście nie było trudności - zakończył Poirot. To gwałtowne zakończenie wydawało mi się tak niezwykle, że nic nie mówiąc wpatrywałem się w przyjaciela.

- Ale... gdzie były te dokumenty? - spytałem po chwili.

- W jego kieszeni - tout simplement[27].

- W czyjej kieszeni?

- Pearsona, parbieu![28] - Widząc moje oszołomienie, wyjaśnił cierpliwie: - Nie rozumiesz? Pan Pearson, podobnie jak Charles Lester, był w długach. Podobnie jak Lester, lubił hazard. I to on wpadł na pomysł zrabowania Chińczykowi dokumentów. Oczywiście, spotkał go w Southampton, razem przyjechali do Londynu i od razu zabrał go do Limehouse. Była mgła. Chińczyk nie zauważył, gdzie jada. Sądzę, że Pearson często odwiedzał tę palarnię, w związku z czym miał różne dziwne znajomości. Nie sądzą, żeby planował morderstwo. Chciał, żeby jeden z Chińczyków podszył się pod Wu Linga i odebrał pieniądze za sprzedaż dokumentów. Ale dla ludzi Wschodu wydawało się znacznie prostsze zabić Wu Linga i wrzucić jego ciało do rzeki; i wspólnicy Pearsona bez konsultacji wprowadzili w życie własny plan. Wyobraź sobie panikę Pearsona. Ktoś mógł go przecież widzieć w pociągu z Wu Lingiem. Morderstwo to coś zupełnie innego niż porwanie.

Zbawić go mógł tylko Chińczyk, który mieszkał w hotelu Russel Square jako Wu Ling. Bał się, żeby za wcześnie nie znaleziono ciała! Prawdopodobnie Wu Ling powiedział komuś, że umówił się z Lesterem w hotelu. Pearson zobaczył w tym doskonałą okazję do odwrócenia od siebie podejrzeń. Charles Lester będzie ostatnią osobą widzianą w towarzystwie Wu Linga. Podający się za niego Chińczyk miał się przedstawić Lesterowi jako służący Wu Linga i jak najszybciej przywieźć go do Limehouse. Tam dostanie jakiś napój, naturalnie stosownie doprawiony środkami nasennymi. Kiedy Lester po godzinie wyjdzie, będzie miał bardzo niejasne wspomnienie tego, co się wydarzyło. Te plany do tego stopnia się sprawdziły, że kiedy Lester dowiedział się o śmierci Wu Linga, stracił głowę i zaprzeczył, że w ogóle dojechał do Limehouse.

Ale to tym bardziej było na rękę Pearsonowi. Ale czy Pearson jest zadowolony? Nie, niepokoi go moje zachowanie i postanawia dostarczyć ostateczne dowody przeciw Lesterowi. Aranżuje więc maskaradę. Chce mnie zwieść! Czyż nie powiedziałem chwilę temu, że zachowywał się jak dziecko udające się na bal przebierańców? *Eh bien*, gram swoją rolę. Pearson, radosny, idzie do domu. Ale rankiem na progu pojawia się inspektor Miller, znajdują dokumenty i gra się kończy. Gorzko żałuje, że zachciało mu się odgrywać farsę przed Poirotem. W całej sprawie była właściwie tylko jedna trudność.

- Jaka? - spytałem zaintrygowany.

- Przekonanie inspektora Millera! Co za bestia! Uparty i głupi! A w końcu to na niego spłynęła cała chwała.

- Fatalnie! - zawołałem współczująco.

- No cóż, dostałem pewną rekompensatę. Od pozostałych dyrektorów Kopalni Birmeńskich Spółki z o.o. otrzymałem czternaście tysięcy udziałów jako małą odpłatę za moje usługi. Nieźle, co? Ale proszę cię, Hastings, bądź ostrożny w inwestycjach. Dyrektorzy Porcupine - wszyscy mogą być Pearsonami!

Ekspres do Plymouth

Alec Simpson, z marynarki królewskiej, wsiadł w Newton Abbot do przedziału pierwszej klasy ekspresu do Plymouth. Za nim podążał bagażowy z ciężką walizką. Już miał ją rzucić na półkę, ale marynarz go powstrzymał.

- Proszę położyć ją na siedzeniu. Sam ją tam później włożę. Proszę bardzo, oto zapłata.

- Dziękuję, sir.

Bagażowy, obdarowany wysokim napiwkim, wyszedł z przedziału.

Głośno zatrzasnęły się drzwi i donośny głos zawołał:

- Ekspres do Plymouth. Przesiadka na pociąg do Torquay. Następna stacja Plymouth.

Rozległ się gwizd i pociąg powoli ruszył ze stacji.

Porucznik miał cały przedział dla siebie. Grudniowy dzień był zimny, zamknął więc okno. Poczł jakiś zapach, niezdecydowanie powęszył i zmarszczył brwi. Co to za zapach? Przypominał mu czas spędzony w szpitalu i operację nogi. Tak, to chloroform!

Otworzył okno i przesiadł się tyłem do kierunku jazdy. Wyciągnął z kieszeni fajkę i zapalił. Przez chwilę siedział beczynnym, wyglądając przez okno i paląc.

W końcu podniósł się, otworzył walizkę, wyjął z niej gazety i czasopisma, po czym zamknął ją i spróbował wcisnąć pod siedzenie naprzeciwko, ale bez skutku. Coś przeszkadzało. Popchnął mocniej, ze wzrastającą niecierpliwością, ale utkwiała w połowie i nie chciała schować się głębiej.

- Dlaczego, do diabła, nie chce wejść? - mruknął, wyjął walizę i zajrzał pod siedzenie...

Chwilę później ciszę nocną rozdarł krzyk i pociąg niechętnie zatrzymał się, posłuszny zdecydowanemu szarpnięciu hamulca.

- *Mon ami* - rzekł Poirot - wiem, że bardzo zainteresowałaś się tajemnicą ekspresu do Plymouth. Przepytaj to.

Wziąłem do ręki liścik, który podał mi przez stół. Był krótki i treściwy.

Szanowny Panie,

byłbym zobowiązany, gdyby mógł Pan złożyć mi wizytę w najwcześniejszym możliwym dla Pana terminie.

Pozostaję z szacunkiem,

Ebenezer Halliday

Związek listu z tajemnicą nie był dla mnie jasny. Spojrzałem pytająco na Poirota.

W odpowiedzi podniósł gazetę i przeczytał na głos: - "Wczoraj wieczorem dokonano sensacyjnego odkrycia. Młody oficer marynarki, wracając do Plymouth, znalazł w swoim przedziale pod siedzeniem ciało młodej kobiety, zmarłej od ciosu nożem w serce. Oficer natychmiast pociągnął za hamulec i pociąg stanął. Kobieta, w wieku około trzydziestu lat, elegancko ubrana, nie została jeszcze zidentyfikowana".

A później mamy to: "Kobieta zabita w ekspresie do Plymouth została zidentyfikowana jako pani Rupertowa Carrington". Rozumiesz teraz, przyjacielu? Jeśli jeszcze nie pojmujesz, dodam, że pani

Rupertowa Carrington przed ślubem nazywała się Flossie Halliday i była córką amerykańskiego króla stali Hallidaya.

- I on posłał po ciebie? Wspaniale!

- Kiedyś w przeszłości wyświadczyłem mu przysługę - chodziło o obligacje na okaziciela. A pewnego razu, gdy byłem w Paryżu z okazji wizyty królewskiej, ktoś wskazał mi pannę Flossie. *La jolie petite pensionnaire!*[29] Miała *jolie dot!*[30] To sprowadzało kłopoty. Ledwie uniknęła niestosownego romansu.

- Z kim?

- Z hrabią de la Rochefour. *Un bien mauvais sujet*[31]! Kanalia, jakbyście powiedzieli. Zwykły awanturnik, wiedzący, jak podbić serce romantycznej dziewczyny. Na szczęście ojciec na czas się zorientował. Czym prędzej zabrał ją do Stanów. Parę lat później dowiedziałem się o jej małżeństwie, ale nic nie wiem o mężu.

- Hmm. Rupert Carrington też nie jest święty. Na wyścigach stracił prawie cały majątek i przypuszczam, że dolary starego Hallidaya przyszły w samą porę. Powiedziałbym, że trudno byłoby znaleźć drugiego takiego przystojnego, zupełnie pozbawionego skrupułów łobuza o wytwornych manierach.

- Biedna kobieta! *Elle n'est pas bien tombee*[32].

- Przypuszczam, że od razu dał jej do zrozumienia, że zależy mu na pieniądzach, a nie na niej. Wydaje mi się, że niemal natychmiast ich drogi się rozeszły. Ostatnio słyszałem pogłoski, że ma zostać wniesiony wniosek o separację.

- Stary Halliday nie jest głupi. Na pewno dobrze zabezpieczył posag córki.

- Z pewnością. W każdym razie mówi się, że Rupert ma poważne kłopoty finansowe.

- Ach! Zastanawiam się...

- Czy co?

- Mój przyjacielu, nie skacz mi tak do gardła. Widzę, że jesteś ciekawy. Może byś więc towarzyszył mi na spotkanie z Hallidayem? Za rogiem jest postój taksówek.

Kilka minut wystarczyło, byśmy dotarli do wspaniałego domu na Park Lane, wynajmowanego przez Amerykańskiego magnata. Zaprowadzono nas do biblioteki i niemal natychmiast pojawił się duży, tęgi mężczyzna z przenikliwymi oczyma i wojowniczo wysuniętą brodą.

- Pan Poirot? - upewnił się Halliday. - Chyba nie muszę mówić, po co pana potrzebuję. Czytał pan gazety, i ja nie lubię zasypiać gruszek w popiele. Dowiedziałem się, że jest pan w Londynie, przypomniała mi się pańska doskonała robota w kwestii tych bomb. Nigdy nie zapominał nazwisk. Scotland Yard pracuje nad tą sprawą, ale chcę też zatrudnić kogoś prywatnie. Pieniądze nie grają roli. Robiłem je dla mojej dziewczynki, a teraz, kiedy jej nie ma, wydam wszystko do ostatniego centa, aby złapać tego łotra, który to zrobił. Jasne? Pan ma go dostarczyć.

Poirot skłonił się: - Zgadza się, *monsieur*, tym chętniej, że kilkakrotnie widziałem pańską córkę w Paryżu. A teraz proszę zrelacjonować mi okoliczności jej podróży do Plymouth, ze wszystkimi szczegółami, które według pana mogą mieć wpływ na wyjaśnienie sprawy.

- Zaczę od tego, że ona wcale nie jechała do Plymouth. Jechała w gościnę do Avonmead Court, gdzie mieszka księżna Swansea. Wyjechała z Londynu pociągiem o dwunastej czternaście z dworca Paddington, w Bristolu (gdzie miała przesiadkę) była za dziesięć trzecia. Większość ekspresów do Plymouth, naturalnie, kursuje przez Westbury i nawet nie zbliża się do Bristolu. Ten o dwunastej czternaście jedzie bez zatrzymywania się do Bristolu, a potem przystaje w Weston, Taunton, Exeter i Newton Abbot. Moja córka była sama w przedziale, który zarezerwowała aż do Bristolu, a jej

pokojówka podróżowała wagonem trzeciej klasy w następnym wagonie.

Poirot kiwnął głową, a pan Halliday kontynuował:

- Goście księżny mieli wesoło spędzać czas w Avonmead Court, zaplanowano kilka bali, i

dlatego córka wzięła ze sobą niemal wszystkie klejnoty, warte razem około stu tysięcy dolarów.

- *Un moment* - przerwał Poirot. - Kto miał przy sobie klejnoty? Pańska córka czy pokojówka?

- Córka nigdy nikomu ich nie powierzała, były w małej błękitnej kasetce obitej marokinem.

- Dziękuję. Niech pan mówi dalej.

- W Bristolu pokojówka, Jane Mason, zabrała neseser i walizkę z ubraniami córki, które miała w swoim przedziale, i poszła do przedziału Flossie. Ku jej ogromnemu zdziwieniu córka powiedziała jej, że nie wysiada w Bristolu, ale jedzie dalej. Kazała Jane Mason umieścić bagaż w przechowalni i czekać na jej powrót do Bristolu (miała przyjechać jednym z popołudniowych pociągów), i powiedziała, że w tym czasie dziewczyna może pójść na herbatę do restauracji. Mimo że polecenie ją zdziwiło, pokojówka zrobiła, co jej kazano. Oddała bagaż do przechowalni i poszła na herbatę. Ale pociągi z Bristolu przyjeżdżały jeden po drugim, a pani nie było. Gdy przyjechał ostatni pociąg, a Flossie się nie zjawiała, Jane Mason, nie zabierając bagażu, poszła przenocować do hotelu w pobliżu dworca. Dziś rano dowiedziała się o tragedii i wróciła pierwszym pociągiem.

- Co mogło spowodować nagłą zmianę planów pańskiej córki?

- Z tego, co mówi pokojówka, w Bristolu Flossie nie była już sama w przedziale. W środku znajdował się mężczyzna, stał przy oknie wychodzącym na drugą stronę pociągu i służąca nie widziała jego twarzy.

- Drzwi do każdego przedziału nie otwierały się wprost na peron, tylko na korytarz, prawda?

- Tak.

- Którą stroną biegł korytarz?

- Prowadził na peron. Córka, rozmawiając z Mason, była w korytarzu.

- I nie wątpi pan - przepraszam, że o tym wspominam... - tu Poirot wstał i poprawił kałamarz, który stał nieco krzywo. - *Je vous demande pardon*[33] - ciągnął, siadając na krześle - Nie mogę patrzeć spokojnie, jak coś nie jest porządnie ułożone. Dziwne, prawda? Ale wracając do tematu. Pytałem, czy nie ma pan żadnych wątpliwości, że zmianę planów wywołało to przypuszczalnie nieoczekiwane spotkanie?

- Wydaje się, że to jedyne logiczne wyjaśnienie.

- Nie ma pan pojęcia, kim mógł być ten mężczyzna? Milioner zawahał się króciutką chwilę, po czym odparł:

- Nie, nie mam pojęcia.

- A jak znaleziono ciało?

- Znalazł je młody oficer marynarki i od razu podniósł alarm. W pociągu był lekarz, który zbadał umarłą. Córka najpierw została uszponiona chloroformem, a potem zasztyletowana. Powiedział, że według niego nie żyła już od jakichś czterech godzin, zatem musiało się to stać tuż za Bristolem, przypuszczalnie między Bristolem a Weston, może Weston a Taunton.

- Co się stało z kasetką?

- Zginęła, panie Poirot.

- Jeszcze jedno, *monsieur*. Kto dziedziczy po pańskiej córce?

- Wkrótce po ślubie Flossie napisała testament, zostawiając wszystko mężowi. - Zawahał się, po czym dodał: - Właściwie mogę panu zdradzić, panie Poirot, że swojego zięcia uważam za drania bez sumienia i że za moją radą córka miała wkrótce legalnie wyzwolić się z tego związku; to nic trudnego. W intercyzie wprowadziłem klauzulę, uniemożliwiającą mężowi położenie łapy na jej

majątku za życia, ale choć od kilku lat mieszkali oddzielnie, córka często ulegała jego żądaniom pieniężnym, woląc to niż jawny skandal. Ja jednak byłem zdecydowany położyć temu kres. W końcu Flossie zgodziła się i wydałem prawnikom dyspozycje, by zajęli się tą sprawą.

- A gdzie jest pan Carrington?

- W mieście. Wczoraj chyba wyjeżdżał na wieś, ale wrócił wieczorem.

Poirot zastanawiał się przez moment, po czym rzekł:

- Myślę, że to wszystko, proszę pana.

- Czy chciałby pan porozmawiać z Jane Mason?

- Chętnie.

Halliday pociągnął za dzwonek i wydał polecenie lokajowi.

Po kilku minutach do pokoju weszła Jane Mason, kobieta niemłoda, o surowej twarzy i tak wyprana z emocji w obliczu tragedii, jak to tylko dobry służący potrafi.

- Mogę zadać kilka pytań? Czy przed wyjazdem twoja pani była w nastroju takim jak zwykle? Nie była podniecona czy poruszona?

- Ależ skąd, sir!

- Ale w Bristolu zachowywała się całkiem inaczej?

- Tak, była zupełnie wytrącona z równowagi. Tak zdenerwowana, że wydawało się, że sama nie wie, co nowi.

- A co takiego mówiła?

- O ile pamiętam, sir, powiedziała: "Mason, muszę zmienić plany. Coś się stało, to znaczy nie wysiadam tutaj, muszę jechać dalej. Weź bagaż i oddaj go do przechowalni, potem idź na herbatę i poczekaj na mnie na stacji". "Mam czekać na stacji?" - spytałam. "Tak, tak. Nie odchodź ze stacji. Wrócę późniejszym pociągiem, ale nie wiem, którym. Może to być całkiem późno". "Dobrze, proszę pani" - odparłam. Wydawało mi się to dziwne, ale znam swoje miejsce i o nic nie pytałam.

- Czy takie zachowanie było niepodobne do twojej pani?

- Zupełnie niepodobne.

- A co o tym myślisz?

- No cóż, pomyślałam, że ma to jakiś związek z tym dżentelmenem z przedziału. Pani z nim nie rozmawiała, ale raz czy dwa się odwróciła, jakby u niego szukając potwierdzenia, że dobrze mówi.

- Ale twarzy mężczyzny nie widziałaś?

- Nie, sir. Cały czas stał odwrócony do mnie plecami.

- Możesz go opisać?

- Miał na sobie jasnopłowy płaszcz i kapelusz. Był szczupły, wysoki i z tyłu, spod kapelusza widać było ciemne włosy.

- Nie znasz go?

- Och nie, nie sądzę, sir.

- To nie był przypadkiem pan Carrington?

Pokojówka wyglądała na zaskoczoną.

- Och, chyba nie, sir!

- Ale nie jesteś pewna?

- Miał podobną budowę, ale... nigdy nie przyszło mi do głowy, że to mógł być pan. Tak rzadko go widywaliśmy... Ale nie mogłabym też powiedzieć, że to nie on.

Poirot podniósł szpilę z dywanu i surowo zmarszczył brwi.

- Czy ten mężczyzna mógł wsiąść do pociągu w Bristolu, zanim ty tam dotarłaś?

Jane chwilę myślała.

- Tak, chyba mógł. Mój przedział był bardzo zatłoczony i minęło kilka minut, zanim udało mi się wyjść, na peronie też był tłum i to spowodowało dalszą zwłokę. Ale wtedy miałby tylko minutę-dwie na rozmowę z panią. Uznałam za pewne, że przyszedł do niej z tego samego wagonu.

- Rzeczywiście, to bardziej prawdopodobne.

Umilkł, nie przestając marszczyć brwi.

- Wie pan, jak pani była ubrana?

- Gazety podały szczegóły, ale wolałbym, abys je potwierdziła.

- Miała na sobie, niebieski płaszcz i spódnicę w odcieniu indygo, a na głowie biały toczek z foki i białą woalkę w kropki.

- Hmm, ubiór zwracający uwagę.

- Owszem - przytaknął pan Halliday. - Inspektor Japp ma nadzieje, że pomoże to ustalić miejsce, gdzie zdarzyła się zbrodnia. Każdy, kto widział moją córkę, na pewno będzie ją pamiętał.

- *Precisement!*[34] Dziękuję pani.

Pokojówka wyszła z pokoju.

- No cóż - powiedział Poirot, wstając żwawo z miejsca. - Na razie tyle mogę zrobić. Może tylko jeszcze Doproszę pana, żeby mi pan powiedział wszystko - naprawdę wszystko.

- Zrobiłem to.

- Jest pan pewien?

- Absolutnie!

- Zatem nic więcej nie zostaje mi do dodania. Muszę odmówić wzięcia tej sprawy.

- Dlaczego?

- Bo nie jest pan ze mną szczery.

- Zapewniam pana...

- Coś jednak pan ukrywa.

Nastąpiła chwila milczenia. W końcu Halliday wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i wręczył ją mojemu przyjacielowi.

- Przypuszczam, że o to panu chodzi, monsieur Poirot... choć krew się we mnie burzy na myśl, skąd pan się o tym dowiedział!

Poirot uśmiechnął się i rozłożył kartkę. Był to list, napisany wąskim, pochyłym pismem. Poirot odczytał go na głos.

Chere Madame,

z niezwykłą przyjemnością wyglądam naszego ponownego spotkania. Po otrzymaniu tak miłej odpowiedzi na mój list z trudnością powstrzymuję niecierpliwość. Nigdy nie zapomniałem tych dni w Paryżu. To okrutne, że jutro wyjeżdża Pani z Londynu. Jednak niedługo, może szybciej niż Pani myśli, dostąpię radości oglądania damy, której obraz na zawsze króluje w moim sercu.

Z wyrazami oddania i niezmiennych uczuć,

Armand de la Rochefour

Poirot z ukłonem zwrócił list Hallidayowi.

- Wyobrażam sobie, *monsieur*, że pan nie wiedział, iż córka zamierzała odnowić znajomość z hrabią de la Rochefour?

- To był grom z jasnego nieba! Znalazłem ten list w jej torebce. Jak pan zapewne wie, monsieur Poirot, ten tak zwany hrabia jest awanturnikiem najgorszego rodzaju.

Poirot pokiwał głową.

- Ale chciałbym spytać, skąd pan wie o liście.

Mój przyjaciel uśmiechnął się,

- Monsieur, nic o nim nie wiedziałem. Ale detektywowi nie wystarczy umieć znaleźć ślady stóp i rozpoznać popiół z papierosa. Musi być również dobrym psychologiem. Wiedziałem, że nie lubił pan swojego zięcia i nie dowierzał mu. A choć odniesie on korzyść ze śmierci pańskiej córki i jego wygląd odpowiada opisowi mężczyzny z zeznań pokojówki, to jednak nie rwie się pan do tego, by go oskarżyć. Dlaczego? Bo podejrzewa pan kogoś innego. A zatem musi pan coś ukrywać.

- Ma pan rację, monsieur Poirot. Byłem przekonany o winie Ruperta, dopóki nie znalazłem listu. List całkowicie wytrącił mnie z równowagi.

- Tak. Hrabia pisze: "Jednak niedługo, może szybciej niż Pani myśli". Najwyraźniej nie chciał czekać, aż dowie się pan, że on znowu się pojawił. Czy to on jechał tym samym pociągiem o dwunastej czternaście z Londynu i odwiedził pańską córkę w przedziale? Hrabia de la Rochefour, o ile pamiętam, jest wysoki i ciemnowłosey.

Milioner skinął głową.

- Cóż, *monsieur*, pożegnam pana. Spodziewam się, że Scotland Yard ma listę klejnotów?

- Tak. Wydaje mi się, że Japp jest tu teraz, jeśli chciałby się Pan z nim spotkać.

Japp, nasz stary znajomy, powitał Poirota z czymś a rodzaju wyrozumiałości zabarwionej lekceważeniem.

- Jak się pan ma, *monsieur*? Między nami zgoda, mimo że inaczej widzimy niektóre rzeczy, co? Jak tam małe szare komórki? Trzymają się mocno?

Poirot rozpromienił się:

- Mają się jak najlepiej, mój drogi, jak najlepiej!

- Zatem wszystko w porządku. Na kogo pan stawia, szanownego Ruperta czy tego oszusta? Mamy na oku wszystkich paserów. Dowiemy się, jeśli zbrodniarz spróbuje pozbyć się błyskotek, a ten, kto to zrobił, nie będzie przecież trzymał ich po to, by cieszyć się ich blaskiem. Próbuję sprawdzić, gdzie był wczoraj Rupert Carrington. Sprawia wrażenie tajemniczego gościa. Posłałem człowieka, żeby miał go pod obserwacją.

- Bardzo rozsądne posunięcie, ale chyba o dzień spóźnione - zauważył łagodnie Poirot.

- Pan zawsze skory do żartów, *monsieur* Poirot. No cóż, idę na dworzec Paddington. Bristol, Weston, Taunton - to mój cel. Do zobaczenia.

- Wpadnie pan do mnie dziś wieczorem opowiedzieć o rezultatach?

- Naturalnie, jeśli tylko wrócę.

- Inspektor wierzy, że materia powinna być w ruchu - mruknął Poirot, gdy Japp zniknął za drzwiami. - Jeździ, mierzy ślady stóp, zbiera pył z papierosów i błoto z butów. Jest niezwykle zajęty! I niesłychanie gorliwy! Ale gdybym wspomniał mu o psychologii, wiesz, co by zrobił? Uśmiechnąłby się do siebie i pomyślał: "Biedny Poirot! Starzeje się!". Japp to "młoda generacja pukająca do drzwi". *Ma foi*[35], są tak zajęci pukaniem, że nie widzą, iż drzwi są otwarte!

- A co ty zamierzasz zrobić?

- Ponieważ mamy *carte blanche*, wydam trzy pensy na telefon do Ritza... gdzie, jak może zauważyłeś, zatrzymał się nasz hrabia. A potem, ponieważ mam trochę mokre buty i już dwa razy

kichnąłem, udam się do domu i zaparzę sobie ziółka.

Nie widziałem Poirota aż do następnego dnia rano. Gdy przyszedłem, spokojnie kończył śniadanie.

- I co? - spytałem z ożywieniem. - Co się zdarzyło?

- Nic.

- A co u Jappa?

- Nie widziałem się z nim.

- Hrabia?

- Przedwczoraj wyprowadził się z hotelu.

- W dniu morderstwa!

- Tak.

- To wszystko rozstrzyga. Rupert Carrington jest niewinny.

- Dlatego że hrabia de la Rochefour wyprowadził się od Ritza? Jesteś trochę pochopny we wnioskach, przyjacielu.

- W każdym razie trzeba go wysledzić i aresztować! Ciekawe, jaki mógł mieć motyw?

- Klejnoty wartości stu tysięcy dolarów to dla każdego byłby wystarczający motyw. Nie, ja pytam o coś innego: dlaczego miałby ją zabić? Wystarczyło ukraść klejnoty. Ona by i tak nie poszła z tym na policję.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ to kobieta, *mon ami*. Kiedyś go kochała. Dlatego zniosłaby stratę w milczeniu. A hrabia, który, jeśli chodzi o kobiety, jest bardzo dobrym psychologiem (stąd jego sukcesy) - dobrze o tym wie. Z drugiej strony, jeśli Rupert Carrington ją zabił, po co miałby zabierać klejnoty, które by go obciążały?

- Jako zasłonę dymną.

- Może masz rację, przyjacielu. Ach, jest Japp! Poznaje jego pukanie.

Inspektor był w wyśmienitym humorze.

- Dzieńdoberek, Poirot. Dopiero wróciłem. Odwalilem kawał dobrej roboty. A pan?

- Uporządkowałem myśli - odparł spokojnie Poirot.

Japp roześmiał się z całego serca.

- Staruszek posunął się w latach - szepnął mi do ucha. - Nam, młodym, to nie wystarcza - rzekł na głos.

- *Quel dommage!*[36] - zauważył Poirot.

- Chce pan wiedzieć, czego dokonałem?

- Pozwoli mi pan zgadnąć? Znalazł pan nóż, którym popełniono zbrodnię, na poboczu nasypu między Weston i Taunton, i przesłuchał pan chłopca sprzedającego gazety, który rozmawiał z panią Carrington w Weston.

Japp ze zdumienia otworzył usta.

- Skąd pan wie? Proszę nie mówić, że powiedziały to wszechwiedzące małe, szare komórki

- Cieszę się, że choć raz pan przyznaje, że szare komórki są wszechwiedzące. Proszę powiedzieć, czy dała chłopcu szylinga napiwku?

- Nie szylinga, pół korony! - Japp odzyskał humor i uśmiechnął się. - Ekstrawaganczy są ci Amerykanie!

- W rezultacie chłopiec jej nie zapomniał?

- Pewnie. Półkoronówki nieczęsto mu się trafiają. Pani Carrington przywołała go i kupiła dwie gazety. W jednej na okładce była dziewczyna ubrana na niebiesko. "Będzie do mnie pasować", powiedziała. Chłopak dobrze ją zapamiętał. Mnie to wystarczyło. Z badań lekarskich wynikało, że zbrodnia musiała być popełniona przed Taunton. Zgadłem, że nóż został od razu wyrzucony, więc ruszyłem wzdłuż torów, rozglądając się za nim. I oczywiście, znalazłem go. W Taunton rozpytywałem o naszego ptaszka, ale to jest duża stacja i było mało prawdopodobne, żeby ktoś go zauważył. Pewnie wrócił do Londynu późniejszym pociągiem.

Poirot kiwnął głową: - Bardzo prawdopodobne.

- Po powrocie dowiedziałem się następnej rzeczy. Zaczynają sprzedawać kamienie. Ten wielki szmaragd został wczoraj wieczorem zastawiony w lombardzie przez jednego ze stałych klientów. Jak pan myśli, kto to był?

- Nic nie wiem - z wyjątkiem tego, że był to człowiek niskiego wzrostu.

Japp wytrzeszczył oczy: - No cóż, ma pan rację. Facet jest niski. To Rudy Nerwus.

- A kto to jest Rudy Nerwus? - spytałem.

- Wyjątkowo sprytny złodziej, sir. I nie brzydzi się zbrodnią. Zazwyczaj pracuje razem z kobietą, Gracie Kidd, ale tym razem wydaje się, że jej nie było. Chyba że wyjechała do Holandii z resztą łupu.

- Aresztował go pan?

- Pewnie. Ale to nie na nim najbardziej nam zależy; my chcemy dostać faceta, który spotkał się w pociągu z panią Carrington. Jestem pewien, że to on zaplanował zbrodnię. Ale Rudy Nerwus nie wyda kumpla.

Zauważyłem, że oczy Poirota zrobiły się nagle zielne, jak u kota.

- Myślę, że mógłbym znaleźć panu tego kumpla - rzekł spokojnie.

Japp obrzucił Poirota uważnym spojrzeniem.

- Ma pan jeden ze swoich małych pomysłów, co? Niewiarygodne, jak potrafi pan czasem dotrzeć do sedna, i to w pana wieku! Ma pan diabelskie szczęście.

- Może, może - mruknął mój przyjaciel. - Hastings, podaj mi kapelusz. I kalosze, jeśli jeszcze pada. Nie po to wczoraj piłem ziółka, żeby dziś się zaziębić. *Au revoir*, Japp!

- Życzę panu szczęścia, Poirot.

Detektyw przywołał taksówkę i podał adres na Park Lane. Kiedy podjechaliśmy pod dom Hallidaya, zręcznie wyskoczył z auta, zapłacił za kurs i nacisnął dzwonek. Coś szepnął lokajowi, który otworzył nam drzwi, i natychmiast zostaliśmy zaprowadzeni na górę. Weszliśmy do malej schludnej sypialni na ostatnim piętrze.

Oczy Poirota błędziły po pokoju, w końcu zatrzymały się na małym, czarnym kufrze. Klękł przed nim na podłodze i wyjął z kieszeni kawałek skręconego drutu.

- Proszę zapytać pana Hallidaya, czy nie chciałby być tak dobry i przyjść tu do nas - rzekł do lokaja.

Służący odszedł, a Poirot zręcznie i delikatnie grzebał wytrychem w zamku. Po chwili zamek puścił i otworzyliśmy wieko kufra. Mój przyjaciel szybko zaczął szukać czegoś wśród ubrań, wyrzucając je na podłogę.

Usłyszeliśmy ciężkie kroki na schodach i do pokoju wszedł Halliday.

- Co pan tu, do diabła, robi? - spytał zaskoczony widokiem.

- Szukałem tego, *monsieur*.

Poirot wyjął z kufra niebieski płaszcz i spódnicę i oraz toczek z białym foczym futerkiem.

- Czego chcecie od mojego kufra?

Odwróciłem głowę i ujrzałem, że do pokoju wchodzi Jane Mason.

- Zamknij drzwi, Hastings. Dziękuję. Dobrze, oprzyj się o nie. Panie Halliday, chcę panu przedstawić Gracie Kidd, zwaną inaczej Jane Mason, która wkrótce, eskortowana przez inspektora Jappa, dołączy do swego współnika Rudego Nerwusa.

Poirot lekceważąco machnął ręką.

- To było takie proste! - zawołał. Dołożył sobie kawioru.

- Uderzyło mnie, że służąca koniecznie chciała opisać strój swojej pani. Dlaczego tak pragnęła zwrócić na niego uwagę? Pomyślałem, że na potwierdzenie obecności tajemniczego mężczyzny w pociągu w Bristolu mamy tylko jej słowa. Z tego, co stwierdził lekarz, wynikało, że równie dobrze pani Carrington mogła zostać zamordowana przed Bristolem. Ale jeśli tak, to służąca musiała być współniczką mordercy. Gdyby rzeczywiście nią była, na pewno nie chciała, by ta część historii opierała się tylko na jej zeznaniach. Pani Carrington ubrana była w sposób zwracający uwagę. A pokojówka ma zazwyczaj duży wpływ na to, co włoży jej pani. Zatem jeśli już za Bristolem ktoś widział kobietę w niebieskim płaszczu i spódnicy oraz w białym futrzanym toczku, gotów będzie przysięgać, że widział panią Carrington.

Zacząłem rekonstruować wydarzenia. Pokojówka musiałaby postarać się o identyczne ubrania. Razem ze współnikiem uspiłoby panią Carrington chloroformem i zasztyletowali ją gdzieś pomiędzy Londynem a Bristolem, najprawdopodobniej w tunelu. Następnie ciało chowają pod siedzenie, a miejsce pani zajmuje służąca. W Weston musi się jakoś wbić komuś w pamięć. Jak? Najprawdopodobniej wybierze gazeciarza. Na pewno ją zapamięta, jeśli dostanie duży napiwek. Kobieta kieruje również jego uwagę na kolor swojego płaszcza, robiąc uwagę na temat okładki czasopisma. Za Weston wyrzuca nóż przez okno, żeby w ten sposób zasugerować miejsce zbrodni, i przebiera się albo narzuca na siebie długi płaszcz przeciwdeszczowy. W Taunton wysiada i jak najszybciej wraca do Bristolu, gdzie współnik oddał już bagaż do przechowalni. Mężczyzna przekazuje jej kwit i wraca do Londynu. Ona czeka na peronie, grając swoją rolę, idzie na noc do hotelu, a rano wraca do Londynu, tak jak powiedziała.

Kiedy Japp wrócił z wyprawy, potwierdził wszystkie moje wnioski. Powiedział mi również, że znany policji przestępca został przyłapany na sprzedaży kamieni. Wiedziałem, że ktokolwiek to był, na pewno stanowił przeciwieństwo mężczyzny, którego opisała Jane Mason. A kiedy okazało się, że to Rudy Nerwus, który zawsze pracuje wspólnie z Gracie Kidd, to już wiedziałem, gdzie jej szukać.

- A co z hrabią?

- Im więcej o nim myślałem, tym bardziej byłem przekonany, że nie miał z tym nic wspólnego. Ten dżentelmen za bardzo dba o własną skórę, żeby ryzykować morderstwo. Byłoby to niezgodne z jego charakterem.

- Panie Poirot - rzekł Halliday - wiele panu zawdzięczam. Czek, który wypiszę zaraz po lunchu, nie jest w stanie wyrównać rachunków.

Poirot uśmiechnął się skromnie i mruknął:

- Oficjalnie cała zasługa pójdzie na konto naszego drogiego Jappa.

Bombonierka

Była burzliwa noc. Na dworze wyl złowieszczo wiatr, a o szyby biły strugi deszczu.

Poirot i ja siedzieliśmy przy kominku z nogami wyciągniętymi w kierunku wesołego trzaskającego ognia. Na stoliku między nami stał mój gorący poncz, a koło przyjaciela - filiżanka gęstej, gorącej czekolady, której nie wypiłbym za skarby świata. Poirot małymi łydkami popijał z różowej porcelanowej filiżanki gęsty brunatny płyn i wzdychał z zadowoleniem.

- *Quelle belle vie!*[37] - mruknął.

- Co za życie! - zgodziłem się z nim - Ja mam pracę, i to dobrą; ty sławny...

- Oh, *mon ami!* - zaprotestował Poirot.

- Ależ jesteś sławny. I słusznie! Dech mi zapiera. kiedy pomyślę o długim szeregu twoich sukcesów. Nie wierzę, że wiesz, co to klęska!

- Tylko żartowniś mógłby to powiedzieć!

- Poważnie, czy kiedyś coś ci się nie udało?

- Niezliczoną ilość razy, przyjacielu. Jak to sobie wyobrażasz? *La bonne chance*[38] nie zawsze może nam sprzyjać. Czasami za późno mnie wzywano. Często ktoś inny, pracując nad tą samą sprawą, pierwszy docierał do mety. Dwakroć zachorowałem, kiedy sukces pukał już do drzwi. W życiu zdarzają się na zmianę powodzenia i klęski.

- Niezupełnie o to mi chodziło - rzekłem. - Chciałem zapytać, czy kiedyś sknociłeś sprawę z własnej winy.

- Ach, rozumiem, chcesz wiedzieć, czy kiedykolwiek zrobiłem z siebie kompletnego osła, jak wy tu mówicie? Kiedyś tak było, przyjacielu... - Poirot uśmiechnął się melancholijnie - tak, kiedyś sknociłem sprawę.

Nagle wyprostował się w fotelu.

- Wiem, że spisujesz moje sukcesy. Możesz do nich dodać jeszcze jedną historię - historię mojej klęski.

Pochylił się do przodu i włożył polano do kominka, po czym, starannie wytarłszy ręce w ściereczkę wiszącą na gwoździu, rozpoczął opowieść.

- To, o czym ci opowiem, zdarzyło się wiele lat temu w Belgii, w czasie okrutnej walki między Kościołem a państwem we Francji. Było sekretem poliszynela, że Paula Deroularda, znanego francuskiego posła, oczekiwała teka ministra. Deroulard należał do najzacieklejszych wrogów katolicyzmu i należało się spodziewać, że po dojściu do władzy będzie musiał liczyć się z ogromną niechęcią społeczeństwa. Był dziwnym człowiekiem. Mimo że ani nie pił, ani nie palił, w innych dziedzinach przejawiał mniejsze umiarkowanie. Rozumiesz, Hastings, *c'etait des femmes, toujours des femmes!*[39]

Kilka lat wcześniej poślubił młodą kobietę pochodzącą z Brukseli, która wniosła duże wiano. Niewątpliwie jej pieniądze pomogły mu w karierze, ponieważ jego rodzina nie była bogata - choć gdyby chciał, mógłby używać tytułu barona. Nie mieli dzieci, a żona umarła po dwóch latach w rezultacie nieszczęśliwego wypadku. Spadła ze schodów. Odziedziczył po niej między innymi dom w Brukseli przy ulicy Luizy.

To właśnie w tym domu nagle zmarł, co zbiegło się z ustąpieniem ministra, po którym miał

przejąć tekę. We wszystkich gazetach opublikowano długie nekrologi ze szczegółami kariery. Nagłą śmierć Deroularda, która nastąpiła wieczorem, po obiedzie, przypisano atakowi serca. Jak wiesz, jestem *bon catholique*,[40] i jego zejście wydawało mi się pomyślnym wypadkiem.

Po jakichś trzech dniach, kiedy zacząłem urlop, odwiedziła mnie w moim własnym mieszkaniu kobieta - w grubej woalce, ale niewątpliwie młoda. Od razu zorientowałem się, że to *jeune fille tout a fait comme il faut*[41].

- Czy to pan Herkules Poirot? - spytała cichym, słodkim głosem.

Skłoniłem się.

- Detektyw?

Jeszcze raz się skłoniłem.

- Proszę, niech pani usiądzie, *mademoiselle* - rzekłem.

Dziewczyna usiadła na krześle i podniosła woalkę. Miała czarująca twarz, choć naznaczoną wielką troską, ze śladami łez.

- *Monsieur* - powiedziała - wiem, że zaczyna pan urlop. Zatem ma pan czas na prywatne dochodzenie. Widzi pan, nie chcę wzywać policji.

Pokręciłem głową.

- Obawiam się, że prosi pani o rzecz niemożliwą. Na urlopie też jestem policjantem. Dziewczyna pochyliła się ku mnie.

- *Ecoutez*[42], *monsieur*. Wszystko, o co pana proszę, to tylko dochodzenie. Wyniki może pan przekazać policji. Jeśli potwierdzi się to, co podejrzewam, będziemy potrzebowali wsparcia ze strony machiny prawa.

To zmieniło obraz sytuacji i bez większych oporów zaoferowałem swoje usługi.

- Dziękuję, *monsieur* - powiedziała panna, rumieniąc się nieco. - Chciałabym, żeby zbadał pan okoliczności śmierci pana Deroularda.

- *Comment?*[43] - wykrzyknąłem zdziwiony.

- *Monsieur*, nie mam nic, na czym można by się oprzeć, nic oprócz kobiecej intuicji, lecz jestem przekonana, całkowicie przekonana, że pan Deroulard nie zmarł śmiercią naturalną.

- Ale z pewnością lekarze...

- Lekarze mogą się mylić. Był tak krzepki, tak mocny... panie Poirot, proszę, niech mi pan pomoże!

Biedne dziecko. Nie wiedziała, co robić. Z rozpaczy gotowa była przede mną uklęknąć. Staralem się ją pocieszyć najlepiej, jak umiałem.

- Pomogę pani, *mademoiselle*. Jestem niemal pewien, że pani obawy są nieuzasadnione, ale zobaczymy. Najpierw proszę powiedzieć mi, kto mieszka w domu.

- Naturalnie służba domowa: Jeanette, Felice i kucharka Denise - ona jest od wielu lat, pozostałe służące to proste wiejskie dziewczyny. Jest też Francois, lokaj również od wielu lat w rodzinie. Następnie matka pana Deroularda, która z nim mieszkała, i ja. Nazywam się Virginie Mesnard. Jestem ubogą kuzynką świętej pamięci pani Deroulard, żony pana Paula, i od trzech lat mieszkam razem z nimi. To wszyscy stali mieszkańcy. Wtedy byli jeszcze goście.

- Czyli kto?

- Pan de Saint Alard, sąsiad pana Deroularda we Francji, i angielski przyjaciel, pan John Wilson.

- Czy nadal mieszkają u państwa?

- Pan Wilson owszem, ale pan de Saint Alard wczoraj wyjechał.

- A co pani proponuje?

- Jeśli pojawi się pan w domu za jakieś pół godziny. wymyślę historyjkę tłumaczącą pana obecność. Najlepiej, żeby przedstawił się pan jako ktoś związany z dziennikarstwem. Powiem, że przyjechał pan z Paryża i że miał pan liścik polecający od pana de Saint Alarda. *Madame* Deroulard jest słabego zdrowia i nie będzie interesować się szczegółami.

Dzięki pomysłowości panienki wpuszczono mnie do domu i po krótkiej rozmowie z matką zmarłego posła, arystokratką, kobietą imponującą, choć często chorującą - zostałem uznany za gościa.

Zastanawiam się, mój przyjacielu - ciągnął Poirot - czy potrafisz wyobrazić sobie, jak trudne miałem zadanie. Oto człowiek, który zmarł przed trzema dniami. Jeśli nie była to śmierć naturalna, w grę wchodzi jedna możliwość - trucizna! A ja nie miałem okazji zobaczyć ciała ani zbadać, w czym trucizna mogła zostać podana. Nie było żadnych śladów, ani fałszywych, ani prawdziwych. Czy ten człowiek został otruty, czy nie? Ja, Herkules Poirot, nie miałem nic, co by mogło pomóc mi w rozwiązaniu zagadki.

Najpierw, przesłuchałem domowników, i z ich pomocą odtworzyłem wypadki tego wieczoru. Zwróciłem specjalną uwagę na to, co i jak podano na obiad. Zupę nalewał sam monsieur Deroulard z wazy. Następnie kotlety, potem kurczę, w końcu kompot. Wszystkie dania były na stole i podawał sam Deroulard. Kawę przyniesiono w dużym dzbanku. Jak widzisz, niemożliwe byłoby otruć kogokolwiek, nie trując wszystkich!

Po obiedzie pani Deroulard wróciła do swojego pokoju, a panna Virginie poszła razem z nią. Trzej mężczyźni udali się do gabinetu pana domu. Tam przez jakiś czas przyjaźnie rozmawiali, kiedy nagle, bez ostrzeżenia, poseł padł ciężko na podłogę. Pan de Saint Alard wybiegł i powiedział lokajowi, żeby natychmiast zawołał lekarza. Twierdził, że to niewątpliwie apopleksja. Ale kiedy doktor przyszedł, pacjentowi nie można już było pomóc.

John Wilson, któremu przedstawiła mnie panna Virginie, to był typowy Anglik, taki John Bull: w średnim wieku i krzepki. Jego opis zdarzeń, w bardzo angielskiej francuszczyźnie, zasadniczo pokrywał się z tym, co mówili inni. "Deroulard zrobił się bardzo czerwony na twarzy i upadł w dół".

Nic więcej nie miałem tam do szukania, więc udałem się na miejsce zdarzenia, do gabinetu, i na moją prośbę zostawiono mnie samego. Dotychczas nie natrafiłem na nic, co by potwierdzało podejrzenia panny Mesnard. Pomyślałem, że ta cała historia to tylko jej złudzenie. Najwyraźniej podkochiwała się w zmarłym, co nie pozwalało jej rozsądnie spojrzeć na sprawę. Mimo to przeszukałem gabinet niezwykle dokładnie. Było możliwe, że w krzesło zmarłego wbito igłę tak, by udało się zrobić zastrzyk. Maluteńka dziurka po igle łatwo mogła pozostać niezauważona. Ale nie znalazłem nic na poparcie tej teorii. Padłem z rozpaczą na fotel.

- Enfin[44], rezygnuję ze sprawy - powiedziałem sobie głośno. - Nigdzie nie ma najmniejszej poszlaki! Wszystko jest takie zwyczajne!

Ledwie wyrzekłem te słowa, mój wzrok padł na bombonierkę leżącą na pobliskim stoliku i serce skoczyło mi do gardła. Może to nie poszlaka, ale przynajmniej coś było nie tak. Podniosłem pokrywkę. Czekoladki były nienaruszone, nie brakowało ani jednej, ale to tylko podkreślało dziwaczność tego, co zauważyłem. Widzisz, Hastings, pudełko było różowe, ale pokrywka - niebieska. Często widuje się niebieską wstążkę na różowej bombonierce i odwrotnie, ale żeby bombonierka była innego koloru niż pokrywka - nie, *ca ne se voit jamais!*[45]

Jeszcze nie wiedziałem, czy to małe odkrycie na coś mi się przyda, ale postanowiłem zająć się tym bliżej. ponieważ odbiegało od zwyczajności. Zadzwoiłem na Francois i spytałem, czy jego pan lubił słodczy. Na usta sługi wypłynął słaby, melancholijny uśmiech.

- Uwielbiał, *monsieur*. W domu zawsze musiała być bombonierka. Widzi pan, on w ogóle nie pił wina.

- Ale ta nie została jeszcze napoczęta? - spytałem. unosząc pokrywkę.

- *Pardon, monsieur*, ale to nowe pudełko, kupione w dniu jego śmierci, ponieważ poprzednie było niemal puste.

- Zatem tamte czekoladki zostały zjedzone w dniu jego śmierci - powiedziałem powoli.

- Tak, *monsieur*, rano znalazłem puste opakowanie i wyrzuciłem je.

- Czy pan Deroulard jadał słodczy przez cały dzień?

- Zazwyczaj po obiedzie, proszę pana.

Coś mi zaczęło świtać.

- Francois - rzekłem - czy potrafisz zachować sekret?

- Jeśli jest taka potrzeba...

- *Bon!* Zatem wiedz, że jestem z policji. Możesz odszukać dla mnie tamto opakowanie?

- Bez wątpienia, *monsieur*. Będzie wśród śmieci.

Francois odszedł, a po kilku minutach powrócił z zakurzonym przedmiotem. Była to bombonierka do złudzenia przypominająca tę, którą miałem w rękach, tylko że ta była niebieska, a jej pokrywka - różowa. Podziękowałem służącemu, jeszcze raz prosiłem o dyskrecję, po czym natychmiast wyszedłem z domu.

Udałem się do lekarza, który opiekował się panem Deroulardem. Tu miałem trudniejsze zadanie. Chował się za zasłoną naukowych zwrotów i określeń, ale odniosłem wrażenie, że nie był tak pewien swojej diagnozy, jakby chciał.

- Widziałem już wiele tego typu dziwnych przypadków - rzekł, kiedy zdołałem go nieco rozbroić.

- Nagły atak złości, gwałtowne emocje - po ciężkim posiłku, *c'est entendu*[46] - a przy wybuchu złości krew idzie do głowy i już nie ma człowieka.

- Ale pan Deroulard nie doświadczył żadnych gwałtownych emocji.

- Nie? Dowiedziałem się, że doszło do gwałtownej wymiany zdań między nim i panem de Saint Alardem.

- Co było jej powodem?

- *C'est evident!*[47] - Doktor wzruszył ramionami. - Czyż *monsieur* de Saint Alard nie jest fanatycznym Katolikiem? Odmienny stosunek do Kościoła i państwa nadkruszył ich przyjaźń. Nie mijał dzień bez kłótni. W oczach pana de Saint Alarda Deroulard był niemal antychrystem.

To nieoczekiwane odkrycie dało mi do myślenia.

- Jeszcze jedno pytanie, doktorze: czy byłoby możliwe nafaszerować czekoladkę śmiertelną dawką trucizny?

- Podejrzewam, że tak - odparł powoli. - Wystarczyłby czysty kwas pruski, jeśli nie byłoby obawy wyparowania, a małej kuleczki kwasu nikt by nie zauważył przy połykaniu. Tyle że to mało prawdopodobne. Czekoladka pełna morfiny czy strychniny - doktor się skrzywił. - Rozumie pan, panie Poirot, jeden kęs by wystarczył! Ostrożny człowiek nie zważałby na ceremonie i natychmiast to wypluł.

- Dziękuję, panie doktorze.

Wyszedłem z gabinetu i zacząłem rozpytywać w aptekach, szczególnie tych w pobliżu ulicy Luizy. Dobrze jest być z policji. Bez żadnego problemu uzyskałem w jednej potrzebne informacje. Dowiedziałem się, że do interesującego mnie domu dostarczono jakąś truciznę. Były to krople do

oczu, zawierające siarczan atropiny, dla pani Deroulard. Atropina jest silną trucizną i przez chwilę wydawało mi się, że rozwiązałem zagadkę, ale okazało się, że objawy zatrucia atropiną przypominają zatrucie ptomainami i są całkiem inne niż te, które wystąpiły u pana Deroularda. Poza tym recepta była stara. Pani Deroulard od wielu lat cierpiała na kataraktę na obu oczach.

Już się odwracałem, żeby wyjść, kiedy aptekarz zawołał:

- *Un moment, monsieur Poirot*. Przypominam sobie, że dziewczyna, która przyniosła receptę, powiedziała, że musi iść do angielskiej apteki. Może pan tam próbować.

Uczyniłem to. Jeszcze raz, dzięki swojej oficjalnej pozycji, zdobyłem informacje, na których mi zależało. Dzień przed śmiercią pana Deroularda w aptecce zrealizowano receptę dla pana Johna Wilsona, na tabletki zawierające nitroglicerynę. Spytałem, czy mogę je zobaczyć. Gdy mi je pokazano, moje serce zabiło szybciej. Były to tabletki w czekoladzie.

- Czy to trucizna? - spytałem.

- Nie, proszę pana.

- Może opisać mi pan ich działanie?

- Daje się je przy niektórych schorzeniach serca, na przykład przy *angina pectoris*. Obniżają ciśnienie tętnicze. W arteriosklerozie...

Przerwałem mu.

- *Ma foi!* To mi nic nie mówi. Czy człowiek robi się czerwony na twarzy?

- Oczywiście.

- A przypuścimy, że zje dziesięć, dwadzieścia tych małych tabletek. Co wtedy?

- Nie radziłbym próbować - odparł sucho aptekarz.

- A jednak mówi pan, że to nie trucizna.

- Jest wiele środków nie będących truciznami, które nogą zabić.

Wyszedłem ze sklepu w świetnym nastroju. Nareszcie coś!

Teraz wiedziałem, że John Wilson miał środki do popełnienia zbrodni... ale co z motywem? Do Belgii przyjechał w interesach i spytał pana Deroularda, którego trochę znał, czy mógłby się u niego zatrzymać. Śmierć gospodarza nie dawała mu żadnych korzyści. Ponadto z informacji, które dostałem z Anglii, wynikało, że od kilku lat cierpiał na tę bolesną chorobę serca, znaną jako wieńcowa. Zatem miał pełne prawo posiadać te tabletki. Mimo to byłem przekonany, że ktoś grzebał w czekoladkach, najpierw przez pomyłkę otwierając pełne pudełko, potem wyjął ostatnią czekoladkę z drugiego i nafaszerował ją tabletkami nitrogliceryny. Oceniałem, że w jednej pralince mogło zmieścić się jakieś dwadzieścia, trzydzieści pigułek. Ale kto to zrobił? W domu było dwóch gości. John Wilson posiadał narzędzie. De Saint Alard miał motyw. Pamiętaj, to był fanatyk, a nie ma jak religijny fanatyk. Czy on nie mógł ukraść Wilsonowi nitrogliceryny?

Przyszła mi jeszcze jedna myśl do głowy. Aha, śmiejesz się z moich pomysłów! Dlaczego Wilsonowi zabrakło lekarstwa? Z pewnością zabrałby ze sobą z Anglii wystarczający zapas. Jeszcze raz złożyłem wizytę w domu na ulicy Luizy. Wilson wyszedł, ale rozmawiałem z dziewczyną, która sprzątała jego pokój, Felicie. Zapytałem ją natychmiast, czy to prawda, że panu Wilsonowi zginęła buteleczka z umywalki. Dziewczyna potwierdziła, że to prawda i że ją o to oskarżano. Ten Anglik najwyraźniej myślał, że ją zabiła i nie chciała się przyznać. Tymczasem ona jej nawet nie dotknęła. Niewątpliwie to Jeanette... Jest strasznie wścibska.

Zręcznie zatamowałem potok słów i wyszedłem. Wiedziałem już wszystko, co chciałem. Teraz pozostało mi udowodnić moje podejrzenia. Czuję, że to nie będzie łatwe. Mogłem być pewien, że

to de Saint Alard zabrał fiolkę z nitrogliceryną z umywalki Johna Wilsona, ale musiałem o tym przekonać innych i dostarczyć dowody. A tymczasem nie miałem żadnych.

Nieważnie. Wiedziałem, a to było najważniejsze. Pamiętasz, jakie napotkaliśmy trudności w tej sprawie w Styles, Hastings? Tu też wiedziałem, ale długi czas szukałem ostatniego ogniwa w łańcuchu dowodów przeciw mordercy.

Postanowiłem pomówić z *mademoiselle* Mesnard. Przyszła od razu. Poprosiłem o adres pana de Saint Alard. Spojrzała na mnie zaniepokojona.

- Po co panu ten adres, *monsieur*?

- *Mademoiselle*, jest mi niezbędny.

Jej oczy były zmartwione i wątpliwe.

- Nic panu nie powie. To człowiek, którego myśli nie są z tego świata. Ledwie zauważa, co się wokół niego dzieje.

- Możliwe, *mademoiselle*. Niemniej to stary przyjaciel pana Deroularda. Może powie mi o czymś... z przeszłości, o jakichś starych żalach... miłościach.

Dziewczyna zaczerwieniła się i przygryzła wargi.

- Jak pan chce, ale... ale teraz jestem pewna, że musiałam się mylić. To miłe z pana strony, że zgodził się pan na moją prośbę, ale wtedy byłam wytracona z równowagi, niemal oszołomiona. Teraz widzę, że nie ma w tym żadnej tajemnicy. Proszę pana, niech pan zostawi tę sprawę, *monsieur*.

Przyjrzałem się jej uważnie: - *Mademoiselle*, czasami psu myśliwskiemu trudno jest trafić na trop, ale jak już nań trafi, nic na świecie nie zawróci go z drogi! Naturalnie, jeśli to dobry pies myśliwski. A ja, *mademoiselle*, Herkules Poirot, jestem psem doskonałym.

Bez słowa odwróciła się i wyszła. Po kilku minutach wróciła z adresem wypisanym na kartce papieru. Wyszedłem z domu. Na zewnątrz czekał Francois. Spojrzył na mnie zaniepokojony.

- Nie ma pan żadnych wieści, *monsieur*?

- Jeszcze nie, przyjacielu.

- Ah! *Pauvre monsieur*[48] Deroulard! - westchnął. - Ja podzielałem jego poglądy. Nie dbam o księży. Ale nie powiedziałbym tego w domu. Wszystkie kobiety są pobożne - co może i dobrze. *Madame est tres pieuse - et mademoiselle Virginie aussi*[49].

Mademoiselle Virginie? Czy ona była rzeczywiście *tres pieuse*? Zastanawiałem się nad tym, przypominając sobie jej namiętną twarz ze śladami łez tego dnia, kiedy pierwszy raz ją widziałem.

Uzyskawszy adres pana de Saint Alarda, nie traciłem czasu. Pojechałem w okolice jego zamku w Ardenach, ale dopiero po kilku dniach znalazłem pretekst, by wejść do środka. W końcu się udało! Wyobraź sobie, znalazłem się tam w charakterze hydraulika, *mon ami*! Ledwie moment zajęło mi wyprodukowanie nieszczelności w rurze gazowej w jego sypialni. Poszedłem po narzędzia i postarałem się wrócić o takiej porze, kiedy wiedziałem, że nikt nie powinien mi przeszkadzać. Sam jednak nie wiedziałem, czego szukam. Nie było wszak szansy na znalezienie jedynej rzeczy, którą naprawdę chciałem znaleźć. Przecież nie ryzykowałby trzymania jej w domu!

A jednak, kiedy okazało się, że szafka nad umywalką jest zamknięta, nie mogłem powstrzymać się od pokusy zajrzenia do niej. Zamek był prosty i łatwo dał się otworzyć wytrychem. Drzwiczki stanęły otworem. Szafka była pełna starych buteleczek. Drżącą ręką wziąłem jedną z nich. Nagle krzyknąłem. Wyobraź sobie, przyjacielu, na mojej dłoni spoczywała fiolka z etykietką z angielskiej apteki. Widniały na niej słowa: "Nitrogliceryna w tabletkach. Przyjmować tylko w razie konieczności. Pan

John Wilson”.

Opanowałem się, zamknąłem szafkę, włożyłem buteleczkę do kieszeni i zabrałem się za uszczelnianie rury! W końcu należy być metodycznym. Jak najszybciej wróciłem do kraju. Do Brukseli przybyłem późną nocą. Rankiem, kiedy pisałem raport dla prefekta, przyniesiono mi list od *madame* Deroulard, w którym prosiła o niezwłoczne przybycie do domu na ulicę Luizy.

Drzwi otworzył François.

- Pani baronowa czeka na pana.

Poprowadził mnie do jej pokojów. Pani Deroulard siedziała w dużym fotelu. Nie było śladu *mademoiselle* Virginie.

- Panie Poirot - rzekła starsza dama - dowiedziałam się właśnie, że nie jest pan tym, kogo pan udaje. Jest pan policjantem.

- Tak jest, *madame*.

- Przyszedł pan tu zbadać okoliczności śmierci mojego syna?

Znowu przyznałem się:

- Tak jest, *madame*.

- Byłabym zobowiązana, gdyby powiedział mi pan, do czego pan doszedł. Zawahałem się.

- Po pierwsze, chciałbym zapytać, skąd pani o tym wie.

- Dowiedziałam się od kogoś, kto nie jest już z tego świata.

Jej słowa, jak również ton, którym je wypowiedziała, spowodowały, że przebiegł mnie dreszcz. Nie mogłem wydobyć z siebie głosu.

- Dlatego, *monsieur*, proszę pana usilnie, aby powiedział, jaki jest wynik pańskich dochodzeń.

- *Madame*, skończyłem dochodzenie.

- A mój syn?

- Został zamordowany.

- Wie pan, kto to uczynił?

- Tak, *madame*.

- A zatem, kto?

- Pan de Saint Alard.

- To pomyłka. Pan de Saint Alard jest niezdolny do popełnienia zbrodni.

- Mam dowody.

- Raz jeszcze proszę, niech mi pan wszystko opowie.

Tym razem usłuchałem jej, relacjonując krok po kroku drogę do odkrycia prawdy. Starsza pani słuchała uważnie. W końcu skinęła głową.

- Tak, tak, wszystko się zgadza, z wyjątkiem jednego. To nie pan de Saint Alard zabił mojego syna. Zrobiłam to ja, jego matka.

Patrzyłem na nią z niedowierzaniem. Pani Deroulard łagodnie kiwała głową.

- Zatem dobrze, że posłałam po pana. Łaska boska, że Virginie o wszystkim mi powiedziała, zanim poszła do klasztoru. Proszę posłuchać, panie Poirot. Mój syn był złym człowiekiem. Prześladował Kościół. Żył w grzechu śmiertelnym. Ciągnął za sobą do piekła również inne dusze. Ale zdarzyło się coś jeszcze gorszego. Pewnego dnia rano, kiedy wyszłam ze swojego pokoju, zobaczyłam synową, stojącą u szczytu schodów i czytającą list. Widziałam, jak syn skrada się od tyłu. Jedno szybkie pchnięcie i ona pada, uderzając głową w marmurowe stopnie. Kiedy zbiegli się

domownicy, już nie żyła. Mój syn był mordercą, i tylko ja, jego matka, o tym wiedziałam.

Na chwilę zamknęła oczy.

- Nie może pan sobie wyobrazić, *monsieur*, mojej rozpacz. Co miałam robić? Zadenuncjować go na policji? Nie potrafiłam się na to zdobyć. To był mój obowiązek, ale ciało było mdłe. Poza tym, czyby mi uwierzono? Od jakiegoś czasu coraz gorzej widziałam: powiedziano by, że musiałam się pomylić. Zatem milczałam. Lecz sumienie nie dawało mi spokoju. Milcząc, również byłam morderczynią. Syn odziedziczył majątek żony. A teraz miał otrzymać tekę ministra! Na pewno z podwójną energią zacząłby prześladować Kościół. Do tego jeszcze Virginie. Biedne dziecko. Piękna dziewczyna, z natury pobożna, była nim zafascynowana. Syn miał dziwną, straszną władzę nad kobietami. Widziałam, co się kroi, ale nie mogłam temu zapobiec. On nie miał zamiaru się z nią ożenić. Przyszedł czas, kiedy Virginie gotowa była wszystko dla niego zrobić.

I wtedy zobaczyłam wyjście z sytuacji. To był mój syn, ja dałam mu życie. Byłam za niego odpowiedzialna. Zabił ciało jednej kobiety, teraz zabije duszę innej! Weszłam do pokoju pana Wilsona i zabrałam fiolkę z lekarstwem. Kiedyś w żartach powiedział, że wystarczy ich, by zabić człowieka. Poszłam z nimi do gabinetu i otworzyłam dużą bombonierkę, która zawsze stała na stole. Pomyłkowo otwierałam jednak zupełnie nowe pudełko - Obok stało drugie - w środku była tylko jedna czekoladka. To upraszczało sprawę. Nikt nie jadał czekoladek oprócz mojego syna i Virginie. Tego wieczoru postanowiłam trzymać ją przy sobie. Wszystko poszło tak, jak zaplanowałam...

Urwała, przez moment siedziała z zamkniętymi oczyma, po czym znowu je otworzyła.

- Panie Poirot, jestem w pana rękach. Lekarze mówią, że niedługo pożyję. Jestem gotowa odpowiedzieć przed Bogiem za mój czyn, Czy na ziemi również muszę to zrobić?

Zawahałam się.

- Ale, *madame*, pusta buteleczka... - rzekłam, pragnąc zyskać na czasie. - Jak trafiła do rąk pana de Saint Alarda?

- Kiedy przyszedł się ze mną pożegnać, wsunęłam mu ją do kieszeni. Nie wiedziałam, jak się jej pozbyć. Jestem tak niedołączna, że nie mogę poruszać się o własnych siłach, a pusta buteleczka w moim pokoju wzbudziłaby podejrzenia. Rozumie pan, *monsieur* - wyprostowała się dumnie - nie zamierzałam rzucać podejrzeń na pana de Saint Alarda! Do głowy mi to nie przyszło.

Pomyślałam, że jego lokaj znajdzie pustą fiolkę i wyrzuci ją bez chwili namysłu.

Skłoniłam głowę: - Rozumiem, *madame*.

- I co pan postanawia, *monsieur*? - spytała głosem mocnym, bez drżenia.

Podniosłam się z krzesła.

- *Madame* - odparłam - mam zaszczyt życzyć pani miłego dnia. Moje dochodzenie skończyło się klęską. Sprawa zamknięta.

Poirot przez chwilę milczał, po czym rzekł cicho:

- Zmarła tydzień później. Mademoiselle Virginie skończyła nowicjat i złożyła śluby. To, przyjacielu, cała historia. Muszę przyznać, że nie bardzo się tu odznaczyłem.

- Ale trudno to nazwać klęską - zaprotestowałam. - Cóż innego mogłeś zrobić w tej sytuacji?

- *Ah sacre, mon ami* - zawołał Poirot, nagle się ożywiając. - Naprawdę nie rozumiesz? Byłem po tysiąc razy idiotą! A gdzie moje szare komórki? Cały czas miałem w rękach wskazówkę.

- Jaką wskazówkę?

- Bombonierkę! Nie rozumiesz? Czy osoba o dobrym wzroku popełniłaby taki błąd? Wiedziałem, że *madame* Deroulard ma zaćmę - przecież brała krople. W całym domu była tylko jedna osoba ze

wzrokiem na tyle słabym, by nie rozróżnić, która pokrywka jest od którego pudełka. To bombonierka była pierwszą rzeczą, która obudziła moje podejrzenia, a jednak do samego końca nie zorientowałem się, jak bardzo jest ważna.

Wadliwe było również moje rozumowanie. Gdyby pan de Saint Alard był winien, nie trzymałby obciążającej go buteleczki. Znalezienie jej dowodziło jego niewinności. Wiedziałem przecież od panny Virginie, że jest roztargniony. Pod każdym względem żałosna historia. Tylko tobie ją opowiedziałem. Rozumiesz, nie pokazuje mnie w dobrym świetle. Starsza dama popełnia zbrodnię w tak prosty i sprytny sposób, że zwodzi mnie, Herkulesa Poirota. *Sapristi!* Lepiej o tym zapomnij. Albo nie - zapamiętaj tę historię i za każdym razem, kiedy zauważysz, że robię się zarozumiały - co jest mało prawdopodobne, ale może się zdarzyć...

Postarałem się powstrzymać śmiech.

- ...wówczas, przyjacielu, powiesz mi: "bombonierka". Zgoda?

- Załatwione!

- W każdym razie - rzekł Poirot z zadumą - było to doświadczenie. Ja, który szczycę się niewątpliwie najlepszym mózgiem w Europie, mogę pozwolić sobie na wielkoduszność.

- Bombonierka - mruknąłem cicho.

- *Pardon, mon ami?*

Spojrzałem w niewinną twarz Poirota, pochylającego się ku mnie pytająco, i poczułem nagły wyrzut sumienia. Często cierpiałem z powodu jego języka, ale i ja, choć nie jestem posiadaczem najlepszego mózgu w Europie, mogę pozwolić sobie na wielkoduszność.

- Nic takiego - skłamałem i zapaliłem fajkę, uśmiechając się do siebie.

Projekt okrętu podwodnego

List został przyniesiony przez umyślnego. Poirot przeczytał go i w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania. W krótkich słowach odprawił posłańca, po czym rzekł do mnie:

- Pakuj szybko walizki, przyjacielu. Jedziemy do Sharples.

Drgnąłem, usłyszawszy nazwę słynnej wiejskiej rezydencji lorda Allowaya. Nowy szef Ministerstwa Obrony, lord Alloway, był wybitnym członkiem rady ministrów. Jeszcze jako sir Raiph Curtis, dyrektor wielkiej firmy inżynierskiej, odznaczył się w izbie gmin, a teraz mówiło się, że ma przed sobą wielką przyszłość. że jeśli potwierdzą się pogłoski o chorobie Davida MacAdama, to jemu prawdopodobnie zostanie powierzone zadanie sformowania rady ministrów.

Przed domem czekał na nas duży rolls-royce. Kiedy sunęliśmy przez mroczne ulice, spytałem Poirota:

- Co się stało, że przysłali po nas o tej godzinie? - było po jedenastej.

Poirot pokręcił głową.

- Pewnie coś nie cierpiącego zwłoki - odparł.

- Pamiętam - rzekłem - że kilka lat temu Ralph Curtis, jak się wówczas nazywał, zamieszany był w jakiś skandal związany zdaje się z manipulowaniem akcjami. W końcu został całkowicie oczyszczony z podejrzeń. Może tym razem zdarzyło się coś podobnego?

- W takiej sytuacji nie musiałby chyba wzywać mnie w środku nocy.

Musiałem przyznać mu rację i reszta podróży upłynęła w milczeniu. Gdy wyjechaliśmy z Londynu, samochód gwałtownie przyśpieszył i do Sharples dojechaliśmy w nieco mniej niż godzinę.

Dostojny kamerdyner poprowadził nas do małego gabinetu, w którym czekał na nas lord Alloway - wysoki, szczupły mężczyzna, promieniujący siłą i energią. Na nasz widok zerwał się na równe nogi i podszedł się przywitać.

- Panie Poirot, ogromnie się cieszę, że pana widzę. To już drugi raz rząd pana potrzebuje. Doskonale pamiętam, jakie zasługi położył pan w czasie wojny, kiedy w tak niezwykle sposób porwano premiera. Pańskie mistrzowskie dedukcje - że nie wspomnę o dyskrecji - uratowały sytuację.

W oczach Poirota zabłysła iskierka.

- Czy dobrze zgaduję, milordzie, że to jest drugi wypadek, kiedy konieczna jest... dyskrecja?

- Jak najbardziej. Sir Harry i ja... ach, chciałbym panów sobie przedstawić. Admirał sir Harry Weardale, szef admiralicji, pan Poirot, i hmm kapitan...

- Hastings - podsunąłem.

- Nieraz słyszałem o panu, panie Poirot - rzekł sir Harry, podając nam ręce. - Mamy tu całkowicie niezrozumiałe wydarzenie, i będziemy panu wdzięczni, jeśli zdoła je pan wyjaśnić.

Od razu poczułem sympatię do lorda admirała, barczystego, rubasznego mężczyzny w typie marynarzy starej daty.

Poirot spojrzał na nich pytająco i Alloway zaczął.

- Naturalnie, rozumie pan, że zdradzam panu tajemnicę. Ponieśliśmy ogromną stratę. Zostały

skradzione projekty nowego okrętu podwodnego typu Z.

- Kiedy się to stało?

- Dziś... niecałe trzy godziny temu. Czy rozumie pan rozmiar tej klęski? Informacja o stracie nie może dostać się do wiadomości publicznej. Pokrótkę zreferuję panu fakty. Na weekend przyjechali do mnie z wizytą admirał z żoną i synem oraz pani Conrad, dobrze znana w londyńskim towarzystwie. Kobiety wcześniej udały się spać, około dziesiątej. Admirał Weardale również. Sir Harry przyjechał tu w celu przedyskutowania ze mną konstrukcji nowego typu okrętu podwodnego. Poprosiłem zatem mojego sekretarza, pana Fitzroya, aby wyjął projekty z sejfu w rogu oraz przygotował inne dokumenty dotyczące tego tematu. Czekaając, aż wszystko będzie gotowe, admirał i ja przechadzaliśmy się po tarasie. paląc cygara i ciesząc się ciepłym czerwcowym wieczorem. Skończyliśmy cygara i postanowiliśmy zabrać się do roboty. Kiedy zawracaliśmy wydawało mi się, że tam, na końcu tarasu, widzę jakiś cień, wychodzący z domu i znikający w ciemnościach. Nie zwróciłem na to uwagi, ponieważ wiedziałem, że w gabinecie jest Fitzroy, i nie przyszło mi do głowy, że coś może być nie w porządku. Naturalnie, to moja wina. No cóż. Gdy wchodziliśmy do gabinetu z tarasu, Fitzroy akurat wchodził tam drzwiami prowadzącymi z hallu.

- Wyjąłeś wszystko, czego będziemy potrzebować. Fitzroy? - spytałem.

- Tak myślę, milordzie. Dokumenty są na biurku - odparł i życzył nam dobrej nocy.

- Jeszcze chwileczkę - powiedziałem, podchodząc do biurka. - Może będziemy jeszcze czegoś potrzebowali.

Szybko przerzuciłem dokumenty.

- Zapomniał pan o najważniejszym, panie Fitzroy. O projektach okrętu.

- Są na samym wierzchu, milordzie.

- Nie ma ich - odparłem, przeglądając kartki.

- Położyłem je tam przed minutą!

- Ale teraz ich nie ma.

Fitzroy podszedł, zdziwiony. Wydawało się to nieprawdopodobne. Przekartkowaliśmy wszystko, co leżało na biurku, przeszukaliśmy sejf, w końcu zrozumieliśmy, że dokumenty zniknęły, i to w ciągu zaledwie trzech minut, kiedy sekretarza nie było w pokoju.

- Dlaczego wyszedł z pokoju? - zainteresował się Poirot.

- O to samo go pytałem! - wykrzyknął sir Harry.

- Okazuje się - odparł lord Alloway - że kiedy skończył układać dokumenty na biurku, usłyszał kobiecy krzyk. Wybiegł do hallu. Na schodach stała pokojówka pani Conrad, blada i wystraszona, twierdząc, że zobaczyła ducha: wysoką postać w bieli, poruszającą się bezszelestnie. Fitzroy wyśmiał ją i w grzeczny sposób dał dziewczynie do zrozumienia, że mówi bzdury. Po czym wrócił do gabinetu, akurat kiedy my wchodziliśmy tam od ogrodu.

- Wszystko wydaje się jasne - powiedział Poirot w zamyśleniu - z wyjątkiem jednej kwestii. Czy pokojówka jest współniczką? Czy krzyczała, ponieważ uzgodniła tak z kimś czającym się na zewnątrz, czy też złodziej czekał w ukryciu na sposobność? Podejrzewam, że pan widział mężczyznę, nie kobietę, prawda?

- Powiadam panu, panie Poirot, że to był tylko cień. Prychnięcie, jakie wydał z siebie admirał, nie dawało się zignorować.

- Jak sądzę, pan admirał ma coś do powiedzenia - zauważył Poirot z lekkim uśmiechem. - Pan też

widział ten cień, sir Harry?

- Nie widziałem. I Alloway też nie widział. Pewnie i zauważył kołyszącą się gałąź drzewa, a potem, kiedy odkryliśmy kradzież, pochopnie wyciągnął wniosek, że widział kogoś na tarasie. To wszystko jest wina wyobraźni.

- Zazwyczaj nie przypisuje mi się wybujałej wyobraźni - odrzekł lord Alloway, uśmiechając się pod nosem.

- Bzdura, wszyscy mamy wyobraźnię. Sami się doprowadzamy do tego i wierzymy, że widzieliśmy więcej niż w rzeczywistości. Mam za sobą lata doświadczenia na morzu i jestem gotów założyć się, że widzę lepiej niż jakikolwiek szczer lądowy. Patrzyłem na taras i gdyby było coś do zobaczenia, tobym zobaczył.

Admirał był najwyraźniej podniecony. Poirot wstał i szybko podszedł do drzwi prowadzących do ogrodu.

- Można? - zapytał. - Jeżeli to możliwe, powinniśmy rozstrzygnąć ten problem.

Wyszedł na taras, a my za nim. Z kieszeni wyjął latarkę i w jej świetle oglądał trawę wokół tarasu.

- Gdzie pan widział ten cień, milordzie? - spytał.

- Powiedziałbym, że mniej więcej naprzeciw drzwi.

Jeszcze kilka minut zajęły Poirotowi dokładne oględziny tarasu w świetle latarki, po czym zgasił ją i wyprostował się.

- Sir Harry ma rację, a pan się mylił, milordzie - rzekł cicho. - Wieczorem spadł rześisty deszcz. Każdy kto by szedł po trawie, musiałby zostawić ślady. A tymczasem nic nie ma.

Poirot przenosił spojrzenie z twarzy jednego mężczyzny na twarz drugiego. Lord Alloway był zdumiony i nie przekonany, natomiast sir Harry głośno wyraził zadowolenie.

- Wiedziałem, że nie mogę się mylić - mówił. - Na swoich oczach mogę naprawdę polegać.

Przedstawiał sobą tak typowy okaz wilka morskiego, że nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

- Zatem zostają tylko domownicy i goście - rzekł gładko Poirot. - Wróćmy zatem do nich. Milordzie, czy ktoś mógł wejść do gabinetu z hallu, w czasie kiedy pan Fitzroy rozmawiał z pokojówką na schodach?

Lord Alloway pokręcił głową.

- To niemożliwe. Złodziej musiałby przejść koło niego.

- A sam Fitzroy... jest pan go pewien?

Lord Alloway poczerwieniał.

- Absolutnie, panie Poirot. Mogę ręczyć za mojego sekretarza. To wykluczone, by w jakikolwiek sposób był zamieszany w tę sprawę.

- Wszystko wydaje się niemożliwe - zauważył Poirot oschle. - Może projekty same przyczepiły sobie skrzydełka i odfrunęły... *comme ca!* - Poirot dmuchnął, wyjąwszy zabawnie policzki jak cherubinek.

- To w ogóle jest niemożliwe - zniecierpliwiał się lord Alloway - ale błagam, niech pan nie podejrzewa Fitzroya. Niech pan tylko pomyśli: mógł przecież z łatwością przekalkować te projekty, nie musiał ich kraść!

- Uwaga jak najbardziej *bien juste*[50], milordzie - przyznał Poirot. - Widzę, że ma pan umysł porządny i metodyczny. L'Angleterre może być z pana dumna.

Lord Alloway poczuł się skrępowany tą nieoczekiwaną pochwałą. Poirot powrócił do tematu.

- Pokój, w którym państwo spędzili cały wieczór...

- Byliśmy w salonie...

- ...też ma drzwi na taras; pamiętam, jak pan wspomniał, że tamtędy pan wyszedł. Czy złodziej mógł wyjść na taras drzwiami z salonu i wejść do gabinetu od tarasu, w czasie kiedy pan Fitzroy był nieobecny, a potem wrócić tą samą drogą?

- Ależ zobaczylibyśmy go! - zaproponował admirał.

- Nie wtedy, gdyby panowie byli do niego odwróceny plecami.

- Fitzroya nie było tylko parę minut, tyle ile zajęłoby nam dojście do końca tarasu i z powrotem.

- Nieważne. To tylko możliwość. Zresztą jedyna w tej sytuacji.

- Ale kiedy wychodziliśmy, w salonie nikogo już nie było - rzeki admirał.

- Ktoś mógł przyjść później.

- Chce pan powiedzieć - zapytał lord Alloway - że kiedy Fitzroy usłyszał krzyki pokojówki i wyszedł do hallu, ktoś ukryty w salonie pobiegł do gabinetu i z powrotem, a z salonu wyszedł, dopiero kiedy Fitzroy zdążył tu wrócić?

- Ma pan metodyczny umysł - odparł Poirot z ukłonem. - Doskonale pan przedstawił tę sprawę.

- Może to ktoś ze służby?

- Albo gość. Krzyczała pokojówka pani Conrad. Co może mi pan powiedzieć na temat pani Conrad?

Lord Alloway namyślał się przez chwilę.

- Mówiłem już, że jest to osoba znana w towarzystwie, w tym sensie, to prawda, że wydaje duże przyjęcia i wszędzie można ją spotkać. Ale niewiele wiadomo o jej przeszłości i skąd naprawdę pochodzi. Bardzo chętnie przebywa w towarzystwie ludzi z kręgów dyplomatycznych i związanych z Ministerstwem Spraw Zagranicznych - ale z jakich powodów? Secret Service też to interesuje.

- Rozumiem - odparł Poirot. - A teraz dostała zaproszenie...

- Żebyśmy mogli - jak by to wyrazić? - mieć ją na oku.

- *Parfaitement!* Możliwe, że pobiła was waszą własną bronią.

Lord Alloway zmieszał się.

- Proszę mi powiedzieć, milordzie - ciągnął Poirot - czy w jej obecności czynione były jakieś aluzje na temat tego, o czym mieli panowie dyskutować?

- Tak - przyznał gospodarz. - Sir Harry rzekł: "A teraz zabieramy się za nasz okręt podwodny", czy coś w tym rodzaju. Wszyscy wyszli, ale ona wróciła jeszcze po książkę.

- Rozumiem - mruknął Poirot. - Milordzie, jest już późno, ale to ważna sprawa. Chciałbym porozmawiać z pozostałymi gośćmi. Jeśli to możliwe - natychmiast.

- Naturalnie, że to możliwe - zgodził się lord Alloway. - Tylko że nie chcielibyśmy, by ta sprawa się rozniosła. Oczywiście lady Juliet Weardale i młody Leonard są poza podejrzeniem... ale pani Conrad to zupełnie co innego. Może by pan po prostu powiedział, że zginął ważny dokument, nie mówiąc dokładnie, co to jest, i nie wchodząc w okoliczności jego zniknięcia?

- Dokładnie to samo chciałem zaproponować - rozpromienił się Poirot. - W każdym z trzech przypadków. Niech mi pan admirał wybaczy, ale nawet najlepsze z żon...

- Nie obrażam się - powiedział sir Harry. - Wszystkie kobiety to gaduły. Choć wolałbym, żeby Juliet trochę więcej mówiła, a trochę mniej grała w brydża. Ale w dzisiejszych czasach kobiety są nieszczęśliwe, jeśli nie tańczą albo nie uprawiają hazardu. Zbudzę Juliet Leonarda, co, Alloway?

- Dziękuję ci. Ja zawołam pokojówkę. Pan Poirot tak będzie chciał z nią porozmawiać, a ona może zbudzić swoją panią. Zrobię to natychmiast, a tymczasem przyślę tu Fitzroya.

Pan Fitzroy był bladym, szczupłym młodzieńcem o surowej twarzy, ozdobionej pince-nez. Jego zeznanie niemal słowo w słowo powtarzało to, co powiedział lord Alloway.

- A jaka jest pańska teoria, panie Fitzroy?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Niewątpliwie ktoś wtajemniczony w sprawę czekał na zewnątrz. Przez oszklone drzwi widział, co się dzieje, i wkradł się, gdy wyszedłem z pokoju. Szkoda, że lord Alloway nie pobiegł za nim wtedy, kiedy widział, jak się wymyka.

Poirot nie wyprowadził go z błędu. Zamiast tego zapytał:

- Wierzy pan w to, co mówiła pokojówka? Że zobaczyła ducha?

- Nie bardzo, panie Poirot.

- Chodzi mi o to, czy ona naprawdę tak myślała?

- Ach, jeśli o to chodzi, to nie wiem. Na pewno wyglądała na wytrąconą z równowagi. Rękami obejmowała głowę.

- Ach! - zawołał Poirot tonem kogoś, kto dokonał odkrycia. - Naprawdę? To niewątpliwie ładna dziewczyna?

- Nie zwróciłem uwagi - odparł Fitzroy lodowatym głosem.

- Przypuszczam, że nie widział pan jej pani?

- Owszem, widziałem. Stała na galeryjce u szczytu schodów i wołała ją: "Leonie!". Jak mnie zobaczyła, oczywiście cofnęła się do pokoju.

- Była na górze - rzekł Poirot, marszcząc brwi.

- Naturalnie zdaję sobie sprawę, że jestem w niemiłym położeniu... a raczej byłbym, gdyby lord Alloway nie widział złodzieja. W każdym razie pragnąłbym, aby pan przeszukał mój pokój. I zrewidował mnie.

- Naprawdę pan tego chce?

- Oczywiście.

Nie wiem, co by zrobił Poirot, ale w tej chwili pojawił się lord Alloway i powiedział, że obie kobiety Leonard Weardale są w salonie.

Panie miały na sobie twarzowe neglige. Pani Conrad była piękną złotowłosą trzydziestopięcioletnią kobietą z lekką skłonnością do zaokrąglania się. Lady Juliet Weardale musiała mieć około czterdziestki, szczupła wysoka, jeszcze piękna, z eleganckimi dłońmi i stopami, i pewną nerwowością w zachowaniu. Jej syn, nieco zniewieściały młodzieniec, stanowił całkowite przeciwieństwo krzepkiego, rześkiego ojca.

Poirot opowiedział bzdurną historyjkę, którą wymyśliliśmy wspólnymi siłami, a potem wyjaśnił, że pragnąłby dowiedzieć się, czy ktoś coś widział lub słyszał.

Najpierw odwrócił się do pani Conrad i spytał, czy byłaby tak miła i powiedziała dokładnie, co robiła wieczorem.

- Chwileczkę... poszłam na górę. Zadzwoiłam na pokojówkę. Ponieważ się nie zjawiała, wyszłam i zawołałam ją. Słyszałam, jak rozmawia na schodach. Kiedy wyszczotkowała mi włosy, odesłałam ją, bo była dziwnie zdenerwowana. Chwilę poczytałam i poszłam spać.

- A pani, lady Juliet?

- Poszłam na górę i od razu się położyłam. Byłam bardzo zmęczona.

- A co z twoją książką, moja droga? - spytała pani Conrad ze słodkim uśmiechem.

- Z książką? - lady Juliet zarumieniła się.

- Wiesz, kiedy odesłałam Leonie, wchodziłaś akurat po schodach. Powiedziałaś, że wróciłaś do salonu po książkę.

- Ach, rzeczywiście, schodziłam... Zupełnie zapomniałam - lady Juliet nerwowo splotła rękę.

- Milady, czy słyszała pani krzyk pokojówki pani Conrad?

- Nie... nie słyszałam.

- To dziwne... ponieważ w tym czasie musiała pani być w salonie.

- Nic nie słyszałam - odparła lady Juliet pewniejszym głosem.

Poirot odwrócił się do Leonarda.

- *Monsieur?*

- Nic pan ze mnie nie wydobędzie. Poszedłem na górę i od razu położyłem się spać.

Poirot pogładził się po brodzie.

- Hm, obawiam się, że to niewiele mi pomoże. *Mesdames et monsieur*, przykro mi, że dla tak nikłych rezultatów wyciągałem państwa z łóżka. Błagam, proszę mi wybaczyć.

Przepraszając i gestykulując z emfazą, odprowadził całe towarzystwo do hallu. Kiedy wrócił, przyprowadził ze sobą francuską pokojówkę, ładną dziewczynę z tupetem. Alloway i Weardale wyszli razem z paniami.

- A teraz, *mademoiselle* - powiedział Poirot rześko - proszę darować sobie bajki i powiedzieć nam prawdę. Dlaczego pani krzyczała na schodach?

- Ach, *monsieur*, zobaczyłam wysoką postać... całą białą...

Poirot energicznie pogroził jej palcem.

- Przecież prosiłem, żeby było bez bajek. Spróbuję zgadnąć. Pocałował panią, prawda? Mam na myśli Leonarda Weardale'a.

- Ah, *monsieur*, w końcu cóż to jest, pocałunek?

- W zaistniałych okolicznościach rzecz jak najbardziej naturalna - odparł szarmancko Poirot. - Ja sam. czy też Hastings... ale proszę opowiedzieć to dokładnie.

- Podszedł od tyłu i mnie złapał. Wystraszyłam się krzyknęłam. Gdybym wiedziała, to bym nie krzyczała...ale on podkradł się cicho jak kot. A potem wyszedł *monsieur le secretaire*. Pan Leonard pognął na górę. A co ja mogłam powiedzieć? Szczególnie takiemu *jeune homme comme ca - tellement comme il faut*[51]? Ma foi, wymyśliłam ducha.

- Wszystko się wyjaśniło - zawołał dobrodusznie Poirot. - Potem pani udała się do pokoju *madame* Conrad. A propos, który to pokój?

- Na samym końcu. Tam.

- Zatem dokładnie nad gabinetem. *Bien, mademoiselle*. Nie będę pani dłużej zatrzymywał. *A la prochaine fois*[52], niech pani nie krzyczy.

Gdy wyszła, Poirot podszedł do mnie z uśmiechem.

- Ciekawy przypadek, nieprawdaż, Hastings? Mam już kilka pomysłów. *Et vous?*[53]

- Co robił Leonard Weardale na schodach? Nie podoba mi się ten młodzieniec. Powiedziałbym, że to łobuz.

- Zgadza się, *mon ami*.

- Fitzroy wydaje się uczciwy.

- Lord Alloway bardzo to podkreśla.

- A jednak jest coś w jego zachowaniu...

- Zbyt dobre, żeby było prawdziwe? Sam tak sędzę. Z drugiej strony, nie można tego powiedzieć o naszej pani Conrad.

- I ma pokój nad gabinetem - powiedziałem zadufanym tonem, bystro obserwując Poirota.

On zaś pokręcił głową.

- Nie, *mon ami* - odparł z lekkim uśmiechem na ustach - nie mogę sobie wyobrazić, by ta elegancka dama spuszczała się po kominie czy z balkonu.

Nagle otworzyły się drzwi i ku mojemu ogromnemu zdziwieniu do salonu wśliznęła się lady Weardale.

- Panie Poirot - powiedziała bez tchu - mogę z panem pomówić na osobności?

- Milady, kapitan Hastings to moje drugie ja. W jego obecności może pani mówić śmiało, jakby go wcale nie było. Proszę, niech pani usiądzie.

Usiadła, nie spuszczając oczu z Poirota.

- Nie jest mi łatwo powiedzieć, z czym tu przyszedłam. Pan prowadzi tę sprawę. A gdyby... dokumenty zwrócono, czy zostałyby zakończona? To znaczy bez zadawania pytań?

Poirot uważnie przypatrywał się rozmówczyni.

- Czy dobrze panią rozumiem, *madame*? Mają wrócić prosto do moich rąk, czy tak? A ja mam je oddać lordowi Alloway, pod warunkiem, że nie będzie pytał, skąd je wzięłam?

Kobieta skinęła głową.

- Właśnie o to mi chodzi. Ale muszę mieć pewność, że to się nie rozejdzie.

- Nie sędzę, żeby lordowi specjalnie zależało na rozgłosie w tej sprawie - zauważył Poirot.

- Zatem przyjmuje pan warunki? - zawołała skwapliwie.

- Chwileczkę, milady. Zależy, jak szybko dostanę dokumenty w swoje ręce.

- Niemal natychmiast.

Poirot rzucił spojrzenie na zegar.

- To znaczy kiedy?

- Powiedzmy, za dziesięć minut - szepnęła.

- Zgoda, milady.

Lady Weardale pośpiesznie opuściła salon. Bezgłośnie gwizdnąłem.

- Możesz podsumować sytuację, Hastings? - poprosił Poirot.

- Brydź - odparłem zwięźle.

- Ach, pamiętasz, co mówił admirał. Podziwiam twoją pamięć! Gratuluję ci, przyjacielu.

Nic więcej nie zdążyliśmy powiedzieć, bo wszedł lord Alloway. Spojrzał pytająco na Poirota.

- Ma pan już jakieś pomysły, panie Poirot? Boję się, że odpowiedzi na pańskie pytania przyniosły raczej rozczarowanie.

- Ależ nie, milordzie. Okazały się wystarczająco pouczające. Mój dłuższy pobyt tutaj okazuje się niekonieczny, więc, z pańskim pozwoleniem, natychmiast wrócę do Londynu.

Lord Alloway na moment stracił głos.

- Ale... co pan odkrył? Czy pan wie, kto zabrał projekty?

- Tak, milordzie. Proszę powiedzieć, czy jeżeli dokumenty zostaną zwrócone, zaprzestanie pan

dochodzenia i zagwarantuje anonimowość osobie, która je odda?

Lord Alloway wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Ma pan na myśli, po ich wykupieniu?

- Nie, milordzie, bez żadnych warunków.

- Naturalnie, odzyskanie projektów jest ogromnie ważne - powiedział zdumiony lord Alloway, nadal nic nie pojmując.

- Zatem gorąco polecam panu tę taktykę. Tylko pan, admirał i pański sekretarz wiedzą o stracie. Nikt więcej nie musi dowiedzieć się o znalezieniu dokumentów. Winę za tajemniczość może pan złożyć na mnie. Prosił mnie pan o odzyskanie dokumentów. Uczyniłem to. Więcej pan nie wie. - Poirot wstał i uściśnął dłoń gospodarza. - Milordzie, cieszę się, że pana spotkałem. Wierzę w pana i w pańskie przywiązanie do ojczyzny. Będzie pan prowadził kraj pewną, silną ręką.

- Panie Poirot... przysięgam, że zrobię, co będę mógł. To może moja wada, a może zaleta, ale wierzę w siebie.

- Jak każdy wielki człowiek. Ja jestem taki sam - odrzekł zadowolony Poirot.

Po kilku minutach podjechał samochód i lord Alloway pożegnał nas serdecznie, stojąc na stopniach domu.

- To wielki człowiek, Hastings - powiedział Poirot, kiedy odjeżdżaliśmy. - Jest inteligentny, pomysłowy, silny. To człowiek, którego Anglia potrzebuje. Poprowadzi ją przez trudny okres odbudowy.

- Zgadzam się z tobą, Poirot, ale co z lady Juliet? Czy ma oddać dokumenty prosto do rąk Allowaya? Co sobie pomyśli, kiedy dowie się, że wyjechałeś bez słowa?

- Hastings, zadam ci jedno pytanie. Dlaczego, kiedy przyszła na rozmowę, nie wręczyła mi dokumentów?

- Nie miała ich przy sobie.

- No właśnie. Ile czasu zajęłoby jej przyniesienie ich z pokoju? Czy też z innej skrytki? Nie musisz odpowiadać. Pewnie z dwie i pół minuty. A jednak prosiła o dziesięć minut. Dlaczego? Najwyraźniej miała zamiar wydobyć je od osoby, którą musiałaby najpierw do tego przekonać. Kogo mogła mieć na myśli? Z pewnością nie panią Conrad, lecz członka własnej rodziny, męża lub syna. Który z nich jest bardziej prawdopodobny? Leonard Weardale powiedział, że od razu położył się spać. Wiemy, że to nieprawda. Przypuśćmy, że matka poszła do niego do pokoju, ale go tam nie znalazła; zeszła na dół, przepełniona niejasną obawą; jej synalek to rzeczywiście ladaco. Tam go też nie ma. A później słyszy, jak zaprzecza, że w ogóle opuszczał sypialnię.

Matka natychmiast wyciąga wniosek, że syn ukradł dokumenty. Stąd jej rozmowa ze mną.

Ale, mon ami, wiemy coś, czego lady Juliet nie wie.

- Wiemy, że jej syn nie mógł być w gabinecie, ponieważ był wtedy na schodach, całując się z piękną francuską pokojówką. I choć matka nie ma o tym pojęcia, Leonard ma alibi.

- Kto zatem ukradł dokumenty? Wszystkich wyeliminowaliśmy: lady Juliet, jej syna, panią Conrad, Francuzkę...

- Otóż to. Posłuż się szarymi komórkami, przyjacielu. Rozwiązanie bije w oczy. Potrząsnąłem głową.

- Ależ tak! Nie rezygnuj tak łatwo. Popatrz, Fitzroy wychodzi z gabinetu, zostawiając dokumenty na biurku. Kilka minut później lord Alloway wchodzi do pokoju, podchodzi do biurka i dokumentów

nie ma. Możliwe są dwa rozwiązania: albo Fitzroy włożył je do kieszeni, zamiast zostawić na biurku (co byłoby nierozsądne, ponieważ - jak zauważył Alloway - mógł te projekty w każdej chwili odrysować), albo dokumenty były na biurku, kiedy lord Alloway się do niego zbliżył - a w tym wypadku trafiły do jego kieszeni.

- Lord Alloway złodziejem? - wykrzyknąłem osłupiały. - Jak to? Dlaczego?

- Czyż nie opowiadałeś mi o jakimś skandalu z jego przeszłości? Mówiłeś, że został oczyszczony. Ale przypuśćmy, że mimo wszystko była to prawda? W Anglii nazwisko polityka nie może być kojarzone z żadnym skandalem. Gdyby tę sprawę teraz odgrzebano i udowodniono Allowayowi, że był w nią wmieszany, oznaczałoby to koniec jego kariery. Przypuśćmy, że go szantażowano i ceną wykupienia się były projekty okrętu podwodnego.

- Wobec tego ten człowiek to zdrajca! - zawołałem.

- Ależ nie. Jest inteligentny i pomysłowy. Przypuśćmy, przyjacielu, że skopiował te projekty, wprowadzając drobne zmiany (a jest inżynierem, i to dobrym fachowcem), dzięki którym projekty okażą się całkowicie niepraktyczne. Sfałszowane dokumenty wręcza przysłanemu agentowi - przypuszczam, że pani Conrad. Ale żeby nikomu nie przyszło na myśl podważyć ich autentyczność, projekty muszą zostać skradzione. Robi co może, starając się nie rzucać podejrzeń na nikogo z domu - udaje, że widział złodzieja, uciekającego przez taras. Ale nie wziął pod uwagę uporu admirała. Zatem teraz stara się, żeby podejrzenie nie padło na Fitzroya.

- To wszystko domysły, Poirot - sprzeciwiłem się.

- To psychologia, *mon ami*. Człowiek, który by przekazał wrogowi prawdziwe projekty, nie zamartwiałby się tym, na kogo padnie podejrzenie. A dlaczego tak bardzo pragnął, aby pani Conrad nie poznała szczegółów kradzieży? Ponieważ dokumenty wręczył jej wczesnym wieczorem i nie chciał, aby dowiedziała się, że kradzież mogła nastąpić dopiero później.

- Zastanawiam się, czy masz rację.

- Naturalnie, że mam. Rozmawiałem jak jeden wielki człowiek z drugim wielkim człowiekiem - i on mnie doskonale zrozumiał. Sam się przekonasz.

Jedno jest pewne. W dniu, kiedy lord Alloway został premierem, przyszedł czek i fotografia z dedykacją: "Dyskretnemu przyjacielowi Herkulesowi Poirot - lord Alloway".

Podobno okręt podwodny typu Z wzbudził wielkie nadzieje w kręgach marynarki. Mówi się, że zrewolucjonizuje współczesną wojnę morską. Słyszałem, że pewne obce mocarstwo usiłowało zbudować podobną jednostkę, ale próby skończyły się kompletnym niepowodzeniem. Nadal jednak uważam, że Poirot opierał się jedynie na domysłach. Pewnego dnia zrobi to o jeden raz za dużo.

Mieszkanie na trzecim piętrze

- Do diabła! - zawołała Pat.

Ze zmarszczonymi brwiami coraz gwałtowniej przetrząsała jedwabny drobiazg zwany torebką wieczorową. Dwaj młodzieńcy i dziewczyna przyglądali się jej niespokojnie. Wszyscy stali przed zamkniętymi na głucho drzwiami mieszkania Pat Garnett.

- Nic z tego - powiedziała Pat. - Nie ma go. I co teraz zrobimy?

- Czym jest życie bez klucza? - mruknął Jimmy Faulkner.

Był niewysokim, szerokim w barach mężczyzną o łagodnych niebieskich oczach.

- Nie żartuj sobie, Jimmy - rzucił się na niego Pat. - To poważna sprawa.

- Przeszukaj jeszcze raz torebkę, Pat - poradził Donovan Bailey. - Przecież musi w niej być.

Donovan miał niespieszny, miły sposób mówienia pasujący do jego szczupłej postaci.

- Jeżeli go w ogóle wzięłaś - wtrąciła druga dziewczyna, Mildred Hope.

- Naturalnie, że wzięłam - odparła Pat. - Wydaje mi się, że dałam go któremuś z was. -

Odwróciła się i spojrzała oskarżycielsko na mężczyzn. - Prosiłam Donovana, żeby go schował.

Ale nie udało jej się tak łatwo znaleźć kozła ofiarnego. Donovan stanowczo zaprzeczył, a Jimmy go poparł.

- Sam widziałem, jak go chowałaś do torebki - powiedział.

- Więc wypadł, kiedy któryś z was podnosił moją torebkę. Raz czy dwa mi upadła.

- Raz czy dwa! - zawołał Donovan. - Upuściłaś ją co najmniej tuzin razy, nie mówiąc o tym, że zapominałaś o niej przy każdej możliwej okazji.

- Dziwię się, że w ogóle cokolwiek w niej zostało - dorzucił Jimmy.

- Pytanie, jak się dostaniemy do domu - powiedziała Mildred.

Była to rozsądna i praktyczna dziewczyna, ale nawet w połowie nie tak atrakcyjna, jak impulsywna i kłopotliwa Pat.

Cała czwórka tępo wpatrywała się w zamknięte drzwi.

- Może portier pomoże? - zasugerował Jimmy. - Może ma klucz uniwersalny albo coś w tym rodzaju?

Pat pokręciła głową. Były tylko dwa klucze. Jeden wisiał w kuchni, a drugi był, a właściwie powinien być, w oczernianej torebce.

- Szkoda, że mieszkanie nie znajduje się na parterze - jęknęła Pat. - Moglibyśmy wybić szybę. Donovan, nie chciałbyś zabawić się we włamywacza i wspiąć się po ścianie?

Donovan stanowczo, choć grzecznie odrzucił propozycję.

- Wejść do mieszkania na czwartym piętrze to nie byle co - dodał Jimmy.

- Może są zewnętrzne schody przeciwpożarowe? - zainteresował się Donovan.

- Nie ma.

- Powinny być - wytknął Jimmy. - Pięciopiętrowy budynek powinien mieć schody przeciwpożarowe.

- Pewnie - rzekła Pat. - Ale skoro ich nie ma, to nic nam z nich nie przyjdzie. Jak w ogóle dostanę

się do mieszkania?

- Może jest ta, no, jak to się nazywa? To coś, czym sprzedawcy dostarczają do mieszkań brukselkę i kotlety”?

- Winda kuchenna - odpowiedziała Pat. - No owszem, jest, ale to tylko taki metalowy kosz. Ach czekajcie. Wiem. Co myślicie o windzie do węgla?

- To niezły pomysł - rzeki Donovan.

Mildred nie dała się ponieść entuzjazmowi.

- Na pewno drzwiczki w kuchni Pat są zaryglowane od środka.

Ale z tym nikt się nie zgodził.

- Nie wierzę w to - powiedział Donovan.

- Nie u Pat - poparł go Jimmy. - Ona nigdy niczego nie zamyka.

- Nie sędzę, że bym je zaryglowała - przyznała Pat. - Dziś rano wystawiłam śmieci i jestem pewna, że nie ryglowałam drzwiczek, a potem w ogóle się nie zbliżałam do tego miejsca.

- No cóż - rzekł Donovan. - Teraz bardzo nam się to przyda, ale pozwól mi powiedzieć sobie, Pat, że przez swoje niedbalstwo co noc zdajesz się na łaskę złodziei .

Pat nie zwróciła najmniejszej uwagi na upomnienia.

- Chodźcie - zawołała i zaczęła zbiegać z czterech kondygnacji schodów. Reszta towarzystwa podążyła za nią. Pat poprowadziła ich przez ciemne zakamarki zapchane wózkami, potem otworzyła jakieś drzwi, znaleźli się znów na klatce schodowej, i wreszcie przy windach. W tej po prawej znajdowało się wiadro ze śmieciami. Donovan zdjął je i ostrożnie wszedł na podłogę windy. Zmarszczył nos.

- Trochę hałaśliwa - zauważył. - Ale co z tego? Czy mam sam udać się na wyprawę, czy idziesz ze mną?

- Idę z tobą - odparł Jimmy i stanął w windzie obok Donovana.

- Mam nadzieję, że ta winda nas uniesie - powiedział z wątpliwością w głosie.

- Nie możecie ważyć więcej niż tona węgla - rzekła Pat, która zawsze miała problemy z przeliczaniem miar wag.

- Zaraz się okaże - powiedział pogodnie Donovan zaczął ciągnąć za linę.

Wśród potwornych zgrzytów zniknęli z pola widzenia.

- Strasznie hałasuje - zauważył Jimmy, gdy w ciemnościach unosili się w górę. - Co sobie pomyślą ludzie z innych mieszkaniach?

- Pewnie, że to duchy albo włamywacze - odparł Donovan. - Ciągnięcie tej liny to ciężka robota. Portier w Friars Mansions ma cięższe życie, niż przypuszczałem. Jimmy, synu, liczysz piętra?

- Boże! Nie. Całkiem zapomniałem.

- Na szczęście ja nie zapomniałem. To jest trzecie. Na następnym wsiadamy.

- A co będzie - zaczął utyskiwać Jimmy - jeśli Pat jednak zaryglowała drzwiczki?

Na szczęście obawy okazały się nieuzasadnione. Drewniana kłapa odchyliła się i Donovan oraz Jimmy weszli w egipskie ciemności kuchni Pat.

- Powinniśmy byli zabrać latarkę na tę wyprawę - zawołał Donovan. - Jak znam Pat, to na podłodze leży sto tysięcy rzeczy i, zanim znajdziemy kontakt, wytłuczemy jej całą zastawę. Nie ruszaj się, Jimmy, dopóki nie zapalę światła.

Ostrożnie posuwał się na oślep. Zaklął, nadziejszy się na róg kuchennego stołu. W końcu dotarł

do kontaktu. W następnej chwili znowu zaklął.

- Co się stało? - zainteresował się Jimmy.

- Światło nie chce się zapalić. Pewnie żarówka się przepaliła. Czekaaj, zapalę światło w salonie.

Salon znajdował się na wprost korytarza. Jimmy usłyszał, jak Donovan wychodzi z kuchni i wkrótce dotarła do niego następna wiązka przekleństw. Sam ostrożnie ruszył przed siebie.

- Co się dzieje?

- Nie wiem. Chyba ktoś zaczarował to mieszkanie. Nocą wszystko zmienia miejsce. Stoły i krzesła tam, gdzie się ich najmniej spodziewasz. Do diabła, następne!

Ale na szczęście w tej chwili Jimmy dotarł do kontaktu i włączył światło. W następnej chwili młodzieńcy spoglądali na siebie w niemym przerażeniu.

To nie był salon Pat. Znajdowali się w cudzym mieszkaniu.

Po pierwsze, pokój był z dziesięć razy bardziej zatłoczony niż salon Pat, co wyjaśniało żalotne zdumienie Donovana, nieustannie wpadającego na meble. Na środku pokoju stał okrągły stół, przykryty rypсовym obrusem, a w oknie znajdowała się doniczka z aspidistrą. Sądząc po urządzeniu pokoju, Jimmy i Donovan czuli, że jego właściciel nie będzie osobą, której łatwo byłoby wytłumaczyć ich obecność. Z przerażeniem spoglądali na stół i leżące na nim listy.

- Pani Emestine Grant - szepnął Donovan, podnosząc jeden z nich. - Czy myślisz, że nas słyszała?

- To cud, że nie słyszała, jak kłamię i rozbijaliśmy się - powiedział Jimmy. - Na Boga, uciekajmy czym prędzej z tego mieszkania.

Pospiesznie zgasili światło i na palcach podeszli do windy. Jimmy odetchnął z ulgą, kiedy bez dalszych niespodzianek udało im się wejść do środka.

- Lubię kobiety, mające dobry, mocny sen - powiedział. - Pani Emestine Grant ma swoje zalety.

- Teraz rozumiem - rzekł Donovan - dlaczego pomyliliśmy piętra. Wspinaczkę w tej studni zaczęliśmy od piwnicy.

Pociągnął za linę i platforma ruszyła do góry.

- Tym razem jesteście tam, gdzie trzeba.

- Mam taką szczerą nadzieję - powiedział Jimmy, wynurzając się w atramentowych ciemnościach kuchni. - Moje nerwy nie zniosą następnego szoku tego rodzaju.

Na szczęście jego nerwy nie zostały narażone na żadne więcej niespodzianki. Po zapaleniu światła oczom ich ukazała się kuchnia Pat, a w następnej chwili otworzyli drzwi i wpuścili czekające na zewnątrz dziewczyny.

- Mnóstwo czasu wam to zajęło - sarknęła Pat. - Całe wieki czekałyśmy tu z Mildred.

- Mieliśmy przygodę - powiedział Donovan. - Mogli nas zabrać na komisariat jako niebezpiecznych przestępców.

Pat zapaliła światło w salonie i rzuciła okrycie na sofę. Z zainteresowaniem słuchała opowieści Donovana.

- Cieszę się, że was nie złapała - rzekła. - Jestem pewna, że to stara zrzęda. Dziś rano dostałam od niej list. Chciała się ze mną spotkać. Będzie na coś narzekać. Pewnie na pianino. Ludzie, którzy nie lubią, żeby im grało nad głową, nie powinni mieszkać w blokach... Donovan, skaleczyłeś się w rękę. Jest cała we krwi. Idź się umyć.

Donovan ze zdumieniem przyjrzał się dłoni. Posłusznie wyszedł z pokoju, a po chwili zawołał Jimmy'ego.

- Co się stało? - odrzyknął mu Jimmy. - Chyba nie zraniłeś się mocno?

- Wcale się nie zraniłem.

Donovan powiedział to takim dziwnym tonem, że kolega spojrział na niego zaintrygowany, ale kiedy popatrzył na umytą rękę, sam zobaczył, że nie ma na niej śladu rany.

- Dziwne - powiedział, marszcząc czoło. - Było całkiem dużo krwi. Skąd mogła się wziąć? - Nagle zdał sobie sprawę z tego, co jego bardziej domyślny kolega już wiedział. - Na Jowisza, ta krew musi pochodzić z tamtego mieszkania! - Urwał, rozważając rozmaite możliwości. - Jesteś pewien, że to krew, a nie... farba?

Donovan pokręcił głową.

- To na pewno krew - odparł. Po plecach przeszedł mu dreszcz.

Popatrzyli na siebie. Do głowy przyszła im ta sama myśl. Pierwszy oblekł ją w słowa Jimmy.

- Czy nie powinniśmy... zejść tam jeszcze raz i się.. rozejrzeć? Zorientować się, czy wszystko jest w porządku?

- A co z dziewczynami?'

- Nic im nie mówmy. Niech Pat włoży fartuch i zrobi omlet. Zanim zaczną się zastanawiać, gdzie się j podziewamy, będziemy już z powrotem.

- Dobrze, chodźmy - zgodził się Donovan. - Chyba trzeba to zrobić. Mam nadzieję, że nic się naprawdę nie stało.

W jego głosie brakło jednak przekonania. Mężczyźni i weszli do windy i zjechali piętro niżej. Bez kłopotów przeszli przez kuchnię i zaświecili lampę w salonie.

- Gdzieś tutaj - rzekł Donovan - musiałem się o to otrzeć. W kuchni niczego nie dotykałem.

Rozejrzał się wokoło. Jimmy również. Obydwaj zmarszczyli brwi. Pokój wyglądał porządnie i zupełnie zwyczajnie, nic nie wskazywało na to, że popełniono tu i zbrodnię.

Nagle Jimmy wzdrygnął się gwałtownie i złapał kolegę za ramię.

- Patrz!

Donovan spojrział tam, gdzie wskazywał Jimmy, i teraz z kolei on krzyknął. Spod ciężkiej rypsowej zasłony wystawała stopa - kobieca stopa w skórzanym lakierowanym buciku.

Jimmy podszedł do zasłony i odsunął ją jednym ruchem. W niszy okiennej na podłodze leżało ciało kobiety w kałuży ciemnej, lepkiej cieczy. Kobieta nie żyła, co do tego nie było najmniejszej wątpliwości. Jimmy próbował ją podnieść, ale Donovan go powstrzymał.

- Lepiej nie rób tego. Nie powinno się jej ruszać do przyjazdu policji.

- Ach, policja, oczywiście. Co za okropna sprawa. Jak myślisz, Donovan, kto to jest? Pani Emestine Grant?

- Na to wygląda. Tak czy owak, jeśli w mieszkaniu jest jeszcze ktoś, to zachowuje się bardzo cicho.

- Co teraz robimy? - spytał Jimmy. - Lecimy szukać policjanta czy zadzwonimy po nich od Pat?

- Lepiej zadzwonić. Chodź, równie dobrze możemy wyjść drzwiami. Nie musimy spędzić całej nocy na jeżdżeniu tą cuchnącą windą.

Jimmy podzielał tę opinię. Ale kiedy już wychodzili, nagle zawahał się.

- Słuchaj - rzekł - nie sądzisz, że któryś z nas powinien zostać, żeby... mieć oko na to, co się dzieje, dopóki nie przyjedzie policja?

- Masz rację. Jeśli zostaniesz, polecę zatelefonować. Wbiegł na następne piętro i zadzwonił do

mieszkania. Drzwi otworzyła mu Pat, słicznie zarumieniona w twarzowym fartuchu. Na jego widok ogromnie się zdziwiła.

- To ty? Ale skąd... Donovan, co się dzieje? Czy coś się stało?

Wziął jej ręce w swoje dłonie.

- Wszystko w porządku. Pat, tylko dokonaliśmy dosyć nieprzyjemnego odkrycia w mieszkaniu pod tobą. Znaleźliśmy... nieżywą kobietę.

- Och! Straszne! Miała atak???

- Nie. Raczej wygląda, jakby została... zamordowana.

- Donovan!

- Wiem. To przerażające.

Nie wypuszczał jej dłoni, a Pat mu ich nie zabierała, a nawet jakby lgnęła do niego. Droga Pat, jakże ją kochał. A czy jej w ogóle na nim zależało? Czasami wydawało mu się, że tak, innym razem bał się, że Jimmy Faulkner... Na wspomnienie Jimmy'ego poczuł wyrzuty sumienia.

- Droga Pat, musimy zadzwonić po policję.

- Monsieur ma rację - odezwał się głos za nim. - Ale zanim oni się zjawią, może ja mógłbym trochę pomóc?

Pat i Jimmy, rozmawiający w drzwiach mieszkania wyjrżeli na klatkę schodową. Na schodach prowadzących na następne piętro stała jakaś postać. Zeszła nieco niżej i zobaczyli ją w całości.

Był to niewysoki mężczyzna z ogromnym wąsem i jajowatą głową, ubrany w oszłamiający szlafrok i haftowane pantofle. Szarmancko uklonił się Patricii.

- *Mademoiselle* - rzeki. - Jak pani zapewne wie, jestem sąsiadem z góry. Lubię mieszkać wysoko, mieć widok na Londyn. Wynajmuję to mieszkanie na nazwisko O'Connor. Ale nie jestem Irlandczykiem. Noszę inne nazwisko. Dlatego właśnie odważyłem się zaproponować swoje usługi. Państwo pozwolą.

Szerokim gestem wyjął kartę wizytową i wręczył ją Pat.

- Pan Herkules Poirot - przeczytała. - Och! Pan Poirot??? Ten wielki detektyw? I naprawdę pan nam pomoże?

- Mam taki zamiar, mademoiselle. O mały włos nie ofiarowałem swej pomocy już wcześniej. - Pat nie zrozumiała.

- Słyszałem, jak państwo omawiali sposoby dostania się do domu. Ja bardzo dobrze potrafię otwierać zamki wytrychem. Bez wątpienia mógłbym być otworzyć wam drzwi, ale wahałem się, czy to zaproponować. Mogło mnie to narazić na ciężkie podejrzenia.

Pat zaśmiała się.

- A teraz, monsieur - rzekł Poirot do Donovan - niech pan idzie zadzwonić po policję. Ja zaś udam się do mieszkania poniżej.

Pat zeszła razem z nim. Znaleźli Jimmy'ego stojącego na straży i Pat przedstawiła mu Poirota, a Jimmy z kolei opowiedział, co zdarzyło się jemu i Donovanowi. Detektyw słuchał uważnie.

- Mówi pan, że kłapa od windy nie była zaryglowana? Wyszedł pan z windy do kuchni, ale światło nie chciało się zapalić?

Mówiąc to, skierował się do kuchni i nacisnął wyłącznik.

- *Tiens. Voilà ce qui est curieux!* [54] - powiedział, kiedy zabłysło światło. - Teraz doskonale działa. Ciekawe...

Wtem podniósł palec do góry, nakazując ciszę i zaczął nasłuchiwać. Dobięgl ich cichy dźwięk. Ktoś chrapał.

- Ach! - powiedział Poirot. - *La chambre de domestique*[55].

Na palcach zbliżył się do spiżarni znajdującej się po drugiej stronie kuchni, otworzył drzwi i zapalił światło. Pokój, przeznaczony przez architekta dla osoby ludzkiej, miał rozmiary niewiele większe od psiej budy. Niemal całą powierzchnię zajmowało łóżko, na którym spokojnie spała rumianolica dziewczyna, od czasu do czasu pochrapując przez otwarte usta.

Poirot zgasił światło i wycofał się.

- Nie zbudzi się. Niech śpi, dopóki nie przyjedzie policja - powiedział, idąc do salonu.

Dołączył do nich Donovan.

- Policja zaraz tu będzie - wyrzucił z siebie zadyszany. - Nie wolno niczego dotykać.

Poirot skinął głową.

- Niczego nie będziemy dotykać. Tylko się rozejrzemy.

Wszedł do pokoju. Mildred przysłała razem z Donovanem i cała czwórka stała teraz w drzwiach, przyglądając mu się z zapartym tchem.

- Jednego nie rozumiem - powiedział Donovan. - Nie podchodziłem do okna, więc skąd ta krew na mojej ręce?

- Przyjacielu, rozwiązanie masz przed nosem. Jakiego koloru jest serweta? Czerwona, prawda? Niewątpliwie dotknął pan stołu.

- Owszem. Czy to... - urwał.

Poirot skinął głową. Pochylił się nad stołem i pokazał, plamę ciemniejszej czerwieni.

- To tu popełniono zbrodnię - rzekł poważnie. - Ciało przeniesiono później. - Wyprostował się i rozejrzał po pokoju. Nie ruszał się z miejsca, niczego nie dotykał, ale czwórka przyglądających mu się osób odniosła wrażenie, że pod bacznym wzrokiem detektywa każdy przedmiot w tym dusznym pomieszczeniu zdradzał swoje sekrety,

Poirot pokiwał głową jak gdyby usatysfakcjonowany. Wymknęło mu się ciche westchnienie.

- Rozumiem - rzekł.

- Co pan rozumie? - spytał ciekawie Donovan.

- To, co pan niewątpliwie odczuł: że pokój jest zatłoczony przedmiotami.

Donovan uśmiechnął się smutno.

- Trochę się o nie obijałem - wyznał. - Naturalnie, w porównaniu z pokojem Pat wszystko jest w innym miejscu, więc nic dziwnego, że nie mogłem trafić.

- Nie wszystko - sprostował Poirot.

Donovan spojrział na niego pytająco.

- Chcę powiedzieć - rzekł przepraszącym tonem Poirot - że niektóre rzeczy są zawsze w tych samych miejscach. W kamienicach pokoje położone nad sobą mają zawsze drzwi, okna i kominki w tym samym miejscu.

- Dzieli pan włos na czworo - zauważyła Mildred, patrząc na Poirota z lekką wymówką.

- Zawsze należy być absolutnie dokładnym. Na tym punkcie mam... jak wy to mówicie...? Bzika.

Na schodach rozległy się kroki i do mieszkania weszło trzech mężczyzn: inspektor policji, posterunkowy i lekarz. Inspektor poznał Poirota i powitał go niemal z czcią, po czym zwrócił się do młodych:

- Będziemy chcieli zebrać od was zeznania, ale najpierw...

- Mam małą sugestię - przerwał mu Poirot. - My chodźmy na górę i niech *mademoiselle* zrobi to, co planowała, czyli omlet. Uwielbiam omlety. Potem, inspektorze, kiedy skończy pan tutaj, wejdzie pan piętro wyżej i będzie mógł bez pośpiechu zadawać pytania.

Propozycja została przyjęta i Poirot wyszedł na klatkę schodową razem z grupką przyjaciół.

- Panie Poirot - powiedziała Pat - pan jest cudowny. Zrobię panu pyszny omlet. Omlety robię naprawdę świetnie.

- To dobrze. Kiedyś, *mademoiselle*, pokochałem piękną angielską dziewczynę, bardzo do pani podobną, ale - niestety - nie potrafiła gotować. Może więc dobrze, że się tak skończyło.

W jego głosie wyczuwało się lekki smutek i Jimm Faulkner zmierzył go ciekawym spojrzeniem.

Kiedy jednak znaleźli się już w mieszkaniu Pat, detektyw starał się być miły i bawił towarzystwo. Ponura tragedia poszła w zapomnienie.

Omlet rzeczywiście okazał się doskonały i nie tylko został skonsumowany, ale zdążył zebrać należne pochwały, zanim w drzwiach pojawili się inspektor z lekarzem - bez posterunkowego, który pilnował mieszkania na dole.

- Cóż, panie Poirot - rzekł policjant - Wszystko wydaje się jasne. Zbrodnia nie w pana typie, choć możemy mieć kłopoty ze złapaniem zabójcy. Teraz chciałbym dowiedzieć się, jak ją odkryliście.

Donovan i Jimmy opowiedzieli wydarzenia tego wieczoru. Inspektor z wyrzutem odwrócił się do Pat.

- Nie powinna pani zostawiać otwartych drzwiczek do windy. Niech pani więcej tego nie robi.

- Już nigdy mi się to nie zdarzy - wzdrygnęła się Pat. - Ktoś mógłby przyjść i zamordować mnie, tak jak tę biedną kobietę.

- Ale zabójca nie wszedł tą drogą - sprostował inspektor-

- Powie nam pan, co ustaliliście? - poprosił Poirot.

- Właściwie nie powinienem, ale dla pana, panie Poirot...

- Precisement. A ci młodzi ludzie z pewnością zachowają dyskrecję,

- Gazety tak czy owak szybko wywęszą tę sprawę - rzekł inspektor. - Właściwie to nie jest tajemnica. Zmarła to rzeczywiście pani Grant. Portier ją zidentyfikował. Kobieta lat około trzydziestu pięciu. Siedziała przy stole, kiedy została zastrzelona z automatycznego pistoletu małego kalibru, prawdopodobnie przez kogoś siedzącego naprzeciw. Upadła w przód, stąd krew na stole.

- Ale wtedy sąsiedzi słyszeliby chyba wystrzał? - zdziwiła się Mildred.

- Jeśli pistolet był z tłumikiem, to nikt niczego nie mógł usłyszeć. A propos, czy słyszeli państwo krzyk służącej, kiedy powiedzieliśmy jej o śmierci pani? Nie. No właśnie. Tym mniej prawdopodobne, że ktoś mógł usłyszeć wystrzał.

- Czy służąca miała coś do powiedzenia? - zainteresował się Poirot.

- To był jej wolny wieczór. Ma własny klucz. Wróciła koło dziesiątej. W mieszkaniu panowała cisza. Myślała, że pani poszła spać.

- Zatem nie zaglądała do salonu?

- Ależ tak, zaniósła tam listy, które przyszły wieczorną pocztą, ale nie zauważyła nic niezwykłego. Tak samo, jak pan Faulkner i pan Bailey. Widzi pan, morderca dokładnie ukrył ciało za kotarą.

- To dziwne, nie sądzi pan?

Poirot powiedział to spokojnie, ale coś w tonie jego głosu sprawiło, że inspektor szybko podniósł wzrok.

- Nie chciał, żeby odkryto zbrodnię, zanim on zdąży uciec.

- Może, może... ale niech pan sobie nie przerywa.

- Służąca wyszła o piątej. Doktor ustalił, że śmierć nastąpiła jakieś cztery, pięć godzin temu.

Zgadza się, prawda?

Lekarz był człowiekiem małomównym, więc ograniczył się do energicznego kiwnięcia głową.

- Teraz jest za kwadrans dwunasta. Sądzę, że czas popełnienia zbrodni można określić dosyć precyzyjnie. Wyjął z kieszeni zmiętą kartkę papieru.

- Znaleźliśmy to w kieszeni szlafroka. Można wziąć do ręki. Nie ma żadnych odcisków palców.

Poirot wygładził kartkę. Widniało na niej kilka słów napisanych na maszynie: "PRZYJDEŃ DZIŚ WIECZÓR O WPÓŁ DO ÓSMEJ. J.F."

- Morderca zostawił kompromitujący dokument - skomentował Poirot, oddając kartkę.

- Nie wiedział, że pani Grant ma list w kieszeni - wyjaśnił inspektor. - Pewnie myślał, że go zniszczyła. Bo mamy dowody, że był ostrożny. Pistolet, z którego została zastrzelona, znaleźliśmy pod ciałem... naturalnie, nie ma na nim odcisków palców. Zostały dokładnie starte jedwabną chusteczką.

- Skąd pan wie, że jedwabną chusteczką? - zapytał Poirot.

- Ponieważ ją znaleźliśmy - odparł triumfująco policjant. - Musiała mu wypaść z kieszeni, kiedy zaciągał zasłony.

Pokazał białą chustkę z jedwabiu dobrej jakości. Poirot nie potrzebował pomocy inspektora, żeby zwrócić uwagę na wyhaftowane na środku imię i nazwisko. Było dobrze widoczne. Poirot odczytał:

- John Fraser.

- No właśnie - rzekł inspektor. - John Fraser. "J.F." z listu. Znamy nazwisko mężczyzny, którego szukamy, a kiedy zbierzemy trochę więcej informacji o tej kobiecie i jej znajomych, to dowiemy się czegoś i o nim.

- Naprawdę tak pan myśli? Ja nie sądzę, *mon cher*, aby łatwo było znaleźć tego Johna Fräsera. To dziwny człowiek. Z jednej strony skrupulatny, skoro znaczy swoje chusteczki i ściera ślady palców z pistoletu, którym popełnił morderstwo, z drugiej nieostrożny, gdyż gubi chusteczkę i nie szuka listu, który go obciąża.

- Stracił głowę - powiedział inspektor.

- Możliwe, tak, to możliwe. A czy ktoś widział, jak wchodził do budynku?

- Cały czas ktoś wchodzi i wychodzi. To duża kamienica. Przypuszczam, że nikt z was - zwrócił się do czwórki przyjaciół - nie widział, aby ktoś wychodził z tego mieszkania?

Pat pokręciła głową.

- My wyszliśmy wcześniej, koło siódmej.

- Rozumiem.

Inspektor podniósł się. Poirot odprowadził go do drzwi.

- Czy mógłby mi pan wyświadczyć uprzejmość i pozwolił na obejrzenie mieszkania na dole? - poprosił detektyw.

- Naturalnie, panie Poirot. Wiem, jak pana cenią w kwaterze głównej. Zostawię panu klucze. Mam dwa komplety. Mieszkanie będzie puste. Służąca bała się zostać sama i pojechała do rodziny.

- Dziękuję - odparł Poirot i zamyślony wrócił do Pat.

- Tłumaczenie inspektora pana nie zadowala? - spytał Jimmy.

- Nie, nie zadowala mnie - przyznał detektyw.

Donovan spojrział na niego ciekawie.

- A co takiego pana... niepokoi?

Poirot nie odpowiedział. Przez chwilę milczał ze zmarszczonymi brwiami, po czym gwałtownie wzruszył ramionami.

- Pożegnaj panią - rzekł. - Jest pani pewnie zmęczona. Dużo się pani dziś nagotowała, co?

Pat roześmiała się.

- Zrobiłam tylko omlet. Nie gotowałam obiadu. Donovan i Jimmy wpadli po nas i poszliśmy do knajpki w Soho.

- A potem bez wątpienia do teatru?

- Tak. Na *Piwne oczy Karoliny*.

- Ach! To powinny być błękitne oczy, błękitne oczy mademoiselle!

Poirot przyłożył rękę do serca i życzył dobrej nocy. Pat i Mildred, która zostawała z koleżanką na jej specjalne życzenie, ponieważ Pat otwarcie przyznała, że boi się zostać sama w nocy.

Mężczyźni wyszli razem z Poirotem. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, detektyw uprzedził ich pożegnania i zaproponował:

- Przyjaciele, słyszeliście, jak mówiłem, że nie jestem zadowolony z wyników śledztwa? Eh bien, to prawda. Teraz idę przeprowadzić własne, prywatne dochodzenie. Czy chcielibyście mi towarzyszyć?

Propozycja została ochoczo zaakceptowana. Zeszli na dół i Poirot otworzył drzwi kluczem, który dostał od inspektora. Gdy weszli do środka, detektyw nie skierował się do salonu (czego spodziewali się Jimmy i Donovan), lecz prosto do kuchni. W małej wnęce ze zlewem stał duży metalowy kosz na odpadki. Poirot otworzył go i, nachyliwszy się, zaczął w nim energicznie grzebać, niczym zapamiętały terier.

Jimmy i Donovan spoglądali na niego osłupiali. Nagle, z okrzykiem triumfu, Poirot wynurzył się z kosza. W ręce trzymał małą zakorkowaną buteleczkę.

- *Voilà!* - zawołał. - Tego właśnie szukałem. - Ostrożnie powąchał znalezisko. - Niestety, mam katar.

Donovan wziął buteleczkę i powąchał, ale nic nie poczuł. Wyjął zatem korek i, zanim detektyw zdążył go uprzedzić, przyłożył buteleczkę do nosa i natychmiast osunął się jak zabity. Poirot skoczył i złapał go w ostatnim momencie.

- Imbecyl! - krzyknął. - Co za pomysł, żeby tak głupio otwierać korek! Czy nie widział, jak ja się ostrożnie do tego zabierałem? Panie... Faulkner, nie mylę się? Proszę z łaski swojej przynieść trochę brandy. W salonie zauważyłem butelkę.

Jimmy pobiegł, a kiedy wrócił, Donovan już siedział i twierdził, że całkiem doszedł do siebie. Musiał wysłuchać krótkiego wykładu Poirota na temat ostrożności przy wachaniu substancji, które mogą okazać się trujące.

- Chyba pójdę do domu - rzekł Donovan, stając niepewnie na nogi. - To znaczy, jeśli na nic się wam tutaj nie przydam. Czuję się słabo.

- To najlepsze, co może pan zrobić - poparł go Poirot. - Panie Faulkner, niech pan tu na mnie poczeka. Zaraz wrócę.

Detektyw odprowadził Donovana do drzwi i wyszedł z nim na klatkę schodową. Przez chwilę

stali przed drzwiami i rozmawiali. Kiedy Poirot wrócił do mieszkania, Jimmy rozglądał się po salonie z zaintrygowanym wyrazem twarzy.

- I co teraz robimy, panie Poirot? - zapytał.

- Nic. Sprawa skończona.

- Co?

- Wiem już wszystko.

Jimmy patrzył na Poirota zbaraniały.

- To ta buteleczka?

- Dokładnie. Buteleczka.

Jimmy pokręcił głową.

- Nic z tego nie rozumiem. Widzę przecież, że z jakiegoś powodu nie satysfakcjonują pana dowody przeciw Johnowi Fraserowi, ktokolwiek to jest.

- Ktokolwiek to jest - powtórzył cicho Poirot - Będę zaskoczony, jeśli okaże się, że on w ogóle istnieje.

- Nie rozumiem.

- To tylko nazwisko, nazwisko wyhaftowane na chustce!

- A list?

- Czy zauważył pan, że napisano go na maszynie? Dlaczego? Powiem panu. Pismo ręczne można rozpoznać, ale i maszynę, na której napisano list, daje się odnaleźć łatwiej, niż pan myśli. Jeśli ten list napisał prawdziwy John Fraser, te dwa punkty zaczepienia, nie podobałyby się mu. Nie, list został napisany celowo i włożony do kieszeni zabitej kobiety po to, byśmy go znaleźli. John Fraser nie istnieje.

Jimmy patrzył na detektywa pytająco.

Wróciłem zatem do tego, co najpierw zwróciło moją uwagę. Słyszał pan, jak mówiłem, że w pewnych warunkach w każdym mieszkaniu w pionie niektóre rzeczy są zawsze w tym samym miejscu. Podałem trzy przykłady. Mogłem podać czwarty: wyłącznik światła, przyjacielu.

Jimmy nadal nic nie rozumiał. Poirot ciągnął:

- Pański przyjaciel Donovan nie podchodził do okna; rękę umazał krwią, kiedy położył ją na stole. Spytałem się od razu: po co kładł rękę na stole? Co robił, błądząc w ciemnościach? Pamiętaj bowiem, przyjacielu, że wyłącznik jest zawsze w tym samym miejscu: przy drzwiach. Dlaczego, kiedy wszedł do tego pokoju, nie pomacał ściany przy drzwiach i nie włączył światła? To byłoby naturalne. On twierdził, że próbował włączyć światło w kuchni, ale nie udało się. Tymczasem gdy ja spróbowałem, wyłącznik funkcjonował bez zarzutu. Może zatem nie życzył sobie światła w tym momencie? Gdyby je zapalił, od razu zobaczylibyście, że jesteście w cudzym mieszkaniu. Nie byłoby powodu wchodzić do salonu.

- Do czego pan zmierza, panie Poirot? Nie rozumiem, o co panu chodzi.

- Chodzi mi... o to.

Poirot podniósł do góry klucz.

- To klucz do tego mieszkania?

- Nie, *mon ami*, do mieszkania nad nami. Klucz *mademoiselle* Patricii, który pan Donovan Bailey wyjął: Jej torebki w którymś momencie w trakcie dzisiejszego wieczoru.

- Ale po co???

- *Parbleu!*[56] Po to, żeby udało mu się to, co i zaplanował: dostać się do tego mieszkania w

sposób nie budzący podejrzeń. Nieco wcześniejszym wieczorem postarał się o to, by drzwiczki windy zostały otwarte.

- Skąd wziął pan ten klucz?

Poirot uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Znalazłem go przed chwilą... tam, gdzie go szukałem. W kieszeni monsieur Donovan. Widzi pan, ta buteleczka to był fortel. Monsieur Donovan dał się nabrać. Zrobił to, czego się spodziewałem: odkorkował i powąchał. A w środku był chlorek etylu, silny środek znieczulający. Dzięki niemu stracił na krótką chwilę przytomność, co było mi bardzo potrzebne. Wyjąłem mu z kieszeni dwie rzeczy, których szukałem. Klucz to jedna rzecz, a druga...

Poirot urwał, a po chwili przeszedł do innego wątku.

- Kwestionowałem wysuniętą przez inspektora przyczynę ukrycia ciała za zasłoną. Żeby zyskać na czasie. Nie, chodziło o coś więcej. Przyszła mi na myśl jedna rzecz, przyjacielu. Poczta. Około wpół do dziesiątej przychodzi wieczorna poczta. Powiedzmy, że morderca nie znajduje tego, czego szukał, ale to coś może nadejść.

później. Jasne zatem, że musi wrócić. Nie może dopuścić, by służąca po powrocie do domu odkryła zbrodnię-bo wówczas w mieszkaniu będzie już urzędować wezwana przez nią policja. Zbrodniarz chowa zatem ciało za zasłonę. Służąca, niczego nie podejrzewając, kładzie listy, jak zawsze, na stole.

- Listy?

- Tak, listy. - Poirot wyjął coś z kieszeni. - To i druga rzecz, którą zabrałem monsieur Donovanowi, kiedy był nieprzytomny.

Pokazał zaadresowaną kopertę z napisanym na maszynie adresem pani Ernestine Grant.

- Najpierw jednak zadam panu jedno pytanie, panie Faulkner, zanim przeczytamy list. Czy kocha pan *mademoiselle* Patricię?

- Szalenie mi na niej zależy, ale zawsze uważałem, że nie mam szans.

- Myślał pan, że ona kocha Donovana? Może zaczynało jej na nim zależeć, ale to był sam początek, przyjacielu. Musi pan sprawić, aby o nim zapomniała, wspierać ją w kłopotach.

- W kłopotach? - spytał gwałtownie Jimmy.

- Tak. Zrobimy, co się da, aby jej w to nie mieszać, ale nie da się całkiem jej wyłączyć z tej sprawy. Widzi pan, ona stanowiła motyw.

Poirot rozdarł kopertę. Ze środka wypadły dwie kartki papieru. List z firmy prawniczej, był krótki.

Szanowna pani,

Dokument, który Pani przesłała, jest ważny, a fakt zwarcia małżeństwa za granicą niczego w tym względzie nie zmienia.

Z szacunkiem itd.

Poirot rozłożył drugą kartkę. Było to świadectwo ślubu Donovan Bailey i Ernestine Grant sprzed ośmiu

- O Boże! - szepnął Jimmy. - Pat powiedziała, że dostała list od tej kobiety z prośbą o spotkanie, ale nie przypuszczała, że to coś ważnego.

Poirot skinął głową.

- Donovan wiedział. Dziś wieczór, zanim odwiedził Pat, poszedł spotkać się z żoną. Swoją drogą, cóż za ironia losu: biedna kobieta zamieszkała w tym samym domu, co jej rywalka. Donovan zatem zamordował ją z zimną krwią, a potem poszedł zażywać wieczornych rozrywek. Żona musiała mu powiedzieć, że wysłała świadectwo ślubu do prawnika i że oczekuje odpowiedzi. Niewątpliwie Donovan próbował przekonać ją, że małżeństwo jest nieważne.

- A cały wieczór był w dobrym humorze! Panie Poirot, chyba nie pozwolił mu pan uciec? - wzdrygnął się Jimmy.

- Dla niego nie ma ucieczki - powiedział Poirot poważnie. - Nie musi się pan obawiać.

- Myślę głównie o Pat. Nie sądzi pan, że jej na nim... naprawdę zależało?

- *Mon ami*, to pana zadaniem jest sprawić - rzekł Poirot - by przy panu o nim zapomniano.

Wydaje mi się, że nie będzie to trudne.

Podwójna wina

Przyszedłszy odwiedzić mojego przyjaciela Poirota, stwierdziłem, że jest bardzo przepracowany. Stał się tak modny, że każda bogata kobieta, której zginęła bransoletka albo ulubiony kot, starała się zapewnić sobie usługi wielkiego Herkulesa Poirota. Mój przyjaciel miał w sobie dziwną mieszaninę flamandzkiej zapobiegliwości i artystycznego ducha. Kiedy przeważał pierwszy pierwiastek, przyjmował wiele zleceń, które go nie interesowały. Z drugiej strony angażował się w sprawy, które obudziły jego ciekawość, nawet jeśli nie wiązały się z żadnym wynagrodzeniem. W rezultacie pracował ponad siły. Sam zresztą to przyznał i nie miałem żadnej trudności, by go namówić, aby pojechał ze mną na tydzień do Ebermouth, znanego kurortu na południowym wybrzeżu.

Po czterech miłych dniach wakacji Poirot otrzymał list.

- Pamiętasz mojego przyjaciela Josepha Aarónsa, agenta teatralnego? - spytał, podchodząc do mnie z otwartym listem w dłoni.

Po chwili zastanowienia skinąłem głową. Poirot ma tylu i tak różnych przyjaciół, od śmieciarzy do książąt!

- Eh bien[57], Hastings, Joseph Aarons przebywa w Charlock Bay. Jest w kiepskiej formie, martwi się jakąś sprawą. Błaga, bym przyjechał się z nim zobaczyć. Uważam, *mon ami*, że powinienem spełnić jego prośbę, wierny przyjaciel, w przeszłości wiele mi pomógł.

- Naturalnie, jeśli tylko chcesz. Charlock Bay to piękne miejsce i tak się składa, że nigdy tam nie byłem.

- Zatem połączymy przyjemne z pożytecznym - ucieszył się Poirot. - Dowiesz się o połączenia kolejowe?

- Pewnie będzie przesiadka, może dwie - skrzywiłem się - Wiadomo, jakie są te lokalne połączenia. Podróż z północnego do południowego Devonu zajmuje czasem cały dzień.

Na szczęście jednak okazało się, że wystarczy tylko jedna przesiadka w Exeter. Śpieszyłem już z tą informacją do Poirota, kiedy mijając biura firmy turystycznej "Błyskawica" zauważyłem ogłoszenie:

Jutro
całodniowa wycieczka do Charlock Bay
Wyjazd 8.30
Piękne pejzaże Devonu

Dowiedziałem się o szczegółach i powróciłem do hotelu pełen entuzjazmu. Niestety, Poirot go nie podzieli.

- Przyjacielu, skąd ta namiętność do autokarów? Czyż pociąg nie jest lepszy? Nie zdarzają się wypadki, nie dziurawią opony. Nie ma nadmiaru świeżego powietrza. Można zamknąć okno i nie ma przeciągów.

Delikatnie dałem mu do zrozumienia, że w wycieczce autokarem najbardziej pociągało mnie właśnie świeże powietrze.

- A jeśli będzie padać? Angielska pogoda jest nader niepewna.

- Można przecież rozłożyć dach. Poza tym, jeśli bardzo pada, to wycieczkę się odwołuje.

- Ach! Zatem miejmy nadzieję, że będzie padać.

- Jeśli taki masz do tego stosunek...

- Nie, nie, *mon ami*. Widzę, jak bardzo się nastawiłeś na tę wycieczkę. Na szczęście mam ze sobą ciepły płaszcz i dwa szaliki - westchnął. - Ale czy będziemy mieli wystarczająco dużo czasu w Charlock Bay?

- Widzisz... boję się, że musimy zostać tam na noc. Autobus wraca przez Dartmoor. Mamy lunch w Monkhampton, do Charlock Bay przybywamy o czwartej po południu, a autokar wyrusza w drogę powrotną o piątej i wraca do Londynu o dziesiątej.

- No właśnie! Że też są ludzie, którzy robią to dla przyjemności! Spodziewam się, że zapłacimy mniej, ponieważ nie wracamy razem w wycieczką?

- Uważam to za mało prawdopodobne.

- Powinieneś się uprzeć.

- Ależ, Poirot, nie bądź sknerą. Masz kupę pieniędzy.

- Przyjacielu, nie przemawia przede mną skąpstwo, tylko zmysł do interesów. Gdybym był milionerem, też bym płacił tylko tyle, ile się należy.

Jak jednak podejrzewałem, Poirot nic w tej sprawie nie wskórał. Mężczyzna sprzedający bilety w biurze "Błyskawicy" był spokojny i beznamiętny, ale nieugięty. Twierdził, że należy wracać razem w wycieczką. Sugerował nawet, że powinniśmy zapłacić dodatkowo za przywilej opuszczenia autokaru w Charlock Bay.

Pokonany, Poirot zapłacił i wyszedł z biura.

- Anglicy nie znają wartości pieniądza - narzekał. - Widziałeś tego młodego mężczyznę, Hastings, który zapłacił więcej niż wynosi cena pełnego biletu, choć wspomniał, że zamierza wysiąść w Monkhampton?

- Chyba go nie widziałem. Muszę przyznać, że...

- Przyglądałeś się ładnej dziewczynie, która zarezerwowała miejsce numer pięć, tuż koło nas. Aha! Nakryłem cię! To dlatego, kiedy brałem już miejsca trzynaste i czternaste, znajdujące się w środku i w miarę osłonięte od wiatru, gwałtownie wtrąciłeś się i powiedziałeś, że lepsze będzie trzecie i czwarte.

- Doprawdy, Poirot - bąknąłem, czerwieniąc się.

- Ach, te rude włosy, zawsze te rude włosy!

- W każdym razie była bardziej godna uwagi niż ten młody człowiek.

- To zależy od punktu widzenia. Dla mnie on był interesujący.

Ton, jakim to powiedział wzbudził moje gwałtowne zainteresowanie.

- Dlaczego? Co masz na myśli?

- Nie podniecaj się. Powiedzmy, że zainteresował mnie, bo usiłował zapuszczać wąsy, ale z kiepskim rezultatem. - Poirot pogłaskał czule własne wspaniałe wąsy. - Zapuszczenie wąsów - mruknął - to sztuka. Współczuję tym, którzy się tego podejmują.

Czasem trudno wyczuć, kiedy Poirot jest poważny, a kiedy próbuje się bawić czyimś kosztem. Pomyślałem, że lepiej nic już więcej nie mówić.

Poranek wstał jasny i słoneczny. Naprawdę piękny dzień. Poirot jednak wolał nie ryzykować. Włożył wełnianą kamizelkę, deszczowiec, gruby płaszcz i dwa szaliki, nie wspominając o najcieplejszym garniturze. Przed wyjściem zażył jeszcze dwie tabletki aspiryny, a kilka zapakował na

wszelki wypadek.

Zabraliśmy ze sobą dwie małe walizki. Dziewczyna, którą zauważyliśmy poprzedniego dnia, też miała małą walizkę, podobnie młody mężczyzna, który, jak przypuszczałem, zaskarbił sobie współczucie Poirota. Innego bagażu nie było. Kierowca schował cztery walizki i zajęliśmy miejsca w aucie.

Poirot, jak przypuszczam - złośliwie, wyznaczył mi miejsce przy burcie ("bo szalejesz na punkcie świeżego powietrza"), a sam usiadł koło pięknej sąsiadki. Wkrótce jednak to się zmieniło. Mężczyzna zajmujący numer 6 zachowywał się głośno i dowcipkował, Poirot zapytał więc cicho dziewczynę, czy nie chciałyby się z nim zamienić miejscami. Propozycji została ochoczo przyjęta i wkrótce we troje pograżyliśmy się w wesołej rozmowie.

Dziewczyna była bardzo młoda - nie miała więcej niż dziewiętnaście lat - i naiwna jak dziecko. Wkrótce wyznała nam powód swej wycieczki. Okazało się, że jedzie w interesach jako przedstawicielka swojej ciotki, prowadzącej sklep z antykami w Ebermouth.

Ojciec nie zostawił jej żadnego majątku i ciotka przeznaczyła cały niewielki kapitał oraz piękne przedmioty z rodzinnego domu na założenie własnego interesu. Poszczęściło jej się i w handlu antykami wyrobiła sobie markę. Dziewczyna, Mary Durrant, przyjechała do ciotki uczyć się zawodu. Bardzo się z tego cieszyła, gdyż jedyną alternatywą byłoby zatrudnić się jako opiekunka do dzieci lub osoba do towarzystwa.

Poirot pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Mademoiselle na pewno się powiedzie - powiedział szarmancko - ale proszę przyjąć jedną radę. Proszę być mniej ufną. Na świecie pełno jest kanalii i włóczęgów, mogą być nawet tu, między nami, na tej wycieczce. Człowiek powinien mieć się na baczności!

Dziewczyna patrzyła na niego z niedowierzaniem. Poirot pokiwał głową.

- Tak jest. Kto wie? Nawet ja, który teraz z panią rozmawiam, mogę być najgorszym złoczyńcą - i puścił oko do coraz bardziej zdumionej panienki.

Na lunch zatrzymaliśmy się w Monkhampton. Zamieniwszy kilka słów z kelnerem, Poirot zdobył dla nas mały trzyosobowy stolik koło okna. Na zewnątrz na dużym podwórzu parkowało ze dwadzieścia autobusów z całego kraju. W restauracji hotelowej był tłok i hałas.

- Czasem można mieć dość turystyki - skrzywiłem

Mary Durrant zgodziła się ze mną.

- W lecie Ebermouth jest nie do wytrzymania. Ciocia mówi, że kiedyś było zupełnie inaczej. A teraz bywa tak tłoczno, że nie sposób iść chodnikiem.

- Ale to dobrze wpływa na interesy, mademoiselle.

- Nie na nasz. My specjalizujemy się w sprzedaży rzadkich i cennych rzeczy. Nie interesują nas tanie bibeloty. Ciocia ma klientów w całym kraju. Jeśli poszukują stołu, krzesła czy porcelany z konkretnego okresu, zamawiają rzecz u niej, a ona wcześniej czy później to zdobywa. Tak właśnie było w tym wypadku.

Widząc nasze zainteresowanie, dziewczyna wyjaśnia, że pewien Amerykanin, pan J. Baker Wood, jest koneserem i zbieraczem miniatur. Ostatnio na rynku pojawiły się bardzo cenne miniatury i panna Elizabeth Penn, ciotka Mary, kupiła je. Skontaktowała się z panem Woodem i podała cenę. Od razu odpowiedział, że gotów jest je kupić, jeśli miniatury rzeczywiście opowiadają opisowi, i prosił, aby ktoś przywiózł mu je do obejrzenia do Charlock Bay, gdzie aktualnie przebywa. Panna Durrant została więc wysłana jako reprezentant firmy.

- Rzeczywiście są piękne - powiedziała Mary - ale nie wyobrażam sobie, aby ktokolwiek chciał za nie dać tyle pieniędzy. Pomyślcie tylko, pięćset funtów! To są miniatury Coswaya. Zaraz, czy na pewno Coswaya? Zawsze wszystko mi się myli.

Poirot uśmiechnął się.

- Brakuje jeszcze pani doświadczenia, prawda, *mademoiselle*?

- Nie jestem wykształcona - odparła Mary ze smutkiem. - Nic nie wiem o antykach. Wiele muszę się nauczyć.

Westchnęła. Wtem zobaczyłem, że jej oczy otwierają ni się szeroko ze zdziwienia. Siedziała twarzą do okna i patrzyła na coś, co działo się na podwórku. Pośpiesznie przeproszając, zerwała się z krzesła i niemal wybiegła z restauracji. Po kilku minutach wróciła zadyszana i skruszona.

- Przepraszam, że tak wypadłam. Wydawało mi się, że jakiś mężczyzna zabiera z autokaru moją walizkę. Pobiegałam za nim, ale okazało się, że to była jego walizka. Wyglądała niemal identycznie jak moja. Zrobiło mi się strasznie głupio, jakbym go oskarżyła o kradzież.

Roześmiała się.

Poirot jednak jej nie zawtórował.

- Co to za mężczyzna? Proszę go opisać.

- W brązowym garniturze. Chudy, wysoki młody mężczyzna z rzadkim wąsem.

- Ach! Nasz wczorajszy znajomy, Hastings. Zna go pani, *mademoiselle* ? Czy już go pani gdzieś widziała?

- Nie, nigdy go nie widziałam. Czemu pan pyta?

- Ach, nic takiego. Zaciekawiał mnie - to wszystko

Poirot pogrążył się znowu w milczeniu; wyrwało go z niego dopiero coś, co powiedziała Mary.

- Przepraszam, *mademoiselle*, co pani mówiła? - spytał.

- Że wracając powinnam strzec się złoczyńców, jak ich pan nazywa. Wydaje mi się, że pan Wood zawsze płaci gotówką. Kiedy będę miała przy sobie pięćset funtów, może zainteresować się mną jakiś złodziej.

Roześmiała się znowu, a Poirot znowu jej nie zawtórował. Zapytał tylko, w jakim hotelu zatrzyma się w Charlock Bay.

- W "Kotwicy". Jest mały i niedrogi, ale zupełnie dobry.

- Ach! W "Kotwicy"! Właśnie tam, gdzie Hastings postanowił, że zamieszkamy. Co za zbieg okoliczności! - powiedział i mrugnął do mnie.

- Jak długo panowie zostają w Charlock Bay? - spytała Mary.

- Tylko jedną noc. Mam tam sprawę do załatwienia. Pewnie pani nie zgadnie, *mademoiselle*, jaki mam zawód?

Widziałem, że Mary rozważa kilka możliwości i odrzuca je po kolei, prawdopodobnie z ostrożności. W końcu zaryzykowała przypuszczenie, że Poirot jest magikiem, a jego bardzo to rozbawiło.

- Ach, co za pomysł! Pani myśli, że wyciągam króliki z kapelusza? Nie, *mademoiselle*. Jestem odwrotnością magika. Magik sprawia, że rzeczy znikają. Ja oprawiam, że rzeczy, które zniknęły, znowu się pojawiają.

- Pochylił się ku niej, aby jego słowa wywarły tym większe wrażenie. - To tajemnica, *mademoiselle*, ale pani powiem. Jestem detektywem!

Odchylił się w fotelu, zadowolony z efektu. Mary Durrant patrzyła na niego oniemiała. Niestety, dalsza rozmowa została uniemożliwiona przez dobiegające z podwórza straszliwe trąbienie klaksonów, oznajmiające że piekielne maszyny są gotowe do drogi.

Wychodząc z restauracji, podzieliłem się z Poirotem uwagą, że nasza nowa znajoma jest osobą pełną wdzięku. Poirot zgodził się.

- Owszem, jest urocza. Ale również głupiutka.

- Dlaczego głupiutka?

- Nie denerwuj się. Dziewczyna może mieć urodę i piękne rude włosy, a mimo to być głupiutka.

To szczyt głupoty zwierzać się dwom nieznanym, tak jak ona to zrobiła.

- Wiedziała, że jesteśmy godni zaufania.

- To bzdura, co mówisz, przyjacielu. Każdy złodziej zadba o to, by robić dobre wrażenie. Ta mała mówiła o konieczności zachowania ostrożności, kiedy będzie miała przy sobie pięćset funtów. Ale już teraz ma przy sobie pięćset funtów.

- W miniaturach.

- No właśnie. W miniaturach. A to nie stanowi większej różnicy, *mon ami*.

- Ale nikt o tym nie wie oprócz nas.

- I kelnera, i ludzi przy sąsiednim stoliku. I, bez wątplenia, paru osób w Ebermouth! *Mademoiselle* Durrant jest czarująca, ale na miejscu pani Elizabeth Penn przede wszystkim udzieliłbym jej kilku lekcji zdrowego rozsądku. - Urwał, po czym rzekł innym tonem:

- Wiesz, przyjacielu, byłoby najłatwiejszą rzeczą pod słońcem wyjąć walizkę z autokaru, kiedy wszyscy jedliśmy lunch.

- Och, Poirot, ktoś by to z pewnością zauważył.

- Ale co by zauważył? Że jakiś pasażer zabiera swój bagaż. Gdyby to zrobił nie kryjąc się, nikt by nic nie podejrzewał.

- Chcesz powiedzieć... Poirot, czy dajesz mi do zrozumienia, że... Ale ten facet w brązowym garniturze zabrał własną walizkę?

Poirot zmarszczył brwi.

- Na to wygląda. Tak czy owak, to dziwne, Hastings, że nie wyjął bagażu od razu, kiedy przyjechaliśmy. Widziałeś, że nie jadł z nami,

- Gdyby panna Durrant nie siedziała naprzeciw okna, toby go nie zauważyła - powiedziałem powoli.

- Ale skoro zabrał własną walizkę, to nie ma znaczenia - zauważył Poirot. - Zatem nie myślmy o tym więcej, *mon ami*.

Niemniej kiedy zajęliśmy nasze miejsca w autokarze ruszyliśmy w drogę, Poirot jeszcze raz skorzystał z okazji, by uświadomić Mary Durrant zalety trzymania języka za zębami, co dziewczyna przyjęła ulegle, ale z miną mówiącą, że uważa to wszystko za żart.

Do Charlock Bay przybyliśmy o czwartej po południu udało nam się wynająć pokoje w hotelu "Kotwica" - czarującym, staromodnym zajeździe położonym w bocznej uliczce.

Poirot właśnie się rozpakował i przed wyjściem na spotkanie z Josephem Aaronsem nakładał jakiś preparat "a wąsy, kiedy rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi.

- Proszę - zawołałem.

Ku mojemu zdumieniu w drzwiach pojawiła się zapłakana Mary Durrant.

- Bardzo przepraszam, ale stała się straszna rzecz. Pan mówił, że jest pan detektywem, prawda? -

zwróciła się do Poirota.

- A co się stało, *mademoiselle*?

- Otworzyłam walizkę. Miniatury były w kasetce z krokodylej skóry, zamkniętej na kluczyk. A teraz... proszę spojrzeć! - wyciągnęła przed siebie małą kwadratową kasetkę.

Poirot wziął ją od dziewczyny i obejrzał. Kasetka została otwarta siłą. Ktoś musiał się mocować z zamkiem; ślady były wyraźne. Poirot pokiwał głową.

- A miniatury? - spytał, choć obaj dobrze znaliśmy odpowiedź.

- Nie ma. Zostały ukradzione. Och, co mam zrobić?

- Proszę się nie martwić - rzekłem. - Mój przyjaciel to sam Herkules Poirot. Musiała pani o nim słyszeć. Jeśli te miniatury są w ogóle do odzyskania, to on tego dokona.

- *Monsieur* Poirot. Wielki *monsieur* Poirot!

Wyraźny szacunek w głosie dziewczyny mile połechtał próżność detektywa.

- Tak, moje dziecko - rzekł. - To ja, we własnej osobie. Może pani zostawić sprawę w moich rękach. Zrobię wszystko, co tylko możliwe. Ale obawiam się, że jest już zbyt późno. Proszę mi powiedzieć, czy zamek walizki też został wyłamany?

Mary pokręciła głową.

- Chciałbym obejrzeć walizkę.

Poszliśmy razem do jej pokoju i Poirot dokonał dokładnych oględzin. Walizka z pewnością została otwarta kluczykiem.

- To całkiem proste. Zamki w walizkach są do siebie podobne. Eh bien, musimy zadzwonić na policję i również jak najszybciej skontaktować się z panem Bakerem Woodem. Sam się tym zajmę.

Gdy wyszliśmy razem, zapytałem, co miał na myśli, mówiąc, że już może być za późno.

- *Mon cher* - odparł - powiedziałem dziś, że jestem odwrotnością magika: sprawiam, że rzeczy, które zniknęły, pojawiają się na nowo. Ale przypuśćmy, że ktoś mnie uprzedzi. Nie rozumiesz? Poczekaj chwilę.

Wszedł do budki telefonicznej. Po pięciu minutach wynurzył się z niej z bardzo poważną miną.

- Stało się to, czego się obawiałem. Pół godziny temu u pana Wooda pojawiła się kobieta z miniaturami. Przedstawiła się mówiąc, że przysyła ją panna Elizabeth Penn. Pan Wood zachwycił się miniaturami i natychmiast je kupił.

- Pół godziny temu... czyli, zanim tu przyjechaliśmy

Poirot uśmiechnął się enigmatycznie.

- Autokary "Błyskawicy" są szybkie, ale dobre auto z Monkhampton zdołałoby przyjechać tu dobre pół godziny szybciej.

- Co teraz zrobimy?

- Zawsze jesteś praktyczny, Hastings. Zawiadomimy policję, zrobimy, co się da dla panny Durrant i z pewnością udamy się na rozmowę z panem J. Bakerem Woodem.

Zrealizowaliśmy nasze plany. Biedna Mary Durrant była ogromnie przygnębiona, bojąc się, że ciotka obarczy ją winą za to zdarzenie.

- I pewnie to zrobi - powiedział Poirot, gdy wyruszyliśmy do hotelu "Wybrzeże", gdzie zatrzymał się pan Wood. - Zresztą będzie miała rację. Pomyśl tylko, zostawić miniatury warte pięćset funtów w walizce i pójść na lunch! W tej sprawie jest jednak kilka interesujących punktów. Na przykład, dlaczego wyłamano zamek w kasetce?

- Żeby wyjąć miniatury.

- Czy to nie głupota? Powiedzmy, że w czasie lunchu złodziej grzebie w bagażu pod pretekstem wyjmowania własnej walizki. Przecież o wiele łatwiej jest otworzyć walizkę, przełożyć całą kasetkę do własnej torby i odejść, niż tracić czas na otwarcie zamka.

- Musiał upewnić się, że w środku są miniatury.

Poirot nie wyglądał na przekonanego, ale nie miał czasu na dyskusję, ponieważ prowadzono nas akurat do apartamentów pana Wooda.

Kiedy ujrzałem kolekcjonera, natychmiast poczułem do niego niechęć.

Prostactwo było od tego wielkiego mężczyzny, ubranego zbyt strojnie. Na palcu miał pierścień z wielkim diamentem, zachowywał się głośno i z pewnością siebie.

Naturalnie, że niczego nie podejrzewał. Kobieta powiedziała, że ma miniatury. Zresztą bardzo piękne. Czy spisał numery banknotów? Nie spisał. A kim właściwie jest pan eee... pan Herkules Poirot, że zadaje mu takie pytania?

- O nic więcej już nie będę pytał, chciałbym jeszcze tylko prosić o rysopis kobiety, która przyniosła miniatury Czy była młoda i ładna?

- Nie, sir. Wręcz przeciwnie. Była to wysoka kobieta. w średnim wieku, siwowłosa, z krostowatą cerą i wyraźnym wąsikiem. Syrena? Nigdy w życiu.

- Poirot - zawołałem, gdy znaleźliśmy się za drzwiami. - Wąsik! Słyszałeś???

- Owszem, Hastings, mam uszy.

- Co za nieprzyjemny typ.

- No cóż, na pewno nie jest miły.

- Powinniśmy bez trudu złapać złodzieja. Mamy jego rysopis.

- Jesteś taki naiwny, Hastings. Nie słyszałeś o czymś takim, jak alibi?

- Myślisz, że będzie miał alibi?

Poirot odparł nieoczekiwanie:

- Mam szczerą nadzieję, że tak.

- Kłopot z tobą - rzekłem - polega na tym, że lubisz komplikować sprawy.

- Masz rację, *mon ami*.

Przepowiednia Poirota spełniła się. Dowiedzieliśmy się, że nasz towarzysz podróży nazywa się Norton Kane i od razu po przybyciu do Monkhampton udał się do hotelu "George", gdzie spędził całe popołudnie. Jedyne poszlaki przeciwko niemu pochodziły od panny Durrant, która zeznała, że widziała, jak wyjmował bagaż, kiedy byliśmy na lunchu.

- W wyjmowaniu bagażu nie ma nic podejrzanego - zauważył Poirot i nie chciał więcej na ten temat rozmawiać. Zamilkł na dłuższą chwilę, a kiedy go wypytywałem, o czym myśli, wyznał, że ogólnie na temat wąsów i że ja powinienem zrobić to samo.

Odkryłem jednak, że poprosił pana Josepha Aaronsa, z którym spędził wieczór, żeby powiedział mu, co wie na temat Bakera Wooda. Ponieważ obydwoj mieszkałi w tym samym hotelu, istniała szansa że do Aaronsa otały jakieś strzępy informacji. Niestety, wszystko, czego się dowiedział, Poirot zatrzymał dla siebie.

Po złożeniu zeznań na policji Mary Durrant wróciła do Ebermouth porannym pociągiem. My zjedliśmy lunch z Josephem Aaronsem, po czym Poirot oznajmił, że udało mu się rozwiązać jego problemy i możemy wracać do Ebermouth.

- Ale nie autokarem, *mon ami*, tym razem pojedziemy pociągiem.

- Boisz się, że cię okradną, czy że spotkasz następną piękność w kłopotach?

- Jedno i drugie, Hastings, może zdarzyć się również w pociągu. Nie, śpieszę się do Ebermouth, ponieważ pragnę kontynuować naszą sprawę.

- Naszą sprawę?

- Ależ tak, przyjacielu. *Mademoiselle* Durrant prosiła mnie o pomoc. Fakt, że zajęła się tym policja, nie oznacza, że pragnę od wszystkiego umyć ręce. Przyjechałem tu na prośbę przyjaciela, ale nikt nigdy nie powie, że Herkules Poirot opuścił w potrzebie nieznanego - rzekł z emfazą Poirot i dumnie się wyprostował.

- Wydaje mi się, że już wcześniej się nim zainteresowałaś - zauważyłem przebiegle. - W biurze turystycznym, kiedy po raz pierwszy zobaczyłaś tego mężczyznę, choć nie mam pojęcia, co przyciągnęło wtedy twoją uwagę.

- Nie wiesz, Hastings? Zatem niech to pozostanie moją tajemnicą.

Przed wyjazdem udaliśmy się jeszcze na krótką rozmowę z zajmującym się tą sprawą inspektorem policji. Rozmawiał z Nortonem Kane i w zaufaniu zdradził Poirotowi, że zachowanie tego młodego człowieka nie uczyniło na nim dobrego wrażenia. Odgrażał się, wszystkiego się wypierał i zaprzeczał sam sobie.

- Przyznam, że nie wiem, jak to zostało zrobione - powiedział. - Mógł wręczyć łup współnikowi, który wsiadł do szybkiego samochodu i od razu odjechał. Ale to tylko teoria. Musimy znaleźć samochód, współnika i wszystko udowodnić.

Poirot w zamyśleniu pokiwał głową.

- Myślisz, że to tak właśnie się odbyło? - spytałem go, kiedy siedzieliśmy już w pociągu.

- Nie, przyjacielu, na pewno nie tak. Zrobiono to sprytniej.

- Nie powiesz mi?

- Jeszcze nie. Wiesz, że nie lubię zdradzać sekretów przed końcem - to moja słabość.

- A czy ten koniec będzie szybko?

- Bardzo szybko.

Przyjechaliśmy do Ebermouth nieco po szóstej i Poirot od razu wziął taksówkę do sklepu, nad którym wisiał szyld "Elizabeth Penn". Zakład był zamknięty, ale Poirot zadzwonił i wkrótce drzwi otworzyła nam sama Mary, zdumiona i zachwycona naszym widokiem.

- Proszę wejść, przedstawię panów cioci - powiedziała.

Poprowadziła nas do pokoju z tyłu domu. Na spotkanie wyszła siwowłosa kobieta; delikatną różową cerą i błękitnymi oczami przypominała damy z miniatur. Na pochylone ramiona miała zarzuconą pelerynkę z bezcennej starej koronki.

- Czy to wielki Herkules Poirot? - spytała cichym, czarującym głosem. - Mary opowiadała mi o panu. Trudno uwierzyć, że pan naprawdę chce nam pomóc w kłopotach.

Poirot przyglądał jej się przez chwilę, po czym uklonił się i rzekł:

- *Mademoiselle* Penn, rezultat jest oszałamiający. Ale uważam, że pani powinna zapuścić wąż.

Panna Penn wydała cichy okrzyk i cofnęła się o krok.

- Wczoraj nie było pani w sklepie, prawda?

- Byłam tu rano. Potem rozboleła mnie głowa i poszłam do domu.

- Nie do domu, *mademoiselle*. Pomyślała pani, że na ból głowy dobrze pani zrobi zmiana klimatu, czyż nie? Słyszałem, że klimat Charlock Bay jest orzeźwiający.

Poirot ujął mnie pod ramię i pociągnął ku wyjściu. W drzwiach odwrócił głowę i rzekł:

- Widzi pani, że wiem o wszystkim. Należy skończyć tę farsę.

W jego głosie słychać było pogroźkę. Panna Penn, kredowo blada, kiwnęła tylko głową. Poirot rzekł do dziewczyny:

- *Mademoiselle*, jest pani młoda i urocza. Ale jeśli będzie się pani wdawać w takie sprawy, pani młodość i urok zwiędną za kratami więzienia. A szkoda by było, mówie to pani ja, Herkules Poirot.

Z tymi słowami wyszedł na ulicę, a ja, zdumiony, podążyłem za nim.

- Od samego początku byłem zainteresowany tą sprawą, *mon ami*. Zauważyłem, że dziewczyna nagle zwróciła uwagę na tego młodzieńca, kiedy powiedział, że rezerwuje bilet tylko do Monkhampton. Dlaczego tak ją to zainteresowało? Nie był przystojny, żadna kobieta się za nim nie obejrzała. Kiedy wsiedliśmy do autokaru, miałem wrażenie, że coś się stanie. Kto widział, jak ten mężczyzna zabierał bagaż? Tylko *mademoiselle*, a przypomnij sobie, że wybrała miejsce naprzeciw okna - to bardzo nietypowy wybór jak na kobietę.

Potem przyszła do nas z historyjką o rabunku; wyłamanie zamka w kasetce to kompletny bezsens, jak już ci mówiłem.

A po co to wszystko? Pan Baker Wood kupił kradziony towar. Miniatury wrócą do panny Penn, która je sprzeda i zarobi tysiąc funtów zamiast pięciuset. Przeprowadzam dyskretny wywiad i dowiaduję się, że ma kłopoty finansowe; sytuacja jest krytyczna. Mówię sobie: dziewczyna i jej ciotka są w to wmieszane.

- Nie podejrzewałeś wcale Nortona Kane?

- *Mon ami*! Z tym wąsem? Kryminalista jest albo gładko ogolony, albo ma porządne wąsy, które w każdej chwili może zgolić. Ale co to była za okazja dla sprytniej panny Penn! Kiedy ta drobna starsza kobieta z delikatną różową cerą wyprostuje się, włoży duże buty, "poprawi" sobie cerę kilkoma pryszczami i na koniec przyklei kilka włosów nad górną wargą, pan Wood mówi: "kobieta o męskim typie urody", a my natychmiast myślimy: "przebrany mężczyzna".

- Czy ona naprawdę pojechała wczoraj do Charlock?

- Z pewnością. Może pamiętasz, jak mówiłeś mi, że pociąg wyjechał stąd o jedenastej, a do Charlock Bay przybył o drugiej. Pociąg powrotny, ten którym wróciliśmy, jedzie jeszcze szybciej. Wyjeżdża z Charlock pięć po czwartej i jest na miejscu kwadrans po szóstej. Naturalnie, w kasetce wcale nie było miniatur, zamek został artystycznie zepsuty przed podróżą. *Mademoiselle* Mary miała tylko znaleźć naiwniaków, którzy będą jej współczuć i pomogą uroczej kobiecie w nieszczęściu. Ale jeden z tych naiwniaków nie był naiwny. To był Herkules Poirot!

Nie spodobał mi się wniosek, który sam się narzucał. Pośpiesznie zmieniłem temat:

- Zatem, kiedy powiedziałeś, że pomagasz obcemu, celowo mnie oszukiwałeś. Inaczej nie da się tego nazwać.

- Nigdy cię nie oszukuję, Hastings. Sam się oszukałeś. Mówiłem o panu Bakerze Wood, który jest obcy w tym kraju. - Twarz Poirota spochmurniała. - Kiedy tylko pomyślę o tych naciągaczach, żądających tej samej zapłaty za bilet do Charlock Bay, co za powrotny, krew się we mnie gotuje! Baker Wood nie jest miłym człowiekiem, ale to obcokrajowiec! A my, obcokrajowcy, Hastings, musimy się popierać. Jestem po stronie obcokrajowców!

Tajemnica Market Basing

- Nie ma jak wieś, prawda? - zauważył inspektor Japp, w jak najbardziej prawidłowy sposób wdychając głęboko powietrze przez nos i wydychając ustami.

Poirot i ja chętnie zgodziliśmy się z nim. Pomysł wyjazdu na weekend do małego miasteczka Market Basing zrodził się w głowie inspektora Scotland Yardu. Prywatnie Japp był zapalonym botanikiem, a o maciupeńkich kwiatkach z niewiarygodnie długimi łacińskimi nazwami (które czasem bardzo dziwnie wymawiał) potrafił rozprawiać z jeszcze większym entuzjazmem niż o sprawach zawodowych.

- Chodzi o to - wyjaśnił Japp - żeby nikt nas nie znał i żebyśmy my nikogo nie znali.

To życzenie jednak się nie spełniło. Okazało się, że miejscowy posterunkowy został tu przeniesiony z wioski odległej o piętnaście mil, w której kiedyś zdarzył się wypadek otrucia arsenikiem, i z tej okazji zetknął się z inspektorem Scotland Yardu. Na szczęście radość posterunkowego ze spotkania z "wielkim" człowiekiem pomnożyła tylko zadowolenie Jappa i kiedy i w niedzielę zasiedliśmy do śniadania w jadalni wiejskiej gospody, do której w promieniach słońca zaglądały przez okna wąsy wiciokrzewu - mieliśmy jak najlepsze nastroje. Jajka na bekonie smakowały wyśmienicie, kawa była trochę gorsza, ale na szczęście gorąca.

- Co za życie - westchnął Japp. - Kiedy przejdę na emeryturę, zamieszkam na wsi, jak tutaj. Z dala od zbrodni.

- *Le crime, il est partout*[58] - zauważył Poirot, biorąc zgrabną prostokątną kromkę chleba i marszcząc brwi na widok wróbla, który beczelnie przycupnął na parapecie.

- Boże - powiedział Japp, przeciągając się na krześle - wydaje mi się, że jeszcze zmieszczę jajko i ze dwa plasty bekonu. Co pan na to, kapitanie?

- Ja również - odparłem ochoczo. - A ty, Poirot?

Poirot pokręcił głową.

- Nie można tak napychać żołądka, żeby mózg przestał funkcjonować - rzekł.

- Zaryzykuję - zaśmiał się Japp. - Mam duży żołądek. A propos, sam pan przytył, panie Poirot. Panienko, dwa razy jajko na bekonie.

W tej chwili w drzwiach pojawiła się imponująca postać. Był to posterunkowy Pollard.

- Mam nadzieję, że wybaczy mi pan, inspektorze, że go niepokoję, ale chciałbym zasięgnąć pańskiej rady.

- Jestem na wakacjach - odparł pośpiesznie Japp. - Nie przyjmuję żadnej pracy. A co to za sprawa?

- Gentleman w Leigh House strzelił sobie w głowę.

- Zdarza się - rzekł Japp. - Pewnie dług albo kobieta. Przykro mi, że nie mogę ci pomóc, Pollard.

- Chodzi o to - wyjaśnił posterunkowy - że nie mógł się sam zastrzelić. Przynajmniej tak mówi doktor Giles.

Japp odłożył filiżankę.

- Nie mógł się sam zastrzelić? Co macie na myśli?

- To doktor Giles tak twierdzi - powtórzył Pollard. - Mówi, że to wykluczone. Nie może wyjść ze zdumienia, bo drzwi były zamknięte od wewnątrz, a okna zaryglowane. Ale on obstaje przy tym, że ten mężczyzna nie mógł popełnić samobójstwa.

To zmieniało całą sprawę. Zrezygnowaliśmy z następnych porcji jajek na bekonie i gdy kilka minut później podążaliśmy pośpiesznie do Leigh House, Japp wypytywał posterunkowego o szczegóły.

Zmarły Walter Protheroe był w średnim wieku i uchodził za odludka. W Market Basing pojawił się osiem lat temu i wynajął Leigh House, duży, zniszczony dwór, szybko popadający w ruinę. Całym gospodarstwem zajmowała się służąca, która przyjechała razem z nim. Panna Clegg, tak się nazywała ta kobieta, była osobą wyniosłą i bardzo szanowaną w wiosce. Ostatnio do pana Protheroe przyjechali goście, państwo Parkerowie z Londynu. Tego dnia rano, nie otrzymując odpowiedzi na wołanie i zaniepokojona zamkniętymi drzwiami, panna Clegg zadzwoniła na policję i wezwała lekarza. Posterunkowy Pollard i doktor Giles przybyli równocześnie, a dzięki ich wspólnym wysiłkom wyważono dębowe drzwi sypialni.

Pan Protheroe leżał na podłodze z dziurą w głowie, w prawej dłoni ściskając pistolet. Klasyczny przypadek samobójstwa. Jednak, obejrzawszy ciało, doktor Giles wyraźnie się zaniepokoił. W końcu odciągnął policjanta na bok i podzielił się z nim wątpliwościami. Były tak istotne, że Pollard natychmiast pomyślał o Jappie i, pozostawiając doktora na posterunku, popędził do gospody.

Zanim posterunkowy skończył relację, dotarliśmy do Leigh House, dużego opuszczonego domu stojącego w zaniedbanym i zachwaszczonym ogrodzie. Drzwi wejściowe były otwarte, weszliśmy więc od razu do halu, a stamtąd do małego salonu, skąd dobiegały głosy. W pokoju były cztery osoby: nieco pretensjonalnie ubrany mężczyzna z chytrą, niesympatyczną twarzą, który natychmiast wzbudził moją niechęć; kobieta w tym samym typie, choć dosyć przystojna; jeszcze jedna kobieta w skromnej czarnej sukni, stojąca na uboczu, którą wziąłem za gospodynię; wreszcie wysoki mężczyzna w sportowym tweedowym ubraniu z inteligentną twarzą, najwyraźniej panujący nad sytuacją.

- Doktorze Giles - rzekł posterunkowy - to detektyw inspektor Japp ze Scotland Yardu oraz dwaj jego przyjaciele.

Lekarz przywitał nas i przedstawił Parkerom. Razem udaliśmy się na górę. Pollard na polecenie Jappa pozostał na parterze, jak gdyby na straży domu. Na piętrze, na końcu korytarzyka były otwarte drzwi. Z zawiasów sterczały drzazgi, a wyłamane drzwi wpadły do pokoju.

Weszliśmy do środka. Ciało leżało na podłodze. Pan Protheroe był mężczyzną, brodatym, siwiejącym na skrobiach. Japp przyklęknął przy ciele.

- Czy musieliście go ruszać? - utyskiwał.

Lekarz wzruszył ramionami.

- Wyglądało to na samobójstwo.

- Hm - mruknął Japp. - Wlot kuli za lewym uchem.

- No właśnie - rzekł doktor. - Nie mógł się sam ustrzelić. Musiałby owinać prawą rękę wokół głowy. niewykonalne.

- W rękę ściskał pistolet? A propos, gdzie on jest?

Lekarz ruchem głowy wskazał na stół. - Nie ściskał pistoletu w dłoni - sprostował. - Miał broń w ręce, ale palce nie były na niej zaciśnięte.

- Została włożona później. To oczywiste - powiedział inspektor, oglądając pistolet. - Jeden nabój wystrzelony. Sprawdźmy odciski palców, ale wątpię, czy znajdziemy jakieś poza pańskimi, doktorze

Giles. Kiedy zmarł?

- W nocy. Nie mogę podać dokładnej godziny, tak jak ci wspaniali lekarze w powieściach kryminalnych. Nie żyje mniej więcej od dwunastu godzin.

Do tej pory Poirot stał koło mnie, przyglądając się pracy Jappa i przysłuchując rozmowie. Od czasu do czasu węszył tylko w powietrzu z zaintrygowaną miną. Poszedłem w jego ślady, ale nic nie poczułem. Powietrze i wydawało się świeże i bezwonne. A jednak Poirot od czasu do czasu pociągał nosem podejrzliwie, jakby jego wrażliwsze zmysły wyczuły coś, co mi umknęło.

Kiedy Japp odsunął się od ciała, uklęknął przy nim Poirot. Nie zainteresował się raną. Najpierw myślałem, że przygląda się palcom tej ręki, w której zmarły trzymał pistolet, ale po chwili zorientowałem się, że jego uwagę zwróciła chusteczka schowana w rękawie. Pan Protheroe miał na sobie ciemnoszary garnitur. W końcu Poirot wstał z klęczek, ale wzrokiem ciągle wracał do chusteczki, jakby czymś zaintrygowany,

Gdy Japp poprosił go o pomoc w podniesieniu drzwi. postanowiłem wykorzystać okazję. Ukląknęłam przy ciele i wyjąwszy chusteczkę z rękawa zmarłego, uważnie się jej przyjrzałem. Była to najzwyczajniejsza chusteczka z białego batystu, bez żadnych plam czy znaków. Odłożyłem ją na miejsce, kompletnie zbity z tropu.

Gdy podniesiono drzwi, zorientowałem się, że szukają klucza. Niestety, szukali na darmo.

- To rozstrzyga wątpliwości - stwierdził Japp. - Okno jest zamknięte i zaryglowane. Morderca wyszedł drzwiami, zamykając je za sobą. Liczył na to, że pomyślimy, iż Protheroe zamknął się w pokoju i popełnił samobójstwo, i że nikt nie dostrzeże braku klucza. Zgadza się pan ze mną, panie Poirot?

- Tak, zgadzam się; ale byłoby prościej wsunąć klucz pokoju przez szparę pod drzwiami. Wówczas wyglądałoby to tak, jak gdyby klucz wypadł z zamka.

- Niech pan nie oczekuje, że każdy będzie miał równie świetne pomysły, jak pan. Lepiej nie myśleć, co by to było, gdyby został pan zbrodniarzem. Jeszcze jakieś uwagi, panie Poirot?

Wydawało się, że Poirot nie wie, co powiedzieć. rozglądał się po pokoju i w końcu niemal przepraszającym tonem zauważył:

- Zmarły dużo palił.

To prawda, w kominku leżało mnóstwo niedopałków, i popielniczka na stoliku koło wielkiego fotela też była pełna.

- W nocy musiał wypalić ze dwadzieścia papierosów - dodał Japp. Schylił się i uważnie zbadał wnętrze kominka, potem zainteresował się popielniczką. - Wszystkie są takie same - oznajmił - i palił je ten sam człowiek. Nic w nich nie ma, panie Poirot.

- Wcale nie sugerowałem, że coś jest - mruknął mój przyjaciel.

- Ha! - zawołał Japp. - A to co? - Rzucił się na coś błyszczącego, co leżało na podłodze koło ciała. - Pęknięta spinka od mankietów. Ciekawe, czyja. Doktorze Giles, byłbym wdzięczny, gdyby zszedł pan na dół i przysłał tu gospodynię.

- A co z Parkerami? On koniecznie chce wyjechać. Mówi, że czekają na niego pilne sprawy w Londynie.

- No pewnie. Ale będą musiały poczekać. Na razie wydaje się, że będzie miał pilne sprawy do załatwienia tu, na miejscu. Proszę przysłać gospodynię i razem z Pollardem uważać, żeby Parker ani jego żona się nie wymknęli. Czy ktoś z domowników wchodził rano do tego pokoju?

Lekarz zastanowił się.

- Nie. Kiedy wszedłem tu razem z Pollardem, stali na zewnątrz w korytarzu.

- Jest pan pewien?

- Absolutnie.

Doktor oddalił się.

- Świetny facet - pochwalił go Japp. - Niektórzy lekarze to równi goście. Hm, interesuje mnie, kto tego tu załatwił. Wygląda na robotę kogoś z tej trójki. Trudno mi podejrzewać gosposię. Przez osiem lat miała mnóstwo okazji, żeby go zastrzelić. Ciekawe, kto to są ci Parkerowie. Nie wyglądają miło.

W tym momencie pojawiła się panna Clegg. Była to chuda, kobieta, z siwymi włosami zaczesanymi z przedziałką pośrodku, zrównoważona i bardzo spokojna. Z jej postaci była budząca szacunek sprawność zawodowa. Na prośbę Jappa wyjaśniła, że u zmarłego pracowała czternaście lat. Jako pracodawca był hojny i delikatny. Ona pierwszy raz w życiu zobaczyła Parkerów trzy dni temu, kiedy niespodziewanie przyjechali z wizytą. Była przekonana, że sami się wprosili; pan z pewnością nie był uszczęśliwiony ich pojawieniem się. Jest pewna, że spinka od mankietów, którą pokazał jej Japp, nie należała do pana Protheroe. Jeśli chodzi o pistolet, to wydaje się jej, że pan miał podobny. Trzymał go pod kluczem. Widziała go raz kilka lat temu, ale nie jest pewna, czy to ten sam pistolet. W nocy nie słyszała strzału, ale to nic dziwnego, bo dom jest rozległy, a jej sypialnia i pokoje przygotowane dla Parkerów leżą w drugim końcu. Nie wie, o której pan Protheroe poszedł spać. O wpół do dziesiątej, kiedy się kładła, jeszcze nie spał. Nie miał zwyczaju kłaść się spać od razu, jak tylko udał się do siebie. Zazwyczaj siedział pół nocy, czytając i paląc. Bardzo dużo palił.

- Czy miał zwyczaj spać przy zamkniętym, czy przy otwartym oknie? - wtrącił pytanie Poirot.

- Okno było zazwyczaj otwarte, przynajmniej u góry.

- Teraz jest zamknięte. Czy potrafi to pani wyjaśnić?

- Nie, chyba że był przeciąg i pan je zamknął.

Japp zadał gospodyni jeszcze kilka pytań i podziękował jej. Następnie przesłuchał oddzielnie Parkerów. Pani Parker miała skłonność do hysterii i płaczu, a jej mąż był pewien siebie i rzucał obelgi. Zaprzeczył, jakoby spinka należała do niego (choć żona wcześniej ją rozpoznała), co mu bynajmniej nie pomogło. A ponieważ jednocześnie zapewnił, że nigdy nie wchodził do pokoju pana Protheroe, Japp uznał, że ma podstawy, by wystąpić o nakaz aresztowania.

Pozostawiając Pollarda na straży, inspektor udał się do wsi, by zadzwonić do Scotland Yardu. Ja razem z Poirotem wróciłem do gospody.

- Jesteś nadzwyczaj spokojny - powiedziałem. - Czyżby ta sprawa cię nie interesowała?

- *Au contraire*[59], ogromnie mnie interesuje. Ale również dziwi.

- Niejasny jest motyw - zauważyłem w zamyśleniu. - Jestem pewien, że Parker to nic dobrego. Sprawa przeciw niemu jest niemal gotowa, brak tylko motywu, ale to może wyjaśnić się później.

- Nie zauważyłeś niczego ważnego, co przeoczył Japp?

Spojrzałem na niego ciekawie.

- Co chowasz w rękawie, Poirot?

- A co zmarły chował w rękawie?

- Chusteczkę.

- Otóż to. Chusteczkę.

- Coś jeszcze?

Przeciwnie

- Ciągłe wracam do zapachu dymu papierosowego.
- Nic nie czułem - krzyknąłem zdziwiony.
- Ja też nie, *mon ami*.

Spojrzałem poważnie na Poirota. Tak trudno jest wyczuć, kiedy żartuje, a kiedy mówi serio, ale tym razem był zupełnie poważny i pogrążony w myślach

Dwa dni później odbyła się rozprawa wstępna, a tymczasem zebrano nowe dowody. Pewien włóczęga zeznał, że wszedł przez mur do ogrodu Leigh House, gdzie często sypiał w niezamykanej szopie. Powiedział, że o dwunastej słyszał, jak dwaj mężczyźni głośno się kłócili w pokoju na piętrze. Jeden żądał pieniędzy a drugi ze złością odmawiał. Schowany za krzakiem widział ich sylwetki, kiedy przechodzili koło okna. Jednego znał, to pan Protheroe, właściciel domu; w panu Parkerze zaś rozpoznał drugiego.

Teraz stało się jasne, że Parkerowie przyjechali do Leigh House szantażować pana Protheroe. A kiedy jeszcze okazało się, że prawdziwe nazwisko zmarłego brzmiało Wendover i że był porucznikiem marynarki zamieszanym w wysadzenie w 1910 roku w powietrze krążownika "Merrythought", sprawa szybko zaczęła się wyjaśniać. Przypuszczano, że Parker, świadom roli Wendovera, odnalazł go i zażądał pieniędzy za milczenie Wendover odmówił, wywiązała się kłótnia, wówczas gospodarz wyciągnął broń, a Parker wyrwał mu ją i strzelił, po czym spróbował zabójstwu nadać pozory śmierci samobójczej.

Parker został postawiony w stan oskarżenia, ale nie przedstawił żadnej obrony. Razem z Poirotem udaliśmy się na rozprawę wstępną. Gdy już wyszliśmy, Poirot pokiwał głową i mruknął pod nosem:

- Tak musi być. Tak, nie wolno dłużej zwlekać.

Poszedł na pocztę i napisał list, który wysłał przez posłańca. Nie zauważyłem, do kogo list był zaadresowany. Następnie wróciliśmy do gospody, w której zatrzymaliśmy się w tamten pamiętny weekend. Poirot był niespokojny, chodził nerwowo tam i z powrotem.

- Czekam na kogoś - wyjaśnił. - To niemożliwe, żebym się mylił? Nie, oto jest. Ku mojemu zdumieniu, po chwili do pokoju weszła panna Clegg. Nie była tak spokojna jak zwykle i ciężko dyszała, jakby biegła. Popatrzyła na Poirota, a w jej oczach widziałem strach.

- Proszę usiąść, mademoiselle - rzekł uprzejmie mój przyjaciel. - Dobrze zgadłem, czyż nie?

Panna Clegg wybuchnęła płaczem.

- Dlaczego pani to zrobiła? - spytał łagodnie Poirot.

- Kochałam go. Byłam jego niańką, kiedy był małym chłopcem. Och, niech pan ma litość nade mną!

- Zrobię, co będę mógł. Ale rozumie pani, że nie mogę pozwolić, aby powieszono niewinnego człowieka...nawet jeśli to łajdak.

Kobieta wyprostowała się i szepnęła:

- Właściwie ja też bym tego nie chciała. Proszę zrobić, co trzeba.

Wstała i szybko wyszła z pokoju.

- Czy ona go zastrzeliła? - spytałem kompletnie skołowany.

Poirot uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Sam się zastrzelił. Pamiętasz, że chusteczkę trzymał w prawym rękawie? To znaczy, że był

leworęczny. Bojąc się rozgłoszenia tajemnicy, po burzliwej rozmowie z Parkerem strzelił do siebie. Rano panna Clegg przyszła jak co dzień rano i znalazła go martwego na podłodze. Jak nam powiedziała, znała go od dzieciństwa i przepelniała ją nienawiść do Parkerów, którzy go do tego doprowadzili. Uważała ich za morderców. Nagle zorientowała się, że może sprawić, by zapłacili za czyn, za który byli odpowiedzialni. Tylko ona wiedziała, że zmarły był leworęczny. Przełożyła zatem pistolet z jego lewej ręki do prawej, zamknęła i zaryglowała okno, upuściła kawałek spinki od mankietu, który znalazła w pokoju na dole, i wyszła, zamykając drzwi i zabierając klucz.

- Poirot - zawołałem entuzjastycznie - jesteś wspaniały! Wszystko wydedukowałeś z jednej chustki do nosa!

- I dymu z papierosów. Gdyby okno było zamknięte. to przy tylu wypalonych papierosach pokój powinien cuchnąć dymem. Tymczasem powietrze było zupełnie świeże, zatem od razu przyszło mi do głowy, że okno musiało być otwarte przez całą noc i że zamknięto je dopiero rano. To mi podsunęło ciekawy ciąg skojarzeń. Nie potrafiłem wymyślić żadnych powodów, dla których morderca mógł chcieć zamknąć okno. Korzystniej byłoby dla niego zostawić je otwarte, a jeśliby teoria samobójstwa się nie utrzymała - udawać, że morderca uciekł tą właśnie drogą. Oczywiście zeznanie włóczęgi potwierdziło moje podejrzenia. Nie udałoby mu się podsłuchać rozmowy, gdyby okno było zamknięte.

- Doskonale! - zawołałem ze szczerym podziwem.

- A co byś teraz powiedział na podwieczorek?

- Typowy z ciebie Anglik - westchnął Poirot. - Przypuszczam, że nie uda mi się tu dostać szklaneczki *sirop de cassis*?

Gniazdo os

John Harrison wyszedł z domu i stał przez chwilę na tarasie, patrząc na ogród. Był to duży mężczyzna o szczupłej, trupiobladej twarzy. Zazwyczaj minę miał nieco ponurą, lecz kiedy się uśmiechał, tak jak teraz, stawał się niemal atrakcyjny.

John Harrison kochał swój ogród, który nigdy nie wyglądał piękniej niż tego sierpniowego wieczoru. Pnące róże ciągle jeszcze cieszyły oczy, w powietrzu unosiła się woń pachnącego groszku.

Słyszac dobrze znany dźwięk, Harrison gwałtownie odwrócił głowę. Kto otworzył furtkę? Po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz kompletnego zaskoczenia; zbliżający się wyelegantowany mężczyzna był ostatnią osobą której mógł się spodziewać.

- Wielkie nieba! - zawołał. - *Monsieur Poirot!*

Istotnie był to Herkules Poirot, detektyw, którego sława obiegła świat.

- Tak, to ja - powiedział gość. - Rzekł pan kiedyś: "Jeśli pan będzie w tej okolicy, proszę mnie odwiedzić". Trzymam pana za słowo. Oto jestem.

- Cieszę się bardzo - oświadczył serdecznie Harrison. - Proszę siadać. Czego się pan napije? - gościnnym gestem wskazał stolik na werandzie, na którym stała bateria butelek.

- Dziękuję - odparł Poirot, zagłębiając się w wiklinowym fotelu. - Nie ma pan przypadkiem *sirop de cassis*? Tak myślałem. Może zatem trochę wody sodowej, bez whisky. - Gdy gospodarz postawił przed nim szklankę, Poirot zauważył: - Co za upał! Moje wąsy zupełnie oklapły.

- A co pana sprowadza w to spokojne miejsce? - zainteresował się Harrison, padając na drugi fotel. - Przyjechał pan na wycieczkę?

- Nie, *mon ami*, zawodowo.

- Zawodowo? Do tej zapadłej dziury?

Poirot poważnie skinął głową.

- Ależ tak, przyjacielu. Nie wszystkie przestępstwa popelnia się w tłumie.

Harrison roześmiał się.

- Rzeczywiście, to była głupia uwaga. A w jakiej sprawie prowadzi pan tu dochodzenie, jeśli można zapytać?

- Można. Prawdę mówiąc chciałbym, aby pan zapytał.

Gospodarz spojrział zaintrygowany. W zachowaniu gościa wyczuł coś niecodziennego.

- Mówi pan, że prowadzi dochodzenie w sprawie przestępstwa - zaczął z wahaniem. - Poważnego przestępstwa?

- Najpoważniejszego z możliwych.

- To znaczy...

- Morderstwa.

Poirot tak poważnie wyrzekł to słowo, że jego rozmówcę zamurowało. Detektyw patrzył mu prosto w oczy, a spojrzenie miał tak dziwne, że Harrison nie wiedział, jak ma się zachować. W końcu rzekł:

- Nie słyszałem o żadnym morderstwie.

- Nie dziwię się, że pan nie słyszał.
- Kto został zamordowany?
- Jeszcze nikt - odparł detektyw.

- Słucham???

- Dlatego powiedziałem “nie dziwię się”, że nic pan o nim nie słyszał. Zajmuję się zbrodnią, która jeszcze nie została popełniona.

- Ależ to nonsens.

- Skądże. Jeśli tylko to jest możliwe, z pewnością lepiej zajmować się morderstwem, przed jego popełnieniem, niż po. Istnieje wówczas nadzieja, że uda się mu... zapobiec.

Harrison utkwiał niedowierzający wzrok w Poirocie.

- Pan nie mówi tego poważnie?

- Bardzo poważnie.

- Naprawdę wierzy pan, że zostanie popełnione morderstwo? To absurd!

- ...chyba że zdołamy mu zapobiec - uzupełnił Poirot, ignorując okrzyk Harrisona. - Tak, *mon ami*, to właśnie mam na myśli.

- My?

- Tak powiedziałem. Będę potrzebował pańskiej współpracy.

- I dlatego pan tu przyjechał?

Pod spojrzeniem Poirota Harrison poczuł się skrępowany.

- Przyjechałem tu, ponieważ... lubię pana.

I już zupełnie innym tonem dodał:

- Widzę, że ma pan gniazdo os. Powinien je pan usunąć.

Zmiana tematu zaskoczyła gospodarza. Podążył za wzrokiem Poirota i rzekł:

- Prawdę mówiąc, mam zamiar to zrobić. A właściwie robi to młody Langton. Pamięta pan Claude'a Langtona? Był na tym samym obiedzie, na którym się poznaliśmy. Dziś wieczorem przyjdzie zdjąć gniazdo. Sam mi to zaproponował.

- A jak zamierza się za to zabrać?

- Wstrzyknie do środka benzynę. Ma przynieść własną ogrodową strzykawkę, poręczniejszą niż moja.

- Jest jeszcze inny sposób, prawda? Zatrucie cyjankiem potasu.

Harrison spojrzał zdziwiony na gościa.

- Owszem, ale to niebezpieczna substancja. Trzymanie jej w domu to zawsze ryzyko.

Poirot pokiwał głową.

- Tak, to śmiertelna trucizna. - Po dłuższej chwili powtórzył: - Niebezpieczna trucizna.

- Chyba że chce się pozbyć teściowej, co? - zażartował gospodarz,

Ale Herkules Poirot pozostał poważny.

- Jest pan pewien, monsieur Harrison, że monsieur Langton zamierza posłużyć się benzyną przy likwidowaniu gniazda os?

- Naturalnie. Dlaczego pan pyta?

- Zastanowiło mnie jedno wydarzenie. Dziś po południu byłem w aptece w Barchester. Przy kupnie jednego ze specyfików musiałem podpisać się w rejestrze trucizn. Wpadł mi w oko ostatni wpis. Cyjanek potasu, a kupował go Claude Langton.

- To dziwne - zdumiał się Harrison. - Któregoś dnia Langton mówił mi, że nigdy by mu na myśl nie przyszło używać tego środka; powiedział nawet, że cyjanku w ogóle nie powinno się sprzedawać do takich celów.

- Czy lubi pan Langtona? - spytał cicho Poirot.

Harrison wytrzeszczył oczy. Pytanie zupełnie go zaskoczyło.

- Eee... to znaczy... oczywiście, że go lubię. Dlaczego miałbym go nie lubić?

- Tak się tylko zastanawiałem - odparł spokojnie detektyw - czy pan go lubi.

Ponieważ Harrison nic na to nie odpowiedział, Poirot dodał:

- Zastanawiałem się również, czy on pana lubi.

- O co panu chodzi, *monsieur* Poirot? Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

- Będę szczery. Jest pan zaręczony, panie Harrison. Znam pannę Molly Deane. To urocza, piękna dziewczyna. Zanim zaręczyła się z panem, była narzeczoną Claude'a Langtona. Rzuciła go dla pana.

Harrison skinął głową.

- Nie pytam o powody jej postępowania; możliwe, że miała rację. Ale powiem panu jedno: nie pomylimy się przypuszczając, iż Claude Langton nie zapomniał tego ani nie przebaczył.

- Myli się pan, *monsieur* Poirot. Przysięgam, że się pan myli. Langton zachował się, by tak rzec, sportowo; potrafi przyjąć porażkę jak prawdziwy mężczyzna. To zdumiewająco przyzwoity gość, robi co może, żeby pokazać, że nie żywi urazy.

- A czy to nie jest dziwne? Używa pan słowa "zdumiewająco", ale nie wydaje się pan zdumiony.

- Co pan ma na myśli, panie Poirot?

- To, że ludzie potrafią ukrywać nienawiść i czekać na okazję.

- Nienawiść? - Harrison odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Anglicy są głupi - rzekł Poirot. - Myślą, że potrafią nabrać innych, ale sami nie dadzą się zwieść. Przyzwoity, więc zachowuje się "sportowo". Anglicy nigdy nie uwierzą, że ktoś może kryć złe zamiary. A ponieważ są odważni, ale głupi, czasami umierają, choć mogliby tego uniknąć.

- Pan mnie ostrzega - szepnął Harrison. - Już rozumiem, co mnie tak cały czas zdumiewało. Ostrzega mnie pan przed Langtonem. Przyszedł pan tu, aby mnie ostrzec...

Poirot kiwnął głową. Harrison poderwał się nagle na równe nogi.

- Ale pan jest szalony, panie Poirot! Jesteśmy w Anglii. Tu się takie rzeczy nie zdarzają. Zawiedzeni kochankowie nie sztyletują ani nie trują rywali. I myli się pan co do Langtona. On nie zabiłby nawet muchy...

- Muchy mnie nie interesują - odparł pogodnie Poirot. - A choć pan mówi, że *monsieur* Langton nie zabiłby muchy, zapomina pan, że właśnie w tej chwili przygotowuje się do zabicia kilku tysięcy os.

Harrison nie odpowiedział od razu. Poirot, podminowany, zerwał się z fotela i złapał swego znajomego za ramię z taką energią, że tamten niemal się zachwiał.

- Wstań, przyjacielu - wysyczał mu w ucho - wstań i spójrz tam, gdzie pokazuję. Tam, na brzegu rzeki, tuż koło korzenia drzewa. Widzisz wracające osy, zadowolone z całego dnia? Nim minie godzina, ich gniazdo zostanie zniszczone, ale one o tym nie wiedzą. Nie ma im kto powiedzieć. Widocznie nie mają swego Herkulesa Poirota. Powiadam panu, panie Harrison, że przyjechałem tu zawodowo. Zawodowo zajmuję się zbrodnią. Przed i po popełnieniu. O której godzinie *monsieur* Langton ma przyjść zdejmować gniazdo os?

- Langton nigdy by...

- O której godzinie?

- O dziewiątej. Ale mówię panu, że się pan myli. Langton nigdy...

- Och, ci Anglicy! - wykrzyknął Poirot. Zirytowany porwał swój kapelusz i laskę. Odchodząc, odwrócił się jeszcze ku Harrisonowi:

- Nie będę się z panem kłócił. Tylko bym się zdenerwował. Ale zapowiadam, że wrócę tu o dziewiątej.

Harrison otworzył usta, lecz Poirot nie dopuścił go do głosu.

- Wiem, co chce pan powiedzieć: "Langton nigdy by" i tak dalej. Ale mimo to wrócę tu o dziewiątej. Powiedzmy, że chcę się zabawić, oglądając operację usuwania gniazda os. Wszak to jeden z waszych sportów!

Nie czekał na odpowiedź, tylko szybko wyszedł z ogrodu. Gdy zatrzasnął za sobą skrzypiącą furtkę, zwolnił kroku. Jego energia przygasła, twarz przybrała wyraz poważny i zmartwiony. Wyjął zegarek z kieszeni i sprawdził godzinę. Wskazówki pokazywały dziesięć po ósmej.

- Ponad trzy kwadranse - mruknął. - Zastanawiam się, czy nie powinienem był poczekać.

Jeszcze bardziej zwolnił kroku, wydawało się, że za chwilę zawróci. Naszło go niejasne przeczucie. Otrząsnął się jednak z niego i szedł dalej w kierunku wioski. Nadal jednak był zmartwiony i kilka razy potrząsnął głową, jakby targany wątpliwościami.

Brakowało jeszcze kilku minut do dziewiątej, kiedy znów stanął przed furtką ogrodu Hamsona. Był spokojny, cichy wieczór. Najmniejszy wietrzyk nie poruszał liśćmi drzew. Ta nieruchomość miała w sobie coś złowieszczonego, jak cisza przed burzą.

Poirot lekko przyśpieszył. Nagle zatrwożył się i stracił dotychczasową pewność. Bał się, ale sam nie wiedział czego.

W tej chwili otworzyła się furtka i z ogrodu wyszedł Claude Langton. Na widok Poirota wyraźnie drgnął.

- Och... dobry wieczór.

- Dobry wieczór, *monsieur* Langton. Wcześniej pan przyszedł.

Langton spojrzał zdumiony na Poirota: - Nie wiem, o czym pan mówi.

- Zdjął pan już gniazdo os?

- Prawdę mówiąc, nie.

- Ach - rzekł cicho Poirot. - Zatem nie zdjął pan gniazda. A co pan robił?

- Rozmawialiśmy trochę z Harrisonem. Teraz już naprawdę muszę uciekać, panie Poirot. Nie miałem pojęcia, że jest pan w tej okolicy.

- Miałem tu sprawę do załatwienia.

- Aha. Harrisona znajdzie pan na tarasie. Przepraszam, że nie mogę dłużej rozmawiać.

Poirot patrzył za oddalającym się mężczyzną. Nerwowy młodzieniec, przystojny, ale po ustach widać, że ma słaby charakter.

- Zatem Harrison jest na tarasie - mruknął pod nosem Poirot. - Zobaczymy.

Wszedłszy do ogrodu, zobaczył Harrisona, siedzącego na krześle przy stole. Nie ruszał się, nie odwrócił nawet głowy, kiedy Poirot stanął przy nim.

- *Mon ami!* Dobrze się pan czuje? - zagadnął go detektyw.

Po dłuższej chwili Harrison odezwał się martwym głosem:

- Co pan mówił?
- Pytałem, czy dobrze się pan czuje.
- Czy dobrze? Naturalnie, że dobrze. Dlaczego miałbym się źle czuć?
- Nie czuje pan skutków ubocznych? To dobrze.
- Jakich skutków ubocznych? Po czym?
- Po sodzie do prania.

Harrison zerwał się z fotela.

- Po jakiej sodzie? O czym pan mówi?

Poirot uśmiechnął się przeprasząco.

- Ogromnie żałuję, że musiałem się do tego uciec. Włożyłem ją panu do kieszeni.

- Do mojej kieszeni? Po co? - zdumiał się Harrison.

- Widzi pan, jedną z zalet (albo wad) zawodu detektywa - zaczął Poirot spokojnym, beznamyślnym głosem, jak nauczyciel tłumaczący coś małemu dziecku - jest kontakt z kryminalistami. A od nich można dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy. Pamiętam kieszonkowca... zająłem się jego sprawą, bo akurat zdarzyło mu się nie popełnić tego, o co go oskarżano, i go wybroniłem. Z wdzięczności odplacił mi się w jedyny sposób, który przyszedł mu do głowy: nauczył mnie sekretów swojego zawodu.

Umiem więc wyjąć co chcę z kieszeni bliźniego tak, że ten się nawet nie zorientuje. Kładę mu rękę na ramieniu, wpadam w podniecenie... i on nic nie czuje. W ten sposób udało mi się również przełożyć sodę do prania z mojej kieszeni do jego. Widzi pan - ciągnął zadumanym tonem Poirot - jeśli ktoś chce szybko wsypać do szklanki truciznę, tak żeby nikt tego nie zauważył, musi trzymać ją w prawej kieszeni marynarki. Inne miejsce nie wchodzi w grę. Wiedziałem, że tam będzie.

Wsunął rękę do kieszeni i wyjął kilka białych kryształków.

- Noszenie ich luzem jest niezwykle niebezpieczne - mruknął.

Spokojnie, bez pośpiechu wyciągnął z drugiej kieszeni fiolkę z szeroką szyjką. Wrzucił do niej kryształki, podszedł do stołu i napełnił fiolkę wodą. Następnie szczelnie ją zakorkował i potrząsał tak długo, aż kryształki całkiem się rozpuściły. Harrison przyglądał się zafascynowany.

Poirot podszedł do gniazda os i odwracając głowę polał je roztworem. Cofnął się kilka kroków i obserwował, co się będzie działo.

Nadlatujące osy usiadły na gnieździe, zadrżały, a po chwili leżały martwe. Te, które wyszły z gniazda, też padły nieżywe. Poirot patrzył przez chwilę, po czym pokiwał głową i wrócił na werandę.

- Szybka śmierć - rzekł. - Bardzo szybka.
- Co pan wie? - spytał Harrison, odzyskawszy głos.

Poirot spojrzał przed siebie.

- Jak panu mówiłem, zobaczyłem nazwisko Langtona w rejestrze trucizn. Nie powiedziałem jednak panu, że niemal zaraz potem go spotkałem. Powiedział, że prosił go pan o kupno cyjanku potasu, bo chce pan zatruć gniazdo os. Wydało mi się to nieco dziwne, ponieważ pamiętam, że na obiedzie, o którym pan wspominał, opowiadał pan o zaletach benzyny i twierdził że cyjanek jest niebezpieczny i do tego celu całkowicie niepotrzebny.

- I co?

- Wiedziałem jeszcze o czymś. Wiedziałem Claude'a Langtona z Molly Deane wtedy, kiedy byli

przekonani, że nikt ich nie widzi. Nie wiem, dlaczego się rozstali, ale zdałem sobie sprawę, że nieporozumienie zostało zapomniane i panna Deane wróciła do swego poprzedniego ukochanego. - Jeszcze czegoś byłem świadomy, przyjacielu. Któregoś dnia zobaczyłem pana na Harley Street, wychodzącego od lekarza. Znałem go, wiedziałem, jakie choroby leczy, i zauważyłem wyraz pańskiej twarzy. Widziałem taki wyraz zaledwie parę razy w życiu, lecz niełatwo go zapomnieć. To twarz człowieka skazanego na śmierć. Czy mam rację?

- Całkowitą. Dał mi dwa miesiące życia.

- Nie zauważył mnie pan, przyjacielu, bo miał pan co innego na głowie. Jeszcze coś wtedy wyczytałem z pańskiej twarzy - to, co jak dziś mówiłem, ludzie starają się ukryć. Widziałem nienawiść. Nie próbował pan jej ukryć, w przekonaniu, że nikt tego nie zauważy.

- I co dalej?

- Nie mam już wiele do powiedzenia. Przyjechałem tu, przypadkowo wpadło mi w oko jego nazwisko w rejestrze trucizn, spotkałem go i przyszedłem do pana. Zastawiłem na pana pułapki. Pan nie przyznał się, że prosił Langtona o kupienie cyjanku, mało tego, udawał zdziwienie. Moja wizyta zdumiała pana, ale wkrótce postanowił ją pan wykorzystać i starał się rozdmuchać moje podejrzenia. Od Langtona wiedziałem, że ma tu przyjść o wpół do dziewiątej. Pan powiedział, że o dziewiątej, z nadzieją, że kiedy przyjdę, będzie już po wszystkim. Zgadłem?

- Po co pan przyszedł? - zawołał Harrison.

Poirot wyprostował się.

- Powiedziałem panu, że zajmuję się sprawą morderstwa.

- Morderstwa? Chciał pan rzec, samobójstwa.

- Nie. Miałem na myśli morderstwo - odparł głośno i wyraźnie detektyw. - Pan umarłby łatwo i szybko, ale śmierć, którą wybrał pan dla Langtona, miała być straszna. To on kupił truciznę. Przychodzi do pana z wizytą, jesteście sami. Pan nagle umiera, w szklance znajdują cyjanek, Claude Langton zostanie powieszony. Taki był pański plan.

- Po co pan przyszedł, po co! - zajęczał Harrison.

- Już mówiłem, ale jest jeszcze jedna przyczyna. Lubię pana. Proszę posłuchać, *mon ami*, jest pan umierający. Stracił pan ukochaną kobietę, ale jedno zostało panu oszczędzone: nie jest pan mordercą. Proszę mi teraz powiedzieć, czy nadal żałuje pan, że przyszedłem?

Zapadła cisza.

Harrison wyprostował się. Na jego twarzy pojawił się wyraz godności - jak u człowieka, który pokonał gorszą stronę swej natury. Wyciągnął rękę do Poirota.

- Dzięki Bogu, że pan przyszedł. Dzięki Bogu.

Dama z woalką

Zauważyłem, że od jakiegoś czasu Poirot stawał się coraz bardziej niezadowolony i niespokojny. Ostatnio nie trafiały się żadne ciekawe sprawy, nic, na czym mój przyjaciel mógłby ćwiczyć swój bystry rozum i wyjątkową umiejętność dedukcji. Dziś rano odrzucił zniecierpliwiony gazetę z prychnięciem, przypominającym trochę kichanie kota.

- Boją się mnie, Hastings! Kryminaliści w tej twojej Anglii boją się mnie. Kiedy w domu jest kot, myszy przestają harcować.

- Wydaje mi się, że większość z nich nie wie nawet o twoim istnieniu - odparłem żartobliwie.

Poirot spojrzał na mnie z wyrzutem. Jemu się zawsze wydaje, że cały świat myśli i mówi o Herkulesie Poirot. Naturalnie, jest znany w Londynie, ale nie wierzę, żeby sama jego obecność poraziła świat przestępczy.

- A co z tą niedawną kradzieżą klejnotów na Bond Street w samym środku dnia? - zapytałem.

- Ładny *coup*[60] - odparł z aprobatą Poirot - ale to mnie nie interesuje. *Pas de finesse, seulement de l'audace*[61]! Mężczyzna tłucze szybę wystawową laską z metalowym prętem w środku i kradnie drogie kamienie. Praworządni obywatele natychmiast rzucają się na niego, wołają policję. Złodziej zostaje złapany na gorącym uczynku, z klejnotami w ręku. Na posterunku policji okazuje się, że kamienie są sztuczne. Prawdziwe zdążył wręczyć współnikowi - jednemu ze wspomnianych praworządnych obywateli. Pójdzie do więzienia - to prawda, ale kiedy z niego wyjdzie, będzie czekała na niego niezła sumka. Tak, dobrze pomyślane. Ale ja zrobiłbym to lepiej. Czasami, Hastings, żałuję, że jestem taki moralny. Dla odmiany miło byłoby zrobić coś wbrew prawu.

- Rozchmurz się, Poirot; w swojej dziedzinie jesteś jedyny.

- A co się dzieje aktualnie w mojej dziedzinie?

Zajrzałem do gazety.

- Proszę, tajemniczy zgon Anglika w Holandii - podsunąłem.

- Zawsze tak piszą, a potem okazuje się, że zjadł rybę z puszki i że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych.

- No cóż, jeśli koniecznie chcesz gderać...

- *Tiens!* - powiedział Poirot, podszedłszy do okna. - Oto na ulicy widzę scenę jakby żywcem wyjętą z powieści. Zawołowana kobieta wchodzi po schodach, dzwoni... idzie do nas. Może wydarzy się coś ciekawego? Kiedy kobieta jest młoda i tak ładna jak ta, musi się zdarzyć coś wyjątkowego, żeby zasłoniła twarz.

Chwilę później kobieta została wprowadzona do pokoju. Trudno było rozpoznać jej rysy, dopóki nie podniosła gęstej czarnej woalki z hiszpańskiej koronki.

Wtedy okazało się, że Poirot zgadł: była bardzo ładna, jasnowłosa, z błękitnymi oczyma. Z kosztownej prostej ubioru odgadłem, że należy do wyższych sfer.

- *Monsieur* Poirot - powiedziała miękko, melodyjnym głosem - mam ogromny kłopot. Trudno uwierzyć, że mi pan zdoła pomóc, ale słyszałam o panu takie niezwykle rzeczy, że przyszłam do pana błagać o rzecz niemożliwą. Jest pan ostatnią deską ratunku.

- Lubię niemożliwe zadania - odparł Poirot. - Proszę, *mademoiselle*, niech pani powie, o co chodzi.

Piękna dziewczyna zawahała się.

- Ale musi pani być szczerą - dodał Poirot. - Nie wolno niczego zataić.

- Wierzę panu - zdecydowała się nagle dziewczyna. - Czy słyszał pan o lady Millicent Castle Vaughan?

Spojrzałem na nią z zainteresowaniem. Kilka dni wcześniej ukazało się ogłoszenie o zaręczynach lady Millicent z księciem Southshire. Wiedziałem, że panna była piątą córką zubożałego irlandzkiego para, a książe należał do najlepszych partii w Anglii.

- Lady Millicent to właśnie ja - ciągnęła dziewczyna.

- Może czytali panowie o moich zaręczynach. Powinam być najszczęśliwszą kobietą pod słońcem, ale, panie Poirot, mam ogromne kłopoty. Jest pewien mężczyzna, nazwiskiem Lavington... nie wiem, jak to panu wyznać... Chodzi o list, który napisałam. Miałam wtedy tylko szesnaście lat, a on...

- Napisała go pani do tego Lavingtona?

- Ależ nie! Do młodego żołnierza... bardzo go lubiłam. Został zabity na wojnie.

- Rozumiem - rzekł Poirot dobrotliwie.

- To był głupi list, nieostrożny, ale nic więcej. Jednak niektóre zwroty... można było inaczej rozumieć.

- I ten list trafił w ręce pana Lavingtona?

- Tak, a on grozi, że jeśli nie zapłacę mu ogromnej sumy, zupełnie nierealnej do zdobycia, wyśle go księciu.

- Co za świnią! - wyrwało mi się. - Przepraszam, lady Millicent.

- Czy nie byłoby lepiej wyznać wszystko narzeczonemu?

- Obawiam się, że nie, panie Poirot. Książe ma trudny charakter, jest zazdrosny i podejrzliwy, gotów wierzyć w najgorsze. Równie dobrze mogłabym od razu zerwać zaręczyny.

- Ojej - skrzywił się Poirot. - A co ja miałbym zrobić, milady?

- Pomyślałam, że może mogłabym poprosić Lavingtona, żeby tu przyszedł. Powiedziałabym mu, że jest pan przeze mnie upoważniony do przedyskutowania tej sprawy. Może potrafiłby pan ograniczyć jego żądania.

- A ile chce teraz?

- Dwadzieścia tysięcy funtów. To zupełnie wykluczone. Wątpię, czy udałoby mi się zebrać tysiąc.

- Może mogłaby pani pożyczyć pieniądze. Ale wątpię, czy dostanie pani choć połowę tej sumy.

Poza tym... eh bien, myśl, że miałaby pani zapłacić szantażyście, budzi we mnie odrazę. Nie, Herkules Poirot swą pomysłowością pokona pani wrogów. Niech pani przyśle tu tego Lavingtona. Czy jest prawdopodobne, że przyniesie ze sobą list? Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie sądzę. Jest bardzo ostrożny.

- Przypuszczam, że on ten list rzeczywiście ma?

- Pokazał mi go, gdy poszłam do niego do domu.

- Była pani u niego w domu? To bardzo nieroztropne, milady.

- Naprawdę? Byłam w rozpacz. Miałam nadzieję, że wzruszą go moje błagania.

- *Oh la la!* Takich jak Lavington nie poruszają błagania. Niewątpliwie jednak ucieszą go jako znak, że przywiązuje pani dużą wagę do tego listu. A gdzie mieszka ten dżentelmen?

- W Buona Vista w Wimbletonie. Pojechałam tam po zmroku... - (Poirot jęknął.) - W końcu powiedziałam mu, że pójdę z tym na policję, ale tylko mnie wyśmiał. "Proszę bardzo, lady Millicent,

niech pani idzie”, powiedział.

- To sprawa nie dla policji - mruknął Poirot.

- “Ale jednak sędzę, że będzie pani mądrzejsza - mówił. - Oto pani list, tu, w tej chińskiej szkatułce”. Otworzył ją tak, że zobaczyłam i próbowałam go schwycić, ale Lavington był szybszy. Z nieprzyjemnym uśmieszkiem złożył list i wsunął do drewnianej szkatułki. “Zapewniam panią, że tu będzie bezpieczny - powiedział - a szkatułka jest tak schowana, że nigdy jej pani nie znajdzie”. Spojrzałam na mały wbudowany w ścianę sejf, ale mężczyzna tylko pokręcił głową i się roześmiał. “Mam lepsze miejsce”, rzekł. Och, co za kanalia! Panie Poirot, czy może mi pan pomóc?

- Niech pani wierzy w papę Poirota. Znajdę jakieś wyjście.

Zapewnienia zapewnieniami, pomyślałem, kiedy mój przyjaciel szarmancko odprowadzał dziewczynę do drzwi, ale wydawało mi się, że dostał się nam trudny orzech do zgryzienia. Powiedziałem to Poirotowi, kiedy wrócił.

Smutno pokiwał głową.

- Tak, rozwiązanie nie jest oczywiste. Ten Lavington ma wszystkie atuty. Nie mam jeszcze pojęcia, jak go podejść.

Lavington odwiedził nas tego samego dnia po południu. Lady Millicent mówiła prawdę, określając go mianem kanalii. Miałem taką ochotę kopnąć go żeby spadł ze schodów, że czułem mrowienie w czubku buta. Zachowywał się hardo i wyraźnie dawał do zrozumienia, że jest panem sytuacji. Musiałem przyznać, że Poirot nie wypadł najlepiej. Wyglądał na zniechęconego i załamane.

- No cóż, panowie - rzekł Lavington, biorąc kapelusz - nie wygląda na to, żebyśmy się dogadali. Sprawa wygląda następująco: policzę tania lady Millicent, bo to taka czarująca młoda dama - łypnęła złośliwie okiem - powiedzmy, osiemnaście tysięcy. Dziś jadę do Paryża, mam tam sprawę do załatwienia. Wracam we wtorek. Jeśli do wtorku wieczorem nie dostanę pieniędzy, list wyślę księciu. Nie mówcie mi, że lady Millicent nie jest w stanie zdobyć tych pieniędzy. Niektórzy z jej przyjaciół nader chętnie udzielą pożyczki tak pięknej kobiecie... jeśli tylko właściwie się do tego zabierze.

Poczułem, że krew napływa mi do twarzy i ruszyłem w kierunku Lavingtona, ale ten nie czekając wyszedł z pokoju.

- Mój Boże! - zawołałem. - Trzeba coś z tym zrobić. Przyjmujesz to zbyt spokojnie, Poirot.

- Masz dobre serce, przyjacielu, ale szare komórki w opłakanym stanie. Nie mam ochoty robić na Lavingtonie wrażenia. Im bardziej wydaję mu się lękliwy, tym lepiej.

- Dlaczego?

- To dziwne - zauważył Poirot - że tuż przed przyjściem lady Millicent wyraziłem chęć złamania prawa.

- Czy masz zamiar splądrować dom w czasie nieobecności Lavingtona? - wydusiłem z siebie.

- Czasami, Hastings, procesy mentalne przebiegają - ciebie ze zdumiewającą szybkością.

- Przypuśćmy, że list zabierze ze sobą?

Poirot pokręcił głową.

- Mało prawdopodobne. Przypuszczalnie ma w domu kryjówkę, którą uważa za pewną.

- Kiedy popelnimy... ten czyn?

- Jutro w nocy. Wyruszamy około jedenastej.

O wyznaczonym czasie byłem gotów do wyjścia. Włożyłem ciemny garnitur i ciemny, miękki kapelusz. Poirot na mój widok wyszczerzył zęby.

- Widzę, że ubrałeś się stosownie do okoliczności. Chodź, do Wimbledonu pojedziemy metrem.
- Nie zabieramy żadnych narzędzi? Czym się będziemy włamywać?
- Mój drogi, Herkules Poirot nie stosuje takich prymitywnych metod - dostałem po nosie i zamilkłem, ale byłem bardzo ciekawy.

Zbliżała się północ, kiedy znaleźliśmy się w małym podmiejskim ogrodzie przy Buona Vista. Dom stał cichy i ciemny. Poirot poszedł na tyły, nie robiąc najmniejszego hałasu uniósł do góry skrzydło okna i kazał mi wejść.

- Skąd wiedziałeś, że będzie otwarte? - spytałem szeptem, bo rzeczywiście wydawało mi się to dziwne.

- Ponieważ rano przepiłowałem zamek.
- Co?

- Ależ tak, to było proste. Przyszedłem, pokazałem dwie wizytówki, jedną fałszywą i jedną prawdziwą - służbową wizytówkę inspektora Jappa. Powiedziałem, że przychodzę z rekomendacji Scotland Yardu, ponieważ pan Lavington chciał, aby w czasie jego nieobecności założyć zamki antywłamaniowe. Gospodyni bardzo chętnie mnie wpuściła. Okazuje się, że ostatnio dwa razy usiłowano się włamać - widocznie ten sam pomysł przyszedł do głowy innym klientom pana Lavingtona - ale nie ukradziono niczego cennego. Zbadałem wszystkie okna, poczyniłem własne przygotowania, po czym zabroniłem służbie do jutra dotykać okien, wyjaśniając, że są podłączone do prądu.

- Doprawdy, Poirot, jesteś wspaniały.
- *Mon ami*, to było bardzo proste. A teraz do pracy! Służba śpi na piętrze, zatem jest małe ryzyko, że kogoś zbudzimy.
- Przypuszczam, że sejf jest wbudowany w ścianę?
- Sejf? Bzdura. Nie ma żadnego sejfu. Lavington to inteligentny facet. Widzisz, znalazł bezpieczniejsze miejsce niż sejf. Złodziej zawsze najpierw szuka sejfu.

Zaczęliśmy systematyczne poszukiwania w całym domu. Minęło kilka godzin, ale bez rezultatu. Poirot zaczynał być zły.

- Ah, *sapristi*, czyżby Herkules Poirot miał być pokonany? Nigdy! zachowajmy spokój. Pomyślmy. Trzeba zaprząć do pracy szare komórki.

Przez moment stał ze zmarszczonymi brwiami, pogrążony w myślach. Gdy podniósł głowę, zauważyłem ze jego oczy zrobiły się zielone jak u kota. Dobrze siedziałem, co to znaczy.

- Byłem głupi! Kuchnia!
- Kuchnia? Ależ to niemożliwe. Pomyśl o służbie.
- Otóż to. To samo powiedziałoby dziewięćdziesiąt dziewięć osób na sto. I właśnie dlatego kuchnia to idealne miejsce na schowek. *En avant*, idziemy do kuchni.

Poszedłem za nim i sceptycznie patrzyłem, jak zagląda do pojemników na chleb, obstukuje rondle wkłada głowę do piekarnika. W końcu, zmęczony spektaklem, wróciłem do gabinetu. Byłem przekonany, że tylko tam można znaleźć kryjówkę. Jeszcze raz dokładnie wszystko obszukałem,

zauważyłem, że zrobiło się wpół do piątej i wkrótce zacznie świtać, więc wróciłem do kuchni.

Poirot, w jasnym garniturze, stał w pojemniku na węgiel. Widząc mnie, skrzywił się i powiedział:

- Tak tak, przyjacielu, cały się buntuję przeciw takiemu niszczeniu sobie ubrania, ale co mam zrobić?

- Przecież Lavington nie wsadził tego między węgle!

- Gdybyś lepiej popatrzył, tobyś się zorientował, że nie szukam wśród brył węgla.

Rzeczywiście, na półce za pojemnikiem na węgiel leżały polana drewna. Poirot zręcznie wyciągał stamtąd jedno po drugim. Nagle zawołał:

- Daj nóż!

Podąłem, a Poirot, jak mi się wydawało. Wcisnął go w drewno, i polano pękło na pół. Okazało się, że było przepiłowane i wydrążone. Ze środka Poirot wyjął małą chińską szkatułkę.

- Dobra robota! - zawołałem, zachwycony.

- Cicho, Hastings. Nie podnoś głosu. A teraz chodźmy stąd, zaraz zacznie świtać.

Włożywszy znalezisko do kieszeni, Poirot zwinnie wyskoczył ze skrzyni na węgiel i ile mógł, otrzepał się z pyłu. Opuściliśmy dom tą samą drogą, jaką do niego weszliśmy, i szybkim krokiem ruszyliśmy w kierunku Londynu.

- Co za niezwykle miejsce! - rzekłem. - Przecież, ktoś mógł wrzucić polano do pieca!

- W lipcu, Hastings? Poza tym ono było na samym dole. Bardzo pomysłowy schowek! O, jest taksówka. Teraz do domu, kąpiel i odświeżający sen.

Po emocjach nocy spałem do późna. Kiedy w końcu pojawiłem się w salonie, dochodziła pierwsza. Zdziwiłem się widząc Poirota rozpartego w fotelu, i jakby nigdy nic, czytającego list wyjęty z chińskiej szkatułki.

Uśmiechnął się do mnie wyrozumiale i puknął w kartkę, którą trzymał w ręce.

- Miała racje lady Millicent; księżę nie wybaczyłby jej tego listu. Nigdy nie spotkałem się z taką przesadą w wyrażaniu uczuć.

- Doprawdy, Poirot - powiedziałem zdegustowany - sędzę, że nie powinieneś czytać tego listu. Tego się nie robi.

- Herkules Poirot to robi - odparł niewzruszenie.

- I jeszcze jedno - dorzuciłem. - Nie sędzę, że w tej grze miałeś prawo posłużyć się wizytówką Jappa.

- To nie była gra, Hastings. Prowadziłem dochodzenie.

Wzruszyłem ramionami. Każdy ma swój punkt widzenia.

- Słyszę kroki na schodach. To pewnie lady Millicent.

Na widok szkatułki i listu, które Poirot podniósł do góry, na twarzy naszej pięknej klientki pojawił się wyraz zachwyty.

- Och, panie Poirot! Jest pan cudowny! Jak pan to zrobił?

- Posłużyłem się karygodnymi metodami, milady. Ale pan Lavington nie poda mnie do sądu. Czy to pani list?

Rzuciła na niego okiem.

- Tak. Jak mam panu dziękować? Jest pan naprawdę cudowny. Gdzie to było?

Poirot powiedział.

- Jaki pan jest sprytny! - Podniosła szkatułkę ze stołu. - Zatrzymam ją na pamiątkę.

- Miałem nadzieję, milady, że pozwoli mi ją pani zachować... również na pamiątkę.

- W dniu mojego ślubu dostanie pan ode mnie lepszą pamiątkę. Nie będę niewdzięczna, panie

Poirot.

- Przyjemność wyświadczenia pani przysługi to dla mnie więcej niż czek, zatem pozwoli pani, że zatrzymam szkatułkę.

- Ależ panie Poirot, ja ją po prostu muszę mieć! - zawołała ze śmiechem.

Wyciągnęła rękę, lecz Poirot był szybszy. Zaciśnął palce na chińskiej szkatułce.

- Jednak nie - powiedział zupełnie innym tonem.

- Dlaczego? - zapytała.

- W każdym razie niech mi pani pozwoli wyjąć ze środka pozostałe rzeczy. Widzi pani, że wnętrze zostało podzielone na pół. Na górze - kompromitujący list, na dole...

Zręcznie wysypał na dłoń cztery duże skrzące się kamienie i dwie mlecznobiałe perły.

- Jak sądzę, to klejnoty skradzione na Bond Street - mruknął Poirot. - Japp będzie w stanie nam to powiedzieć.

W tej chwili, ku mojemu zdumieniu, z sypialni Poirota wyszedł Japp we własnej osobie.

- To chyba pani stary znajomy - powiedział Poirot grzecznie do lady Millicent.

- Wielkie nieba! - zawołała zupełnie innym tonem.

- Ty stary diable! - patrzyła na Poirota z niemal nabożnym przerażeniem.

- No i co, Gertie - rzekł Japp. - Gra skończona. Że też tak szybko się spotykamy! Mamy już twojego kumpla, który przyszedł tu jako Lavington. Jeśli chodzi o prawdziwego Lavingtona, alias Croker, alias Reed, to zastanawiam się, kto z waszego gangu parę dni temu w Holandii wbił mu nóż w plecy. Pewnie myślał, że ma kamienie przy sobie, co? A tymczasem nic z tego. Przechytrzył was, ukrywając je we własnym domu. Posłałaś więc dwie osoby, żeby przeszukały dom, a potem skontaktowaliście się z panem Poirotem, który miał niewiarygodne szczęście i znalazł klejnoty.

- Lubisz sobie pogadać, co? - powiedziała eks-lady Millicent. - Spokojnie, nie będę się awanturować. Nikt nie powie, że nie jestem prawdziwą damą. Pa, pa, wszystkim.

- Buty mi nie pasowały - mruknął Poirot niewyraźnie, widząc, że jestem zbyt ogłuszony, by wydusić z siebie choć słowo. - Znam dobrze was, Anglików. Lady, prawdziwa lady z urodzenia, zawsze szczególnie dba o obuwie. Może mieć byle jakie ubranie, ale buty ma zawsze w dobrym gatunku. A lady Millicent włożyła drogą suknię i tanie buty. Mało prawdopodobne, żeby któryś z nas widział prawdziwą lady Millicent; nie bywała często w Londynie. Ta dziewczyna była co prawda nieco do niej podobna. Jak mówiłem, najpierw buty wzbudziły moje podejrzenia, a potem historyjka, którą opowiedziała, i woalka - przyznasz, że to było trochę melodramatyczne. W gangu musiała być znana chińska szkatulka z nieprawdziwym listem na wierzchu, ale wydrażone polano było własnym pomysłem Lavingtona. *Eh, par exemple*, Hastings, mam nadzieję, że nie zranisz znowu moich uczuć tak jak wczoraj, mówiąc, że przestępcy o mnie nie słyszeli. *Ma foi*, nawet przyszli do mnie po pomoc, kiedy nie mogli sami sobie poradzić!

Na pełnym morzu

- Pułkownik Clapperton! - prychnął wzgardliwie generał Forbes.

Panna Ellie Henderson pochyliła się ku rozmówcy. Kosmyk siwych włosów opadł jej na czoło, a

czarne, żywe oczy zabłysnęły złośliwie.

- Wypisz-wymaluj, wojskowy! - podpuściła niegodziwie generała i, odgarnąwszy kosmyk na bok, czekała na jego odzew.

- Wojskowy! - wybuchnął generał Forbes. Nerwowo szarpnął wąsa i zaczerwienił się jak burak.

- Służył w gwardii królewskiej, nieprawdaż? - mruknęła panna Henderson, dolewając oliwy do ognia.

- W gwardii? W jakiej gwardii? To kompletna bzdura. Facet występował w teatrze rewiowym. Tak jest! Potem wstąpił do wojska i wysłano go do Francji, gdzie liczył jabłka i śliwki w puszcze! W pobliżu przypadkowo spadła zabłąkana szwabska bomba i został ranny w ramię. Wrócił do domu i w jakiś sposób trafił do szpitala lady Carrington.

- Ach, to tak się spotkali.

- Tak jest! Gość odgrywał rannego bohatera. Lady Carrington nie ma za grosz rozsądku, za to góry pieniędzy. Jej mąż dorobił się na dostawach dla wojska. Ona dopiero od pół roku była wdową. Clapperton błyskawicznie owinął ją sobie wokół palca. Lady Carrington załatwiła mu pracę w Ministerstwie Wojny. Też mi pułkownik! - prychnął ponownie.

- A przed wojną grywał w musicalach - zadumała się panna Henderson, próbując pogodzić wizerunek dystygowanego, szpakowatego pułkownika Clappertona z czerwono nosym komediantem, śpiewającym śmieszne piosenki.

- To prawda! - rzekł generał. - Wiem to od starego Bassingtona-ffrencha, a on dowiedział się od starego Badgera Cotterilla, który słyszał o tym od Snooksa Parkera.

Panna Henderson żywo kiwnęła głową.

- To rozstrzyga sprawę.

Na twarzy siedzącego obok niskiego mężczyzny pojawił się przelotny uśmiech. Nie umknęło to uwagi panny Henderson, osoby niezwykle spostrzegawczej. Uśmiech dowodził, że - w odróżnieniu od generała - mężczyzna wychwycił nutkę ironii, jaką podszyte były jej ostatnie słowa.

Generał nie zauważył tego uśmiechu. Rzucił okiem na zegarek, podniósł się i powiedział:

- Czas na ćwiczenia. Na statku trzeba dbać o formę. - I wyszedł na pokład.

Panna Henderson spojrzała na mężczyznę, który się uśmiechnął. Było to spojrzenie osoby dobrze wychowanej, świadczące, że jest gotowa nawiązać rozmowę ze współtowarzyszem podróży.

- Jest energiczny, prawda? - powiedział mężczyzna.

- Obchodzi pokład dokładnie czterdzieści osiem razy - rzekła panna Henderson. - Co za plotkarz!

A mówi się, że plotki to specjalność kobiet.

- Cóż za brak delikatności!

- Francuzi zawsze są tacy grzeczni - w tonie panny Henderson czuło się pytanie.

- Jestem Belgiem, mademoiselle - sprostował szybko.

- Ach, Belgiem.

- Herkules Poirot, do pani usług.

- Pańskie nazwisko coś mi przypomina... Na pewno już je kiedyś słyszałam...? Podoba się panu wycieczka, panie Poirot?

- Szczerze mówiąc, nie. Nie powinienem był dać się do niej przekonać. Nienawidzę *la mer*. Morze nigdy, nawet przez krótką chwilę, nie jest spokojne.

- Musi pan przyznać, że teraz właśnie jest zupełnie spokojne.

- *A ce moment*, tak - mruknął niechętnie Poirot.

- Dlatego odżyłem. Znowu interesuje mnie, co się wokół dzieje... na przykład pani niezrównana umiejętność manipulowania generałem Forbesem.

- O czym pan mówi?

- O pani metodach wydobywania z niego plotek - odparł Herkules Poirot z ukłonem. - Doprawdy, godne podziwu.

Panna Henderson roześmiała się, nie skrępowana.

- Chodzi o tę wstawkę na temat gwardii? Wiedziałałam, że to poruszy staruszka. - Pochyliła się i szepnęła konfidencjonalnie: - Przyznam, że lubię plotki. Im bardziej złośliwe, tym lepiej.

Poirot spojrział na nią z namysłem. Oto szczupła, dobrze trzymająca się czterdziestopięcioletnia kobieta, siwowłosa, z żywymi czarnymi oczyma, nie starająca się ukryć swojego wieku.

- Mam! Czy nie jest pan tym wielkim detektywem? - zawołała nagle Ellie.

- Jest pani niezwykle uprzejma, *mademoiselle* - odparł z ukłonem, ale nie zaprzeczył.

- Fascynujące. Czy jest pan na tropie, jak się to mówi w książkach? Czy w naszym gronie kryje się przestępca? A może nie powinnam o to pytać?

- Ależ skąd, ależ skąd. Przykro mi, że muszę panią rozczarować. Znajduję się tutaj, podobnie jak wszyscy pozostali, po to, by się rozerwać.

Wyrzekł to takim posępnym tonem, że panna Henderson znów się roześmiała.

- Na szczęście jutro, kiedy przybijemy do Aleksandrii, będzie pan mógł wyjść na brzeg. Czy był już pan w Egipcie?

- Nigdy, *mademoiselle*.

Niespodziewanie panna Henderson poderwała się na równe nogi.

- Chyba pospaceruję z generałem - powiedziała.

Poirot grzecznie również się podniósł.

Panna Henderson skinęła mu głową i wyszła na pokład.

W oczach Poirota widać było zaskoczenie, ale po chwili detektyw uśmiechnął się, wstał i, wytknąwszy głowę za drzwi, rozejrzał się po pokładzie. Panna Henderson, oparta o burzę, rozmawiała z wysokim mężczyzną o wojskowym wyglądzie.

Poirot uśmiechnął się wyrozumiale. Wycofał się do palarni z podobnie przesadną ostrożnością, z jaką ślimak chowa się do swojej muszli. Chwilowo miał pomieszczenie tylko dla siebie, choć - jak słusznie podejrzewał - nie na długo.

I rzeczywiście. Za moment wkroczyła pani Clapperton. Świeżo od fryzjera, z platynowoblond lokami chronionymi siateczką, wymasowana, w eleganckim sportowym kostiumie, z miną kobiety, która wie, czego chce i zawsze wybiera rzeczy w najlepszym gatunku, nie patrząc na ich cenę.

- John? - zawołała. - Och, dzień dobry, panie Poirot. Widział pan Johna?

- Jest na pokładzie, *madame*. Czy mam...

Powstrzymała go ruchem dłoni. - Usiądę tu na chwilę. - Rozsiadła się po królewsku w fotelu naprzeciw Poirota. Z odległości można było jej dać jakieś dwadzieścia osiem lat. Z bliska, pomimo starannego makijażu i artystycznie wyskubanych brwi, wyglądała nie na swoje czterdzieści dziewięć, ale na pięćdziesiąt pięć lat. Miała jasnoblękitne oczy z maleńkimi źrenicami.

- Żałowałam, że nie widziałam pana wczoraj na obiedzie - rzekła. - Co prawda, morze było nieco wzburzone...

- Precisement[62] - odparł Poirot z niechęcią.

- Na szczęście na morzu świetnie się czuję. Mówię “na szczęście”, ponieważ mam słabe serce i choroba morska pewnie by mnie dobiła.

- Ma pani słabe serce, *madame*?

- Ach, muszę bardzo na siebie uważać. Nie wolno mi się męczyć. Wszyscy lekarze tak mówią. - pani Clapperton wdała się w rozprawę na nader interesujący ją temat własnego zdrowia. - Biedny John, robi co może, żeby powstrzymać mnie od nadmiaru aktywności. Żyję bardzo intensywnie, panie Poirot, jeśli pan wie, co chcę powiedzieć...

- Tak, wiem.

- Zawsze mi mówi: “Mniej ruchu, Adeline”. Ale ja tak nie potrafię. Życie należy przeżyć aktywnie. Przyznam się, że jako dziewczyna w czasie wojny zapracowywałam się na śmierć w szpitalu. Słyszał pan o moim szpitalu? Naturalnie, miałam pielęgniarki i siostry przełożone, ale tak naprawdę, prowadzenie szpitala było tylko na mojej głowie - westchnęła.

- Droga pani, podziwiam pani energię - odparł nieco automatycznie Poirot.

Pani Clapperton zaśmiała się jak trzpiotka.

- Wszyscy powtarzają, że jestem taka młoda! To absurdalne! Nigdy nie udawałam, że mam mniej niż czterdzieści trzy lata. Ale wielu nie chce w to uwierzyć. Mówią: “Jesteś taka pełna życia, Adeline”. Ale, panie Poirot, co by z nami było, gdybyśmy nie żyli?

- Bylibyśmy martwi - odparł Poirot.

Pani Clapperton zmarszczyła brwi. Odpowiedź nie spodobała się jej. “Usiłuje być dowcipny”, pomyślała. Wstała i powiedziała chłodno:

- Muszę znaleźć Johna.

Wychodząc, w drzwiach upuściła torebkę, która otworzyła się i cała zawartość rozsypała się po podłodze. Poirot rzucił się na ratunek. Zbieranie szminek, kosmetyczek, papierośnicy, zapalniczki i innych przedmiotów trwało kilka minut. Pani Clapperton podziękowała grzecznie za pomoc, rozejrzała się po pokładzie i powiedziała:

- John...

Pułkownik Clapperton rozmawiał jeszcze z panną Henderson. Na dźwięk swojego imienia odwrócił się i podszedł do żony. Pochylił się nad nią opiekuńczo. Czy leżak jest dobrze ustawiony? Czy nie byłoby lepiej... Odnosił się do niej z delikatnością i kurtuazją. Widać było, że pani Clapperton to uwielbiana żona, psuta przez uwielbiającego męża.

Panna Ellie Henderson patrzyła na morze wzrokiem pełnym oburzenia.

Poirot, stojąc w drzwiach palarni, obserwował całe towarzystwo.

Nagle jakiś drżący głos za nim powiedział:

- Gdybym był mężem tej baby, potraktowałbym ją siekierą.

Staruszek, przez młodsze towarzystwo na statku zwany popularnie Dziadkiem Plantatorem, podszedł powłócząc nogami do baru.

- Whisky z wodą sodową, chłopcze - zawołał.

Poirot pochylił się, by podnieść jakąś kartkę, która zapewne wypadła z torebki pani Clapperton. Był to fragment recepty na środek zawierający naparstnicę. Włożył ją do kieszeni, z zamiarem oddania przy okazji właścicielce.

- Tak - ciągnął temat staruszek. - Ta kobieta to trucizna. Pamiętam taką jak ona w Punie, w osiemdziesiątym siódmym roku.

- Czy tamtą ktoś potraktował siekierą? - zaciekał się Poirot.

Staruszek ze smutkiem pokręcił głową.

- W ciągu roku zadreńczyła męża na śmierć. Clapperton nie powinien dawać się wodzić za nos.

Zanadto pozwala jej stawiać na swoim.

- Bo ona trzyma rękę na kasie - zauważył poważnie Poirot.

- Ha, ha! - zachichotał mężczyzna. - Ładnie pan to podsumował: trzyma rękę na kasie. Ha, ha!

Do palami wpadły dwie dziewczyny, jedna okrągło lica i piegowata, z rozburzonymi ciemnymi włosami, druga również piegowata, z kasztanowatymi lokami.

- Oto ratunek! Oto ratunek! - zawołała Kitty Mooney. - Zamierzamy z Pam wyzwolić pułkownika Clappertona.

- Od jego żony - wysapała Pamela Cregan.

- On jest słodki...

- A ona po prostu okropna! Na nic mu nie pozwala! - wykrzykiwały dziewczyny jedna przez drugą.

- A jak nie jest z nią, to zaraz go dopada ta Henderson...

- Całkiem miła. Ale okropnie stara...

Wybiegły, chichocząc i wołając:

- Oto ratunek!

Wyzwolenie pułkownika Clappertona nie było jednorazowym porywem, ale zaplanowaną akcją, co okazało się tego samego dnia wieczorem. Osiemnastoletnia Pam Cregan podeszła do Herkulesa Poirot i mruknęła:

- Niech pan nas obserwuje, panie Poirot. Zabierzemy jej go sprzed nosa i udamy się na spacer po pokładzie w świetle księżyca.

W tej samej chwili pułkownik Clapperton mówił:

- Ma pan rację, jeśli chodzi o cenę rolls-royce'a. Ale praktycznie jest to samochód na całe życie. Moje auto...

- Moje auto, Johnie - wtrąciła pani Clapperton przenikliwym głosem, kładąc nacisk na zaimku.

Pułkownik nie okazał, że uraziła go jej nieuprzejmość. Albo już do niej przywykł, albo...

Albo co? - pomyślał Poirot i zaczął rozważać różne możliwości.

- Naturalnie, moja droga, to twój samochód - przyznał Clapperton, kłaniając się żonie, i spokojnie dokończył myśl.

Voilà ce qu'on appelle le pukka sahib [63] - pomyślał Poirot. - A generał Forbes twierdzi, że Clapperton nie jest dżentelmenem. Ciekawe.

Ktoś zaproponował brydża. Pani Clapperton i generał Forbes zasiedli do stolika z jakimś małżeństwem. Panna Henderson wymówiła się i wyszła na pokład.

- A pani mąż? - zapytał z wahaniem generał.

- John nie zagra - odparła pani Clapperton. - Jest po prostu nieznośny. Mam już tego dosyć.

Gracze zaczęli tasować karty.

Pam i Kitty zbliżyły się do pułkownika Clappertona i wzięły go pod ramiona.

- Pan idzie z nami - powiedziała Pam. - Chodźmy na pokład. Jest piękny księżyc.

- Nie bądź głupcem, John - rzekła pani Clapperton.

- Zażębisz się.

- Z nami na pewno nie - odparła Kitty. - My jesteśmy gorące dziewczyny!

Pułkownik wyszedł z nimi, śmiejąc się.

Poirot zauważył, że pani Clapperton zaliczyła dwa trefle, a potem powiedziała "pas".

Wyszedł na pokład spacerowy. Panna Henderson stała przy burcie. Rozejrzała się i najwyraźniej czekała, żeby Poirot do niej podszedł. Przez chwilę rozmawiali, a kiedy detektyw zamilkł, ona zapytała:

- O czym pan myśli?

- O swojej znajomości angielskiego - odparł Poirot.

- Pani Clapperton powiedziała: "John nie zagra". Czy zazwyczaj nie mówi się "nie gra"?

- Pewnie to, że mąż nie gra w brydża, traktuje jak osobistą zniewagę - odparła Ellie oschle. -

Pułkownik zrobił głupio, że się z nią ożenił.

W panujących ciemnościach Poirot pozwolił sobie na uśmiech.

- Nie uważa pani, że to małżeństwo jednak nie musi być takie złe? - spytał nieśmiało.

- Z taką babą?

Poirot wzruszył ramionami.

- Wiele koszmarnych kobiet miało kochających mężów. To zagadka natury. Przyzna pani, że nie uraża go nic, co ona powie.

Panna Henderson zastanawiała się, co na to odpowiedzieć, kiedy z otwartego okna palarni dobiegi ich głos pani Clapperton:

- Nie, nie zagram następnego robra. Tu jest tak duszno. Chyba wyjdę zażyć świeżego powietrza na pokładzie.

- Dobranoc - powiedziała panna Henderson. - Idę spać. Poirot poszedł do sali klubowej; nie było w niej nikogo z wyjątkiem dwóch dziewczyn i pułkownika Clappertona, który pokazywał im sztuczki karciane. Patrząc na jego zręczne palce, Poirot przypomniał sobie, co powiedział mu generał o karierze pułkownika na scenie teatru rewiowego.

- Widzę, że lubi pan karty, mimo że nie gra pan w brydża - zauważył.

- Mam swoje powody, żeby nie grać w brydża - odparł Clapperton z czarującym uśmiechem. -

Zaraz panu pokażę. Zagrajmy jedną partię.

Szybko rozdał karty.

- Spójrzcie w swoje karty. No i co?

Roześmiał się, widząc zdumienie Kitty. Pokazał swoje karty, a inni poszli za jego przykładem. Kitty miała same trefle, Poirot kiery, Pam karo, a pułkownik piki.

- Rozumiecie? - spytał pułkownik. - Ktoś, kto potrafi rozdać karty tak, jak to jemu jest wygodne, nie powinien grać w karty. Jeśli za bardzo będzie mu sprzyjało szczęście, może usłyszeć parę nieprzyjemnych rzeczy.

- Och! - zawołała Kitty. - Jak pan to zrobił? Wszystko wyglądało całkowicie normalnie.

- Szybkość ręki zwodzi oko - odparł sentencjonalnie Poirot i zauważył nagłą zmianę wyrazu twarzy pułkownika. Wyglądało tak, jakby nagle zdał sobie sprawę z tego, że przez chwilę się nie pilnował.

Poirot uśmiechnął się. Spod maski dżentelmena wyrzwał kuglarz.

Statek dobił do Aleksandrii o świcie następnego dnia. Wracając ze śniadania, Poirot spotkał

dwie dziewczyny gotowe do wyjścia na brzeg. Rozmawiały z pułkownikiem Clappertonem.

- Powinnyśmy już iść - nalegała Kitty. - Straż graniczna zaraz zejdzie ze statku. Pan idzie z nami, prawda? Przecież nie puści nas pan samych? Mogłoby nas spotkać coś strasznego.

- Jestem przekonany, że nie powinniście iść same - odparł z uśmiechem Clapperton. - Ale nie jestem pewien, czy moja żona czuje się dość dobrze, by nam towarzyszyć.

- To smutne - zauważyła Pam. - Choć przecież mogłaby zostać i porządnie sobie odpocząć.

Pułkownik Clapperton Wyglądał trochę niezdecydowanie. Widać było, że miał ogromną ochotę pójść na węgry. Zauważył Poirota.

- Halo, panie Poirot, schodzi pan na brzeg?

- Raczej nie - odparł detektyw.

- Ja... porozmawiam z Adeline - zdecydował się pułkownik.

- Idziemy z panem - powiedziała Pam. Puściła oko do Poirota. - Może zdołamy ją namówić, żeby też poszła? - dodała poważnym tonem.

Pułkownik ochoczo przyjął tę propozycję. Najwyraźniej poczuł ulgę.

- No to chodźcie - rzekł lekko.

Cała trójka oddaliła się.

Poirot, którego kabina znajdowała się naprzeciw Clappertonów, wiedziony ciekawością, poszedł za nimi. Pułkownik trochę nerwowo zapukał do drzwi kabiny.

- Adeline, moja droga, wstałaś już?

- O co chodzi, do licha? - odpowiedział senny głos pani Clapperton.

- To ja, John. Nie chcesz zejść na ląd?

- Oczywiście, że nie. - Jej głos brzmiał teraz ostro i zdecydowanie. - Źle spałam w nocy. Postanowiłam spędzić dzień w łóżku.

- Och, pani Clapperton - wtrąciła szybko Pam - tak nam przykro. Miałyśmy nadzieję, że pani pójdzie z nami. Jest pani pewna, że nie czuje się pani na siłach?

- Zupełnie pewna - odparła jeszcze ostrzejszym tonem pani Clapperton.

Pułkownik bez skutku przekręcał gałkę drzwi.

- O co chodzi, John? Drzwi są zamknięte. Nie chcę, żeby stewardzi mi przeszkadzali.

- Przepraszam, moja droga, chciałem tylko wziąć baedekera.

- Trudno, obejdiesz się bez niego - ucięła pani Clapperton. - Nie zamierzam wychodzić z łóżka. Idź już, John, i zostaw mnie w spokoju.

- Oczywiście, oczywiście, kochanie. - Pułkownik odsunął się od drzwi. Zaraz zbliżyły się do niego Pam i Kitty.

- Chodźmy od razu. Dzięki bogu kapelusz ma pan na głowie. Och! Ale paszport nie został chyba w kabinie, prawda?

- Prawdę mówiąc, mam go w kieszeni... - zaczął pułkownik.

Kitty schwyciła go za ramię.

- Chwała Bogu! - powtórzyła. - No to chodźmy!

Przechylając się przez burzę, Poirot przyglądał się, jak pułkownik i dziewczyny schodzą ze statku. Nagle tuż obok usłyszał westchnienie. Odwrócił głowę i zobaczył pannę Henderson, wpatrzoną w oddalającą się trójkę.

- Zatem zeszli na ląd - powiedziała.

- Tak. A pani?

Panna Henderson miała kapelusz, elegancką torebkę i wyjściowe buty. Ubrała się jak do zejścia na ląd. Mimo to, po krótkiej chwili, pokręciła głową.

- Nie - odparła. - Zostaję na pokładzie. Mam dużo listów do napisania. - Odwróciła się na pięcie i odeszła.

Zaraz zjawiał się generał Forbes, sapiący po porannej turze czterdziestu ośmiu okrążeń pokładu.

- Aha! - zawołał na widok oddalających się postaci pułkownika z dziewczynami. - Takie buty! A gdzie żona?

Poirot wyjaśnił, że pani Clapperton postanowiła spędzić dzień w łóżku.

- Niech pan w to nie wierzy! - stary wojak puścił do Poirota oko. - Wstanie na tiffin[64], a jak zauważy, że mąż oddalił się bez pozwolenia, zrobi mu piekło.

Ale przepowiednie generała się nie spełniły. Pani Clapperton nie pojawiła się na lunchu i w ogóle nie pokazała się do godziny czwartej, kiedy to pułkownik z pannami wrócili na statek.

Poirot w swojej kabinie słyszał, jak skruszony pułkownik puka do swojej żony. Jeszcze raz zapukał, poruszał klamką i w końcu zawołał stewarda.

- Przepraszam, ma pan może klucz? Żona nie odpowiada na moje pukanie.

Poirot szybko wstał z koi i wyszedł na korytarz.

Wiadomość rozprzestrzeniła się błyskawicznie. Z przerażeniem podszytym niedowierzaniem przekazywano sobie, że panią Clapperton znaleziono martwą na koi, ze sztyletem w sercu. Na podłodze kabiny leżał sznur koralu.

Pogłoska gonila pogłoskę. Wszyscy sprzedawcy paciorków, którzy tego dnia weszli na pokład, zostali wezwani na przesłuchanie. Z szuflady w kabinie zginęła duża suma pieniędzy. Podobno trafiono na ślad banknotów! A właśnie, że nie. Zginęła ogromnie cenna biżuteria! W ogóle żadna biżuteria nie zginęła! Zaareztowano stewarda, który przyznał się do morderstwa!

- Co z tego jest prawdą? - spytała panna Ellie Henderson, blada i zmartwiona. Specjalnie zacytała się na Poirota, żeby się tego dowiedzieć.

- Droga pani, skądże mam wiedzieć?

- Ależ pan na pewno wie.

Był późny wieczór. Większość pasażerów udała się już do swoich kabin. Panna Henderson poprowadziła Poirota ku leżakom, rozłożonym pod daszkiem.

- Teraz może mi pan powiedzieć - rzekła.

Poirot zmierzył ją zamyślonym spojrzeniem.

- To ciekawa sprawa - odparł.

- Czy to prawda, że zginęła cenna biżuteria?

Poirot pokręcił głową.

- Nie. Nie zginęła żadna biżuteria. Ale zginęła mała suma pieniędzy z szuflady.

- Nigdy już nie będę czuła się bezpiecznie na statku - pannę Henderson przebiegł dreszcz. - Czy jest jakaś poszlaka, wskazująca na któregoś z tych ciemnoskórych brutalu?

- Nie. Cała sprawa jest dość... dziwna.

- Co pan ma na myśli? - spytała ostrym tonem Ellie.

Detektyw rozłożył ręce.

- Eh bien, weźmy fakty. Kiedy znaleziono panią Clapperton, była martwa od co najmniej pięciu

godzin. Zginęły pieniądze. Na podłodze przy łóżku leżał sznur koralu. Drzwi były zamknięte i nie znaleziono klucza. Okno - proszę zwrócić uwagę, okno, a nie bulaj - wychodzące na pokład było otwarte.

- No i co? - spytała niecierpliwie kobieta.

- Nie uważa pani, za dziwne, że w tych warunkach popełniono morderstwo? Proszę pamiętać, że sprzedawcy pocztówek i koralu oraz wymieniający pieniądze, których wpuszcza się na statek, są dobrze znani policji.

- Mimo to stewardzi zamykają kabiny - zauważyła Ellie.

- Żeby zapobiec okazji do drobnych kradzieży. Ale to było morderstwo.

- O co właściwie panu chodzi, panie Poirot? - zapytała nieco zduszonym głosem.

- O zamknięte drzwi.

Panna Henderson zastanowiła się nad stwierdzeniem Poirota.

- Nie widzę w tym nic specjalnego. Złoczyńca wyszedł drzwiami, zamknął je i wziął klucz ze sobą, żeby morderstwo nie zostało zbyt szybko odkryte. To było sprytne posunięcie, ponieważ zbrodnia wyszła na jaw dopiero o czwartej po południu.

- Nie, nie rozumiała pani, co miałem na myśli. Nie zastanawia mnie, jak ten mężczyzna wyszedł, ale jak wszedł.

- Naturalnie przez okno.

- C'est possible[65]. Ale trudne. Proszę pamiętać, że na pokładzie cały czas byli ludzie.

- No to wszedł drzwiami - zniecierpliwiała się panna Henderson.

- Zapomina pani, o jednym. Pani Clapperton zamknęła drzwi od środka. Zrobiła to, zanim pułkownik zszedł na brzeg dziś rano. Próbował je otworzyć, więc wiemy, że na pewno były zamknięte.

- Nonsens. Pewnie się zacięły. Albo on za słabo przekręcił gałkę.

- Nie polegamy na jego słowie. Słyszeliśmy, jak pani Clapperton sama to powiedziała.

- Kto to jest, "my"?

- Panna Mooney, panna Cregan, pukownik Clapperton i ja.

Ellie Henderson nerwowo stuknęła zgrabnym bucikiem w podłogę. Przez chwilę milczała, po czym lekko zirytowanym tonem powiedziała:

- No i co właściwie pan z tego wydedukował? Jeśli pani Clapperton zamknęła drzwi, to, jak sądzę, mogła je również otworzyć.

- Otóż to, otóż to - rozpromienił się Poirot. - A co to oznacza? Że pani Clapperton sama wpuściła mordercę. Czy jednak otworzyłaby drzwi sprzedawcy koralu?

- Mogła nie wiedzieć, kto puka. Wstała i otworzyła drzwi, a on się wdarł do środka i zamordował.

Poirot pokręcił głową.

- Au contraire[66]. Kiedy ją zasztyletowano, pani Clapperton leżała spokojnie w koi.

Panna Henderson wytrzeszczyła oczy.

- To co pan podejrzewa? - spytała gwałtownie.

Poirot uśmiechnął się.

- No cóż, wygląda na to, że znała osobę, którą wpuściła do środka...

- To znaczy, że morderca jest pasażerem? - spytała panna Henderson nieco ochryplym głosem.

Detektyw skinął głową.

- Na to wygląda.
- A sznur koralu miał być fałszywym śladem?
- Dokładnie.
- Kradzież pieniędzy również?
- Tak jest.

Zapadła cisza. Po chwili kobieta powiedziała:

- Uważałam panią Clapperton za bardzo niesympatyczną osobę i nie sądzę, żeby ktoś naprawdę ją lubił... ale nie było nikogo, kto miał powód, by ją zabić.
- Może z wyjątkiem męża.
- Chyba pan nie myśli... - urwała.
- Wszyscy na statku są zgodni, że pułkownik byłby zupełnie usprawiedliwiony, próbując - jak to zostało określone - potraktować ją siekierą.

Ellie Henderson patrzyła oczekująco na Poirota.

- Ale muszę przyznać - ciągnął Poirot - że nie zauważyłem żadnych oznak rozdrażnienia u pułkownika. Co ważniejsze, ma alibi. Był cały czas z tymi dwiema dziewczynami i wrócili dopiero o czwartej. A wtedy pani Clapperton nie żyła już od wielu godzin.

Nastąpiła następna chwila ciszy.

- A pan nadal sądzi, że to... ktoś z pasażerów? - spytała cicho Ellie.

Poirot skinął głową.

Panna Henderson wybuchnęła śmiechem, nieco wyzywającym.

- Może pan mieć trudności z udowodnieniem swojej teorii. Na statku jest wielu pasażerów.
- Pozwoli pani, że posłużę cytatem z waszej literatury. "Mam swoje metody, Watsonie" - odparł Poirot z ukłonem.

Następnego dnia wieczorem przy obiedzie każdy pasażer znalazł koło talerza karteczkę papieru z napisaną na maszynie prośbą o przyjście do głównej sali o wpół do dziewiątej. Kiedy wszyscy się zebrali, kapitan wszedł na podwyższenie dla orkiestry i przemówił:

- Panie i panowie, jak wszyscy wiemy, wczoraj zdarzyła się tragedia. Jestem pewien, że zechcą państwo pomóc w schwytaniu złoczyńcy i wymierzeniu mu sprawiedliwości. - Chrząknął. - Jest z nami na statku pan Herkules Poirot, zapewne wszystkim znany i mający ogromne doświadczenie w... w takich sprawach. Mam nadzieję, że zechcą państwo cierpliwie wysłuchać tego, co ma do powiedzenia.

W tej chwili pułkownik Clapperton, który nie zszedł na obiad, pojawił się na sali i usiadł obok generała Forbesa. Wyglądał jak człowiek przytłoczony smutkiem, a nie ktoś świadom wyzwolenia. Albo był bardzo dobrym aktorem, albo naprawdę kochał swą niesympatyczną żonę.

- Pan Herkules Poirot - powiedział kapitan i zszedł z podwyższenia.

Jego miejsce zajął Poirot. Z zabawną zarożumiałością uśmiechnął się do zebranych.

- *Messieurs, mesdames* - zaczął. - Dziękuję, że zgodzili się państwo mnie wysłuchać. *Monsieur le capitaine* powiedział państwu, że mam doświadczenie w tych sprawach. Przyznam się, że mam pomysł, jak w tym wypadku dotrzeć do prawdy. - Dał znak ręką i steward podał mu duży bezkształtny przedmiot owinięty materiałem.

- Może zaskoczy państwa to, co zrobię - ostrzegł detektyw. - Może państwo pomyślą, że jestem ekscentryczny, a niewykluczone, że szalony. Niemniej zapewniam, że - jak to wy, Anglicy, mówicie -

w tym szaleństwie jest metoda.

Jego oczy spotkały się z oczami panny Henderson. Zaczął rozwijać pakunek.

- Mam tu, *messieurs* i *mesdames*, ważnego świadka zabójstwa. - Zręcznym ruchem zdarł ostatni kawałek materiału i oczom zebranych ukazała się... duża, drewniana lalka, wielkości dziecka, ubrana w aksamitny garniturek z koronkowym kołnierzem.

- No, Arturze - powiedział Poirot lekko zmienionym głosem, nie brzmiącym już cudzoziemsko; teraz miał wymowę rodowitego Anglika, nawet ze śladem żargonu. - Czy możesz mi powiedzieć coś o śmierci pani Clapperton?

Lalka pokręciła głową, otworzyła usta i przemówiła wysokim, ostrym kobiecym głosem:

- O co chodzi, John? Drzwi są zamknięte. Nie chcę, żeby stewardzi mi przeszkadzali.

Krzyk, ktoś przewraca krzesło, jakiś mężczyzna chwieje się, przyciskając ręce do gardła... usiłuje coś powiedzieć... Nagle pada jak długi na podłogę. To pułkownik Clapperton.

Poirot i lekarz okrętowy wstali z klęczek.

- Obawiam się, że to już koniec. Serce - stwierdził doktor.

Poirot kiwnął głową.

- Szok wywołany świadomością, że został rozszyfrowany - dodał.

Detektyw odwrócił się do generała Forbesa i rzekł:

- To pan, generale, dał mi cenną wskazówkę, wspominając teatr rewiowy. Zastanawiam się, myślę, i nagle wpada mi go głowy pewien pomysł. Przypuśćmy, że przed wojną Clapperton był brzuchomówcą. W takim wypadku moglibyśmy słyszeć głos pani Clapperton z wnętrza kabiny, nawet jeśli byłaby już martwa...

Do detektywa podeszła Ellie Henderson. W oczach miała ból.

- Wiedział pan, że on miał słabe serce? - spytała.

- Zgadłem... Pani Clapperton mówiła, że to ona ma chore serce, ale robiła na mnie wrażenie osoby, która lubi uchodzić za chorowitą. Potem znalazłem kawałek recepty na lek z dużą dawką naparstnicy. Digitalis jest środkiem nasercowym, ale nie mogła go zażywać pani Clapperton, ponieważ rozszerza źrenice, a u niej nigdy tego nie zauważyłem. Natomiast kiedy spojrzałem w oczy jej męża, od razu spostrzegłem, że źrenice ma rozszerzone.

- Zatem postanowił pan, że... że on skończy w ten sposób? - mruknęła.

- Tak było najlepiej, nie sądzi pani, *mademoiselle*? - rzekł cicho.

Zobaczył łzy w jej oczach.

- Zatem pan wiedział... cały czas pan wiedział... że mi zależy... Ale on nie zrobił tego dla mnie. To te dziewczyny, ich młodość sprawiła, że poczuł swoje zniewolenie. Chciał być wolny, zanim będzie za późno... Jestem pewna, że tak właśnie było... Kiedy pan zgadł, że to on?

- Za dobrze nad sobą panował - odparł Poirot. - Niezależnie od tego, jak przykre było zachowanie żony, wydawało się, że nic go nie dotyka. To znaczyło, że albo przywykł do takiego traktowania i już go nie bolało, albo... Wybrałem drugą możliwość... I miałem rację.

A potem podkreślał swoje umiejętności jako prestidigitator. W wieczór poprzedzający zbrodnię udawał, że się zdradził. Ale taki człowiek jak Clapperton nie zdradza się tak łatwo. Zatem musiała być jakaś przyczyna. Pomyślałem, że jak długo ludzie będą sądzić, że jest prestidigitatorem, nie zaczną podejrzewać, że jest brzuchomówcą.

- A ten głos, który słyszeliśmy... głos pani Clapperton?

- Jedna ze stewardes ma podobny głos. Skłoniłem ją, żeby schowała się za sceną, i nauczyłem ją, co ma mówić.

- To trick, okrutny trick! - zawołała Ellie.

- Nie pochwalam morderstwa - odparł Herkules Poirot.

Jak rosną kwiatki w pani ogródku?

Herkules Poirot ułożył listy w schludny stosik. Wziął pierwszy z góry, przez chwilę przyglądał się adresowi, po czym precyzyjnie przeciął kopertę nożem do listów, który specjalnie w tym celu położył na stole w jadalni, i wyjął zawartość. W środku była jeszcze jedna koperta, zapieczetowana czerwonym woskiem, na której widniały słowa: "Poufne".

Herkules Poirot uniósł brwi. "*Patience! Nous allons arriverr*"[67], mruknął i znowu posłużył się nożem. Tym razem z koperty wypadł list, napisany rozwlekłym, chwiejnym pismem. Kilka słów było podkreślonych.

Szanowny Panie Poirot,

został mi pan polecony przez osobę bliską i znaną mi od wielu lat, która wie, jakie ostatnio przeżyłam kłopoty i strapienia, choć nie zna okoliczności ani szczegółów - zatrzymałam je wyłącznie dla siebie, ponieważ sprawa ma charakter prywatny. Ta osoba zapewnia mnie, że pan jest wcieleniem dyskrecji i że - nawet jeśli potwierdzą się moje podejrzenia - nie ma obaw włączenia do sprawy policji, czego bym bardzo nie chciała. Naturalnie jest możliwe, że się całkowicie mylę. Nie jestem już tak sprawna umysłowo jak dawniej (cierpię na bezsenność i jeszcze odczuwam skutki ciężkiej choroby, jaką przeszedłam w zimie), aby samodzielnie zbadać tę sprawę. Poza tym nie mam możliwości ani koniecznych umiejętności. Z drugiej strony jeszcze raz powtarzam, że to delikatna sprawa rodzinna i z wielu powodów mogę chcieć całą rzecz zatuszować. Jeśli tylko poznam fakty, z resztą poradzę sobie sama. Mam nadzieję, że jasno się wyraziłam. Jeśli zgodzi się pan podjąć dochodzenie, proszę dać znać na powyższy adres.

Łączę wyrazy szacunku,

Amelia Barrowby

Poirot dwukrotnie przeczytał list. Znowu lekko uniósł brwi. Następnie odłożył go na bok i wziął następną kopertę.

Dokładnie o dziesiątej wszedł do pokoju, w której panna Lemon, jego zaufana sekretarka, oczekiwała na polecenia na dzień bieżący. Panna Lemon miała czterdzieści osiem lat i mało pociągający wygląd. Ogólne wrażenie było takie, jakby kupę kości połączono na chybił trafił. W zamięłowaniu do porządku niemal dorównywała Poirotowi, a choć umiała myśleć, nigdy tego nie robiła, jeśli jej nie kazano.

Poirot wręczył jej poranną korespondencję.

- Niech pani będzie tak miła i ubierze te wszystkie odmowy w odpowiednie słowa.

Panna Lemon przebiegła wzrokiem listy, na każdym z nich stawiając jakieś hieroglificzne znaki. Był to rodzaj szyfru, czytelny tylko dla niej: "wazelina", "policzek", "mrr, mrr", "związły" itd. Przejrzawszy korespondencję, panna Lemon spojrzała w górę na detektywa, oczekując dalszych poleceń.

Poirot wręczył jej list Amelii Barrowby. Wyjęła go z koperty, przeczytała i spojrzała pytająco. Jej ołówek zawisł tuż nad notesem do stenografowania.

- Co pani myśli o tym liście, panno Lemon? - spytał detektyw.

Lekko zmarszczywszy brwi, sekretarka odłożyła ołówek i jeszcze raz odczytała list.

Treść korespondencji oceniała wyłącznie z punktu widzenia konieczności napisania stosownej odpowiedzi. Bardzo rzadko jej pracodawca zwracał się do niej prywatnie, nie odwołując się wyłącznie do umiejętności zawodowych. Denerwowało to nieco pannę Lemon; była jak niemal doskonała maszyna, całkowicie i chwalebnie pozbawiona ciekawości dla ludzkich spraw. Jej życiową pasją było wynalezienie doskonałego systemu katalogowania akt, przy którym wszystkie dotychczasowe popadłyby w zapomnienie. O takim systemie śniła nocami. Niemniej panna Lemon, o czym Herkules Poirot dobrze wiedział, dysponowała inteligencją również w sprawach czysto ludzkich.

- No i co? - spytał.

- Starsza pani - orzekła panna Lemon - posiadała cykorię.

- Ach! Pani myśli, że ona sadzi cykorię?

Panna Lemon, która uważała, że Poirot wystarczająco długo jest już w Wielkiej Brytanii, by rozumieć żargon, nic na to nie odpowiedziała. Obejrzała podwójną kopertę.

- Bardzo poufne, ale nic nie mówi - dodała.

- Też to zauważyłem.

Ręka panny Lemon jeszcze raz zawisła z nadzieją nad notesem do stenografowania. Tym razem Herkules Poirot zareagował.

- Proszę jej napisać, że będę miał zaszczyt odwiedzić ją w terminie, który będzie dla niej dogodny, chyba że woli przyjść tutaj. Proszę nie pisać listu na maszynie, tylko odręcznie.

- Dobrze, panie Poirot.

Detektyw podał sekretarce drugi plik kartek papieru.

- To są rachunki.

Panna Lemon sprawnie je posortowała.

- Zapłacę wszystkie oprócz tych dwóch - odparła.

- Dlaczego? Chyba nie ma w nich błędów?

- To firmy, z którymi pan wcześniej nie miał kontaktu. Niedobrze, jeśli rachunki płaci się zbyt szybko. Wygląda to, jakby próbowało się zyskać zaufanie, żeby nas później kredytowano.

- Aha - mruknął Poirot. - Chylę czoła przed pani doskonałą znajomością psychiki brytyjskiego sprzedawcy.

- Mało jest rzeczy, których bym o nich nie wiedziała - powiedziała panna Lemon ponurym tonem.

List do panny Amelii Barrowby został napisany i wysłany, ale odpowiedź nie nadchodziła. Być może, pomyślał Herkules Poirot, starsza pani sama wyjaśniła tajemnicę? Niemniej był nieco zdziwiony, że nie otrzymał kurtuazyjnego listu z podziękowaniem i wyjaśnieniem, że jego usługi nie są już potrzebne.

Pięć dni później panna Lemon, wysłuchawszy porannej porcji zleceń, powiedziała:

- Pamięta pan tę pannę Barrowby, do której pisaliśmy, a ona nie odpowiedziała? Nic dziwnego. Umarła.

- Ach, umarła - powtórzył cicho Poirot.

Sekretarka wyjęła z torebki wycinek z gazety.

- Zobaczyłam to w metrze i wydarłam - rzekła.

Odnutowawszy z zadowoleniem fakt, że panna Lemon schludnie wycięła z "Morning Post" interesujący fragment nożyczkami, a nie wydarła go, jak to sama określiła, Poirot przeczytał informację, zamieszczoną w rubryce "Narodziny, Śluby, Zgony": "26 marca odeszła niespodziewanie, przeżywszy lat 73, Amelia Jane Barrowby z Rosebank, Charman's Green. Prosimy o nieprzynoszenie kwiatów".

Poirot odczytał to dwukrotnie. "Niespodziewanie", mruknął pod nosem. A potem zwrócił się energicznie do sekretarki:

- Napisze pani list?

Panna Lemon, nie odrywając myśli od zawiłości systemu katalogowania, bezbłędnie i szybko zapisała stenograficznie:

Droga panno Barrowby,

Nie otrzymałem od Pani odpowiedzi, ale udając się w piątek w okolice Charman's Green, pozwolę sobie Panią odwiedzić, aby przedyskutować szczegółowo sprawę, o której Pani wspomniała w liście do mnie.

Łączę pozdrowienia itd.

- Proszę napisać ten list na maszynie; jeśli zostanie dziś wysłany, powinien jeszcze wieczorem dojść do Charman's Green.

Następnego dnia rano w drugiej poczcie przyszedł list w kopercie z czarną obwódką.

Szanowny Panie,

W odpowiedzi na Pański list pragnę poinformować, że moja ciotka, panna Barrowby, zmarła dwudziestego szóstego, zatem sprawa, o której Pan pisał, jest już nieaktualna.

Z szacunkiem, Mary Delafontaine

Poirot uśmiechnął się do siebie. "Już nieaktualna... Zobaczymy. *En avant*, do Charman's Green".

Rosebank próbował odpowiadać swojej nazwie, czego nie da się powiedzieć o większości domów tej klasy.

Zbliżając się alejką do drzwi, Herkules Poirot, przystanął i z aprobatą przyjrzał się schludnym rabatom po obu stronach. Różane krzewy zapowiadały obfitość kwiatów, a teraz królowały żonkile, wczesne tulipany, niebieskie hiacynty. Ostatnia rabata była częściowo okolona muszelkami.

- Jak idą słowa tej dziecięcej rymowanki, którą śpiewają w Anglii?

Panno Maryniu, pytam bez skutku,
Jak rosna kwiatki w pani ogródku?
Muszli i dzwonek równie grządki
Jak ładne panny stoja w rządku.

- Może i nie w rządku - pomyślał - ale przynajmniej "ładne panny" pasuje do rymowanki.

W otwartych drzwiach stała pokojówka w czepku i fartuszku i nieco niepewnie przyglądała się wąsatemu obcokrajowcowi rozmawiającemu głośno ze sobą w ogrodzie. Poirot zauważył, że była to bardzo ładna dziewczyna, z błękitnymi oczyma i różaną cerą. Z kurtuazją zdjął kapelusz i zwrócił się

do niej:

- Przepraszam, czy mieszka tu panna Amelia Barrowby?

Pokojówka otworzyła usta i wytrzeszczyła oczy na detektywa.

- Och, sir, nie wie pan? Ona nie żyje. To stało się nagle. We wtorek w nocy.

Zawahała się, rozdarta pomiędzy silną nieufnością do obcokrajowców a typowym dla jej klasy pragnieniem poplotkowania na tematy związane z chorobą i śmiercią.

- Zadziwia mnie pani - odparł, nie całkiem w zgodzie z prawdą, Herkules Poirot. - Miałem na dziś wyznaczone spotkanie. Ale może w takim razie mógłbym zobaczyć się z obecną właścicielką domu?

Pokojówka wydawała się nieprzekonana.

- Z panią? Może, ale nie jestem pewna, czy ona kogokolwiek przyjmuje.

- Mnie przyjmie - odparł Poirot i wręczył wizytówkę.

Autorytatywny ton zrobił swoje. Różanolica pokojówka wprowadziła Poirota do salonu leżącego po prawej stronie hallu, po czym z wizytówką w dłoni poszła poprosić panią.

Poirot rozejrzał się wokół. Był w zupełnie typowym salonie, wyłożonym tapetą koloru zboża ze szlaczkiem u góry, z nieokreślonego koloru kretonowymi pokrowcami na meblach, poduszkami i zasłonami w kolorze rózu i dużą ilością porcelanowych ozdóbek. W pokoju nie było niczego, co by się wyróżniało, świadczyło o osobowości właścicielki.

Nagle Poirot, którego zmysły były bardzo wyczulone, poczuł, że ktoś go obserwuje. Obrócił się. W drzwiach ogrodowych stała niewysoka dziewczyna o ziemistej cerze, czarnych włosach i podejrzliwych oczach. Weszła do pokoju, a kiedy Poirot uklonił się, wybuchła:

- Dlaczego pan przyszedł?

Poirot nie odpowiedział, tylko uniósł brwi.

- Pan nie jest prawnikiem? - Jej angielski był całkiem dobry, ale nikt nawet przez chwilę nie wziąłby jej za Angielkę.

- Dlaczego miałbym być prawnikiem, *mademoiselle*?

Dziewczyna patrzyła na niego naburmuszona.

- Pomyślałam, że może pan jest prawnikiem. Pomyślałam też, że może przyszedł pan powiedzieć, że ona nie wiedziała, co robi. Słyszałam o takich wypadkach - bezprawny nacisk, tak to się nazywa? Ale to nieprawda. Ona chciała, żebym to ja dostała pieniądze, i dostanę je. Jeśli to konieczne, wynajmę prawnika. Pieniądze należą do mnie. Napisała, że tak ma być, i tak będzie.

Z wojowniczo wysuniętą brodą i błyszczącymi oczyma dziewczyna wyglądała po prostu brzydko. Otworzyły się drzwi i weszła wysoka kobieta.

- Katrina... - powiedziała.

Dziewczyna skuliła się, mruknęła coś pod nosem i przez oszklone drzwi wyszła do ogrodu.

Poirot spojrział na kobietę, która tak szybko, wymawiając tylko jedno słowo, poradziła sobie z sytuacją. W jej głosie czuł autorytet, pogardę i cień ironii. Od razu zorientował się, że stoi przed panią domu, Marią Delafontaine.

- Pan Poirot? Napisałam do pana. Najwyraźniej nie otrzymał pan mojego listu.

- Niestety, nie było mnie w Londynie.

- Rozumiem, to wszystko wyjaśnia. Pozwoli pan, że się przedstawię. Mary Delafontaine. A to mój mąż. Panna Barrowby była moją ciotką.

Pan Delafontaine wszedł tak cicho, że Poirot dopiero teraz go zauważył. Był to wysoki mężczyzna ze szpakowatymi włosami i nawykiem nerwowego głaskania się po brodzie. Często spoglądał na żonę, oczekując od niej inicjatywy w rozmowie.

- Ogromnie mi przykro, że nachodzę państwa, pogrążonych w żałobie - rzekł Herkules Poirot.

- Zdaję sobie sprawę, że to nie pana wina - odparła Mary Delafontaine. - Ciotka zmarła we wtorek rano. Zgon nastąpił nieoczekiwanie.

- Zupełnie nieoczekiwanie - wtrącił pan Delafontaine. - To był wielki cios. - Obserwował oszklone drzwi, za którymi zniknęła obca dziewczyna.

- Bardzo przepraszam - powiedział Poirot - i odchodzę - zrobił krok w stronę drzwi.

- Chwileczkę - zatrzymał go pan Delafontaine. - Mówi pan... że miał pan wyznaczone spotkanie z ciotką Amelią?

- Parfaitement[68].

- Może nam pan o tym opowie? - poprosiła żona. - Jeśli możemy w czymś pomóc...

- To była poufna sprawa. Jestem detektywem.

Pan Delafontaine upuścił porcelanową figurkę, którą się bawił.

- Detektywem? - zdziwiła się jego żona. - I pan umówił się z ciotką? To nadzwyczajne! - Patrzyła na niego z niedowierzaniem. - Może nam pan powiedzieć coś więcej, panie Poirot? To wydaje się... fantastyczne!

Poirot przez chwilę milczał, a potem odezwał się, ostrożnie dobierając słowa:

- Jest mi trudno, *madame*, zdecydować, co mam robić.

- Niech pan posłucha - rzekł pan Delafontaine. - Nie mówiła chyba nic o Rosjanach, prawda?

- O Rosjanach?

- No, wie pan, bolszewikach, czerwonych, tego typu sprawach.

- Nie pleć, Henryku - skarciła go żona.

Pan Delafontaine skurczył się jak przekłuty balonik.

- Przepraszam, przepraszam... tak się tylko zastanawiałem.

Mary Delafontaine spojrzała szczerze na Poirota. Oczy miała, koloru niezapominajek.

- Jeśli może nam pan coś zdradzić, panie Poirot, będziemy wdzięczni. Przyznam się, że nie pytam bez powodu.

Pan Delafontaine wyglądał na przerażonego.

- Uważaj, kobieto. Wiesz, że to może nic nie znaczyć.

Żona zgasła go jednym spojrzeniem.

- No i jak, panie Poirot?

Powoli, z powagą Poirot pokręcił głową. Widać było, że odmowa sprawia mu przykrość.

- W obecnej sytuacji, *madame* - rzekł - nie wolno mi nic powiedzieć.

Uklonił się, wziął kapelusz i podszedł do drzwi. Mary Delafontaine wyszła z nim do hallu. Na progu detektyw przystanął i spojrzał na panią domu.

- Myślę, że lubi pani ten ogród, *madame*, prawda?

- Tak, dużo w nim pracuję.

- *Je vous fais mes compliments*[69].

Jeszcze raz się skłonił i podszedł do furtki. Otwierając ją, odwrócił się i zauważył dwie rzeczy: obserwującą go z okna na piętrze żółtawą twarz i mężczyznę o postawie wojskowego, chodzącego tam i z powrotem po przeciwnej stronie ulicy.

Poirot kiwnął do siebie głową: - *Definitivement!* W tej dziurze jest mysz. Co ma teraz zrobić kot? Poszedł na najbliższą pocztę, skąd zadzwonił w parę miejsc. Rezultat okazał się zadowolający.

Teraz udał się na posterunek policji, gdzie spytał o inspektora Simsa.

Inspektor Sims był dużym, krzepkim, serdecznym mężczyzną.

- Pan Poirot? - rzekł. - Tak myślałem. Przed chwilą miałem telefon od okręgowego komisarza policji. Mówił mi, że pan do mnie wpadnie. Proszę do mojego biura.

Zamknawszy drzwi, inspektor zaprosił Poirota gestem do zajęcia krzesła, sam usiadł na drugim i spojrzał pytająco na gościa.

- Jest pan bardzo szybki, panie Poirot. Przychodzi pan do nas w sprawie Rosebank, niemal jeszcze przed jej zaistnieniem. Co pana naprowadziło na ślad?

Poirot wyjął list i wręczył inspektorowi.

- Ciekawe - rzekł policjant, przeczytawszy go z zainteresowaniem. - Kłopot w tym, że nie wiadomo, o co jej chodziło. Szkoda, że nie była bardziej konkretna. Może teraz by nam to pomogło.

- A może nie byłoby takiej potrzeby.

- To znaczy?

- Może by jeszcze żyła.

- Aż tak? Hm, nie jestem pewien, ale może się pan nie myli.

- Proszę, inspektorze, niech mi pan zreferuje fakty. Nic nie wiem o tej sprawie.

- Nic trudnego. Starsza pani ciężko zachorowała we wtorek po obiedzie. Miała niepokojące objawy: konwulsje, skurcze i co tam jeszcze. Posłano po lekarza, ale zanim przybył, ona już nie żyła. Mówiono, że zmarła w wyniku jakiegoś ataku. No cóż, nie bardzo mu się podobało to, co zobaczył. Kluczył, kręcił i owijał rzecz w bawełnę, ale w końcu powiedział, że nie może wystawić świadectwa zgonu. I jeśli chodzi o rodzinę, sprawa na tym stanęła. Teraz czekają na wynik sekcji. My wiemy trochę więcej. Doktor od razu dał nam wskazówkę. Obdukcję robili razem z naszym patologiem i nie ma wątpliwości. Starsza pani zmarła po dużej dawce strychniny.

- Ach!

- Otóż to! Paskudna sprawa. Pytanie, kto jej podał strychninę? Musiała ją zażyć krótko przed śmiercią. Najpierw pomyśleliśmy, że dostała truciznę w trakcie obiadu, ale okazuje się, że nie. Mieli zupę z karczochów podaną w wazie, rybę i jabłecznik.

Panna Barrowby, pan Delafontaine i pani Delafontaine. Zmarła miała kogoś w rodzaju pielęgniarki i osoby do towarzysztwa, pół-Rosjankę, ale ona nie jadła z rodziną. Dostawała to, co zebrano ze stołu. Jest jeszcze pokojówka, lecz akurat wtedy miała wychodne. Zostawiła zupę na piecu, a rybę w piekarniku. Jabłecznik był na zimno. Wszyscy troje jedli to samo, a poza tym w ten sposób nie dałoby się nikogo nafaszerować strychniną. Jest potwornie gorzka. Lekarz mówi, że w roztworze można ją wyczuć w stężeniu jednego promila czy coś takiego.

- A kawa?

- To bardziej prawdopodobne, ale starsza pani nie pijała kawy.

- Rozumiem. Wydaje się, że macie nie lada kłopot. Co panna Barrowby piła do posiłku?

- Wodę.

- Coraz gorzej.

- Niezłe wyzwanie, prawda?

- Czy miała pieniądze?

- Wydaje mi się, że była bardzo dobrze sytuowana. Naturalnie, nie mamy jeszcze konkretów. Z

tego, co wiem, Delafontaine'owie są w dołku finansowym. Ciotka dokładała do utrzymania domu.

Poirot uśmiechnął się pod wąsem.

- Widzę, że podejrzewa pan Delafontaine'ów. Które z nich?

- Nie mogę powiedzieć, żebym miał powody żywić w stosunku do nich szczególne podejrzania.

Ale oni są najbliższą rodziną i nie wątpię, że po jej śmierci dziedziczą okrągłą sumkę. A wszyscy wiemy, jaka jest natura ludzka.

- Czasami nieludzka - tak, to prawda. Czy starsza pani jeszcze coś piła albo jadła?

- No cóż, prawdę mówiąc...

- Ach, *voilà!* Czuję, że ma pan coś w rękawie! Zupa, ryba, jabłecznik. *Betise*[70]! Nareszcie

przechodzimy do sedna sprawy.

- Nic o tym nie wiem. Ale w rzeczy samej, przed posiłkami staruszka zażywała lekarstwo. Wie pan, nie tabletkę czy drażetkę, tylko proszek w opłatku ryżowym. Zupełnie nieszkodliwy środek na trawienie.

- Wspaniale. Nic łatwiejszego niż wypełnić opłatek strychniną. Popity wodą, bezboleśnie przejdzie przez gardło i nie poczuje się smaku.

- Zgadza się. Ale widzi pan, podała to jej ta dziewczyna.

- Rosjanka?

- Tak. Katrina Rieger, o której już mówiłem - towarzyska i opiekunka panny Barrowby. Jak mi się wydaje, starsza pani nieźle się nią wysługiwała. Przynieś to, przynieś tamto, pomasuj mi plecy, nalej lekarstwo, idź do apteki i tak dalej. Wie pan, jak to bywa, chcą być miłe, ale naprawdę potrzebują niewolnika.

Poirot uśmiechnął się.

- No i tak sprawa stoi - podsumował inspektor Sims. - Nic za bardzo do siebie nie pasuje. Dlaczego dziewczyna miałaby ją otruć? Panna Barrowby umiera, dziewczyna traci pracę, a teraz nie jest łatwo znaleźć jakieś zajęcie; ona nie ma żadnego zawodu.

- Ale jeśli pudełko z opłatkami ryżowymi leżało na wierzchu, każdy miał okazję to zrobić.

- Naturalnie, sprawdzamy to, ale po cichu, ma się rozumieć. Kiedy ostatnio zrealizowano receptę, gdzie zazwyczaj trzymano lekarstwo, itd. W końcu cierpliwość i drobiazgowość śledztwa przyniosą rezultaty. Został jeszcze prawnik panny Barrowby. Jutro mam z nim spotkanie. I dyrektor banku. Przed nami jeszcze dużo pracy.

Poirot podniósł się z miejsca.

- Mam prośbę, inspektorze. Proszę mnie powiadomić, jak postępuje sprawa. Byłbym za to ogromnie wdzięczny. Oto mój numer telefonu.

- Naturalnie, panie Poirot. Co dwie głowy, to nie jedna, a poza tym pan i tak jest włączony w tę sprawę, chociażby ze względu na ten list.

- To miło z pana strony, że tak pan myśli, inspektorze.

Poirot podał inspektorowi Simsowi rękę i wyszedł.

Telefon zadzwonił następnego dnia po południu.

- Czy to pan Poirot? Mówi inspektor Sims. Ta sprawa, o której obaj wiemy, zaczyna ciekawie wyglądać.

- Naprawdę? Niech pan mówi, błagam.

- Punkt pierwszy, i to całkiem duży punkt. Panna B. zostawiła mały legat dla siostrzenicy, a całą resztę zapisała K. Za jej ogromną dobroć i troskliwość - tak to zostało wyrażone, a co zmienia postać rzeczy.

Przed oczyma Poirota ukazał się nagle obraz. Nadąsana twarz i porywcze słowa: "Pieniądze należą do mnie. Napisała, że tak ma być, i tak będzie". Zapis nie stanowił tajemnicy dla Katriny, wiedziała o nim wcześniej.

- Punkt drugi - kontynuował inspektor Sims - Katrina była jedyną osobą, która miała w rękach opłatek z lekiem.

- Jest pan tego pewien?

- Dziewczyna nie zaprzecza. Co pan o tym myśli?

- Niezwykle interesujące.

- Musimy jeszcze tylko dowiedzieć się, skąd wzięła strychninę. To nie powinno być trudne.

- Ale do tej pory nie udało się wam?

- Ledwie zacząłem. Rozprawa wstępna odbyła się dopiero dziś rano.

- I jaki rezultat?

- Odłożona na tydzień.

- A ta młoda dama, K.?

- Zatrzymałem ją jako podejrzaną. Nie chcę ryzykować, że ktoś pomoże jej wyjechać z kraju.

- Nie sądzę - odparł Poirot - żeby miała tu jakichś przyjaciół.

- Naprawdę? Skąd pan wie?

- Tak tylko myślę. Nie ma już żadnych więcej "punktów", jak je pan nazywa?

- Nic, co by miało jakieś znaczenie. Zdaje się, że panna B. manipulowała ostatnio swoimi akcjami. Chyba straciła niezłą sumkę. To dziwna sprawa, z której by strony nie spojrzeć, ale nie związana z tym, co nas interesuje. W każdym razie nie na tym etapie.

- Pewnie ma pan rację. No cóż, dziękuję. To miło, że pan zadzwonił.

- Nie ma za co. Dotrzymuję słowa, a widziałem, że jest pan zainteresowany. Kto wie, może przed zakończeniem sprawy będę potrzebował pańskiej pomocy?

- Włączę się z przyjemnością. Może by to panu pomogło, gdybym znalazł tego przyjaciela panny Katriny?

- Twierdził pan, że ona nie ma żadnych przyjaciół - czy wydawało mi się?

- Myliłem się. Ma jednego - powiedział Poirot.

Zanim inspektor zdołał zadać następne pytanie, detektyw odłożył słuchawkę.

Z poważną miną poszedł do pokoju, gdzie panna Lemon siedziała przy maszynie do pisania. Oderwała ręce od klawiatury i spojrzała pytająco na pracodawcę.

- Chciałbym - rzekł Poirot - aby pani sobie coś wyobraziła.

Panna Lemon z rezygnacją opuściła dłonie na kolana. Lubiła pisać na maszynie, opłacać rachunki, wypełniać formularze i zapisywać spotkania. Wyobrażanie sobie siebie samej w hipotetycznej sytuacji niezwykle ją nudziło, ale przyjmowała to jako nieprzyjemną część swych obowiązków.

- Jest pani młodą Rosjanką - zaczął Poirot.

- Tak - odparła panna Lemon, wyglądająca jak wcielenie brytyjskości.

- Jest pani w Anglii sama, bez przyjaciół, i ma powody, by pragnąć powrotu do Rosji. Pracuje pani jako pielęgniarka i osoba do towarzystwa u starszej kobiety, która traktuje panią jak popychadło, ale pani jest potulna i cierpliwa.

- Tak - powiedziała posłusznie panna Lemon, zupełnie nie mogąc sobie wyobrazić, że jest potulna wobec jakiegokolwiek starszej kobiety.

- Starsza pani polubiła panią i postanowiła zapisać pani majątek. Mało tego - zawiadamia panią o tym.

- Tak - powtórzyła znowu panna Lemon.

- A potem dowiaduje się o czymś; może chodzi o jakieś sprawy finansowe, na przykład że nie jest pani wobec niej uczciwa. A może coś poważniejszego: lekarstwo, które miało dziwny smak, potrawa, która jej zaszkoziła. Tak czy owak, zaczyna panią podejrzewać i pisze do bardzo sławnego detektywa, *enfin*, do najslawniejszego detektywa, czyli do mnie! Wkrótce mam się z nią spotkać. A wtedy wszystko się wyda. Należy więc szybko działać. I tak, zanim detektyw zdąży przyjechać, starsza pani umiera... Niech pani powie, czy wydaje się to pani logiczne?

- Całkiem logiczne - odparła panna Lemon. - To znaczy, logiczne jak na Rosjankę. Osobiście nigdy nie zgodziłabym się pracować jako osoba do towarzystwa. Lubię mieć jasno sprecyzowane obowiązki. I naturalnie nie przyszłoby mi do głowy, żeby kogokolwiek zamordować.

- Tak mi brakuje Hastingsa - westchnął Poirot. - Miał taką wyobraźnię! Był taki romantyczny! To prawda, że zawsze wyobrażał sobie nie to, co trzeba, ale i to było pomocne.

Panna Lemon milczała, tęsknym wzrokiem wpatrując się w kartkę papieru wkręconą w maszynę.

- Zatem wydaje się to pani logiczne - zastanawiał się Poirot.

- A panu nie?

- Obawiam się, że też - westchnął Poirot. Rozległo się dzwonienie i panna Lemon wyszła z pokoju, aby odebrać telefon.

- To znowu inspektor Sims - powiedziała, wracając. Poirot pobiegł do telefonu.

- Allo, allo. Co pan mówi?

- W sypialni dziewczyny znaleźliśmy paczuszkę strychniny - powtórzył Sims. - Była wetknięta pod materac. Sierżant właśnie wrócił z tą wiadomością. To ostatni brakujący dowód.

- Tak, to rozstrzyga sprawę - rzekł Poirot. W jego głosie zabrzmiało przekonanie.

Odłożywszy słuchawkę, usiadł przy stole i mechanicznie uporządkował leżące na nim przedmioty.

- Coś było nie tak - mruknął do siebie. - Czuję to... nie, nie czuję, widziałem. *En avant*, szare komórki. Trzeba pomyśleć, zastanowić się. Czy wszystko jest logiczne? Dziewczyna, jej niepokój o pieniądze; pani Delafontaine; jej mąż i ta jego wzmianka o Rosjanach - idiotyczna, ale bo to idiota; pokój; ogród... Ach! Tak, ogród.

Nagle wyprostował się, oczy zaświeciły zielonym blaskiem. Zerwał się i poszedł do sąsiedniego pokoju.

- Panno Lemon, czy będzie pani tak miła, odłoży to, co pani robi, i przeprowadzi dla mnie śledztwo?

- Śledztwo, panie Poirot? Obawiam się, że nie potrafię...

- Kiedyś pani mówiła, że wie pani wszystko na temat sprzedawców - przerwał jej Poirot.

- To prawda - odparła z pewnością siebie panna Lemon.

- Sprawa jest prosta. Chcę, by udała się pani do Charman's Green i poszukała sklepu rybnego.

- Sklepu rybnego? - zdumiała się sekretarka.

- Dokładnie. Sklepu, który dostarczał ryby do Rosebank. Kiedy go pani znajdzie, proszę zadać

właścicielowi takie oto pytanie.

Poirot wręczył sekretarce kartkę papieru. Panna Lemon bez zainteresowania przeczytała to, co było na niej napisane, i nałożyła pokrywę na maszynę do pisania.

- Razem pojedziemy do Charman's Green - powiedział Poirot. - Pani pójdzie do sklepu rybnego, a ja na komendę policji. Ze stacji przy Baker Street dostaniemy się tam w ciągu pół godziny.

Inspektor Sims przywitał detektywa ze zdziwieniem.

- Jest pan szybki - powiedział. - Zaledwie pół godziny temu rozmawiałem z panem przez telefon.

- Mam prośbę, żeby pan pozwolił mi zobaczyć się z tą dziewczyną, Katriną... jak ona się nazywa?

- Katriną Rieger. Chyba nie ma żadnych przeciwwskazań.

Katrina wyglądała jeszcze bardziej ponuro i niezdrowo niż zwykle.

- *Mademoiselle* - powiedział łagodnie Poirot - chcę, żeby pani uwierzyła, że nie jestem jej wrogiem. Pragnę, żeby powiedziała mi pani prawdę.

Dziewczyna spojrzała na niego wyzywająco.

- Powiedziałam prawdę. Każdemu mówiłam prawdę. Jeśli panią otruto, to nie ja to zrobiłam. To pomyłka. A pan nie chce dopuścić, żebym odziedziczyła majątek - wołała Katrina chrapliwym głosem. Poirot znów pomyślał, że wygląda jak nieszczęsny, przyparty do muru szczur.

- Czy to prawda, że nikt inny nie miał w rękach opłatków z lekarstwem oprócz pani?

- Tak powiedziałam, prawda? Tego samego dnia po południu zrobiono je w aptece. Przyniosłam je w torebce, to było tuż przed obiadem. Otworzyłam pudełeczko i podałam panie Barrowby razem ze szklanką wody do popicia.

- I nikt oprócz pani ich nie dotykał?

- Nie!

Szczur przyparty do muru... ale odważny!

- A panna Barrowby zjadła na kolację tylko to, co wymieniono: zupę, rybę i jabłecznik?

- Tak.

Beznadziejne było to "tak" - ciemne oczy nie widziały znikąd światła.

Poirot poklepał ją po ramieniu.

- Odwagi, *mademoiselle*. Może czeka na panią wolność, pieniądze, łatwe życie.

Dziewczyna spojrzała na niego podejrzliwie, a kiedy wyszła, Sims powiedział:

- Nie całkiem zrozumiałem to, co powiedział mi pan przez telefon. O tym, że ta mała ma przyjaciela.

- Owszem, ma. Mnie! - odparł Poirot i wyszedł z komendy, zanim inspektor ochłonął ze zdumienia.

W herbaciarni Zielony Kot panna Lemon nie kazała Poirotowi czekać na relację ze śledztwa. Od razu przeszła do rzeczy.

- Właściciel nazywa się Rudge, sklep mieści się na High Street. Miał pan rację. Dokładnie półtora tuzina. Zapisałam to, co mówił. - Wręczyła mu kartkę.

Detektyw mruknął z satysfakcją, jak zadowolony kot. Herkules Poirot udał się do Rosebank i wszedł do ogrodu. W świetle zachodzącego słońca zobaczyła go pani Delafontaine.

- Pan Poirot? - powiedziała zaskoczona, wychodząc przed dom. - Wrócił pan?

- Tak, wróciłem. - Urwał, a po chwili dodał: - Kiedy po raz pierwszy tu przyszedłem, *madame*,

przypomniała mi się dziecięca rymowanka:

Panno Maryniu, pytam bez skutku,
Jak rosną kwiatki w pani ogródku?
Muszli i dzwoneków równe grządki
Jak ładne panny stoją w rządku.

- To muszle po ostrygach, prawda, *madame*? - powiedział, wskazując palcem.

Pani Delafontaine cicho krzyknęła, zaskoczona, a potem oniemiała. Tylko spojrzenie miała pytające.

Poirot kiwnął głową.

- *Mais oui*, wiem wszystko. Służąca zostawiła przygotowany obiad. Ona i Katrina przysięgną, że nie jedliście niczego więcej. Tylko pani i mąż wiecie, że kupiła pani półtora tuzina ostryg... smakołyk specjalnie *pour la bonne tante* [71]. Tak łatwo jest włożyć strychninę do ostrygi! Połyka się wszystko na raz, *comme ca*! Ale w śmieciach zostają muszle. Na pewno zobaczy je służąca. Więc wymyśliła pani, żeby otoczyć nimi grządkę. Tylko, że było ich za mało. Nie wystarczyło na całą rabatkę. Źle to wygląda, łamie symetrię tak pięknego ogrodu. Tych kilka brakujących muszli uderzyło mnie jako obcy element. Nie spodobało mi się to już przy pierwszej wizycie.

- Myślę, że odgadł pan wszystko z listu - powiedziała pani Delafontaine. - Wiedziałam, że napisała, ale nie wiedziałam, co.

- Zgadłem, że chodzi o sprawę rodzinną - odparł wymijająco Poirot. - Gdyby chodziło o Katrinę, nie byłoby mowy o tuszowaniu sprawy. Jak sędzę, pani lub pani mąż zarabialiście na obrocie akcjami panny Barrowby, a ona to odkryła.

Mary Delafontaine skinęła głową.

- Robiliśmy to od lat. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że się zorientuje. A potem nagle dowiedziałam się, że wezwała detektywa. I że chce zapisać majątek Katrinie, tej żalösnej pokrace!

- I dlatego strychninę znaleziono w sypialni Katriny? Rozumiem. To miało ochronić panią i męża przed tym, co mógłbym odkryć, i jednocześnie obciążyć biedne dziecko zarzutem morderstwa. Nie ma pani za grosz litości?

Pani Delafontaine wzruszyła ramionami, patrząc błękitnymi jak niezapominajki oczami prosto na Poirota. Detektywowi przypomniało się, jak doskonale grała pierwszego dnia, gdy przyszedł, i nieudolne próby męża, aby jej dorównać. Kobieta nieprzeciętna... ale nieludzka.

- Litości? - odparła z pogardą. - Dla tej żalösnej intrygantki?

- Myślę, *madame* - powiedział powoli Poirot - że zależało pani w życiu tylko na dwóch rzeczach. Jedna to pani mąż.

Pani Delafontaine zadrżały usta.

- Druga - to pani ogród.

Popatrzył wokoło. Wzrokiem wydawał się przeproszać kwiaty za to, co już zrobił i co jeszcze będzie musiał zrobić.

[1] Fr. Słynny przypadek

[2] fr. Piękna sprawa!

[3] fr. Oto i one!

[4] Fr. Dokładnie

[5] Rozwiązanie

- [6] fr. Przedstawienie
- [7] fr. Co?; więc; zatem
- [8] fr. Naprzód!
- [9] Fr. Najpierw
- [10] fr. Nareszcie!
- [11] Fr. Ależ tak.
- [12] Fr. Nic do roboty.
- [13] Fr. Kobiety
- [14] fr. Wspaniale
- [15] fr. Rzeczywiście
- [16] fr. Przeciwnie
- [17] fr. Hulaka
- [18] fr. Wielka pani
- [19] fr. Dalibóg!
- [20] Fr. Nieograniczone pełnomocnictwo
- [21] fr. Mój Boże, cóż za kobieta!
- [22] Fr. Oczywiście
- [23] fr. Ja sam; osobiście
- [24] fr. I co?
- [25] Fr. Tylko tyle!
- [26] Fr. O Boże, mój żołądek!
- [27] Fr. Po prostu
- [28] Fr. Dalibóg
- [29] fr. Ładna mała pensjonarka!
- [30] fr. Wielki posag
- [31] fr. Wielki łajdak
- [32] fr. Nie miała szczęścia
- [33] fr. Proszę wybaczyć
- [34] fr. Dokładnie
- [35] fr. Słowo daję
- [36] fr. Jaka szkoda!
- [37] Fr. Cóż za piękne życie!
- [38] Fr. Szczęście
- [39] fr. Były kobiety, zawsze kobiety
- [40] fr. Dobrym katolikiem
- [41] fr. Młoda, bardzo przyzwoita osoba
- [42] fr. Proszę słuchać
- [43] fr. Jak to?
- [44] Fr. Dobrze; wreszcie
- [45] fr. To się nigdy nie zdarza.
- [46] fr. Ma się rozumieć
- [47] fr. To oczywiste
- [48] fr. Biedny pan

- [49] fr. Pani jest bardzo pobożna i panienka Virginie też.
- [50] Fr. Słuszna
- [51] fr. Młodemu wytwornemu mężczyźnie? Do licha.
- [52] Następnym razem
- [53] fr. A ty?
- [54] Fr. To dziwne
- [55] fr. Pokój dla służby
- [56] fr. Dalibóg!
- [57] fr. No więc, otóż to
- [58] fr. Zbrodnie zdarzają się wszędzie
- [59] fr. Przeciwnie
- [60] fr. Cios; uderzenie
- [61] fr. Zupełny brak finezji, tylko zuchwałość.
- [62] Fr. Właśnie
- [63] fr. Oto, co się nazywa prawdziwym dżentelmenem.
- [64] W Indiach lekki posiłek południowy.
- [65] fr. Możliwe
- [66] fr. Przeciwnie
- [67] fr. Cierpliwości, chwileczkę!
- [68] fr. Dokładnie
- [69] fr. Moje gratulacje
- [70] fr. Głupoty
- [71] fr. Dla ciotuni